NA ZGLISZCZACH

NA ZGLISZCZACH

Antologia

Opoczno 2024

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski
Koordynacja działu redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś, Dawid Wiktorski
Koordynacja działu korekty: Justyna Mroczek-Żal, Ilona Żurawska
Korekta poskładowa: Magdalena Kłodowska, Agnieszka Kolenda, Justyna Mroczek-Żal, Renata Rabczewska, Karolina Rogala, Katarzyna Twarduś, Ilona Żurawska
Koordynacja działu weryfikacji: Anita Brzozowiec, Magda Kowalewicz
Koordynacja działu recenzji: Magdalena Piniak
Koordynacja działu ilustracji: Anita Brzozowiec, Arkadiusz Nowakowski, Magdalena Świerczek-Gryboś
Koordynacja działu audio: Magda Brumirska-Zielińska
Koordynacja działu marketingu: Dawid Wiktorski
Koordynacja działu tłumaczeń: Alicja Janusz
Ilustracja na okładce: Michał Sałata
Projekt typograficzny okładki: Wiktoria Makowska
Projekt typograficzny: Maria Król
Skład: Nika Mrożek
Skład wersji elektronicznej: Maria Król
Tekst audiodeskrypcji okładki: Magda Brumirska-Zielińska
Konsultacja audiodeskrypcji: Magdalena Rutkowska

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:
PDF: 978-83-66058-76-7
ePub: 978-83-66058-77-4
mobi: 978-83-66058-78-1
Oprawa miękka: 978-83-66058-79-8

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formacie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

Wysłuchaj audiodeskrypcji okładki:
https://hearthis.at/fantazmaty/
https://www.youtube.com/c/ProjektFantazmaty

Okładka zbioru opowiadań „Na zgliszczach", wydanego przez Grupę Wydawniczą Fantazmaty w formie e-booka.
Format książki: A5, co w druku przekłada się na 21 cm wysokości i 14,8 cm szerokości.
Autor ilustracji: Michał Sałata.
Autorka liternictwa: Wiktoria Makowska.

Okładka wykonana w technice cyfrowej. Dominują stonowane kolory. Tytuł złożono białymi literami.

Ulica Gliwicka w Katowicach. Postapokaliptyczny świat, w którym budynki popadły w ruinę, a drogi pozarastała gęsta roślinność.

Na pierwszym planie, po prawej, na wraku niebieskiego audi siedzi młoda dziewczyna. Samochód stoi tyłem do widza. Ma rozbite tylne światła, z karoserii odchodzą płaty lakieru. Numer rejestracyjny samochodu rozpoczynają litery SK, dalszą część zasłaniają brudne nacieki. Dziewczyna siedzi na bagażniku z podciągniętymi kolanami. Jej postać jest zwrócona do widza lewym bokiem. Długie brązowe loki zasłaniają jej twarz, którą pochyla nad kartką papieru. W lewej dłoni trzyma długopis. Ma jesienne ubranie: szarą dzierganą czapkę, żółtą kurtkę, brązowe spodnie z wysokimi skarpetami naciągniętymi na nogawki, brązowe buty trekkingowe. Po jej lewej stronie, również na bagażniku, leżą niebieski plecak turystyczny, łuk i strzały.

Po lewej stronie okładki, na ziemi, zwrócony do dziewczyny, stoi pies podobny do wilka lub niewielkiego husky. Sięga do kolan, ma czarną sierść z brązowymi podpaleniami, głowę z dużą kufą i stojącymi, szpiczastymi uszami. Na szyi ma bandankę w czarno-pomarańczową kratę.

Za samochodem pochylona zielona tablica wskazująca drogę do kilku miast i dzielnic Katowic. Kieruje na wprost do centrum, w lewo, drogą numer 79, do Krakowa, Łodzi, Poznania, Gliwic i dzielnicy Koszutka, a drogą numer 81 do Skoczowa i na dworzec kolejowy.

W tle z bujnej roślinności wystają kolejne dwa wraki samochodów. Za nimi zarośnięty znak na słupie lampy ulicznej kieruje na wprost do sklepu Aldi. Zza drzew wyłaniają się dwa wieżowce Stalexportu. Blisko stumetrowe trzonolinowce z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku są zrujnowane: charakterystyczne ramiona w kształcie klinów, umieszczone na nadbudówkach, są częściowo zniszczone, podobnie jak odchodzące od nich w kierunku ziemi liny oraz ściany.

Na pochmurnym, jasnoszarym niebie klucz ptaków.

Przy dolnej krawędzi okładki, wysoki na jej jedną piątą, tytuł „Na zgliszczach". Słowa ułożono w dwóch liniach i wyrównano do prawej. Tekst złożono bezszeryfową czcionką, kapitalikami. Biel liter jest w wielu miejscach poprzecierana, tekst przypomina stary, obłażący z farby napis na ścianie. Pod tytułem pozioma biała linia.

Po lewej, na wysokości słowa „zgliszczach", białe logo Grupy Wydawniczej Fantazmaty. To znak graficzny składający się z kilkunastu linii. To deltoid – czworokąt złożony z dwóch trójkątów równobocznych, górnego i dolnego, które stykają się podstawami. Dolny trójkąt jest prostokątny, jego wierzchołek o prostym kącie skierowany jest w dół. Równe boki górnego trójkąta są dwa razy dłuższe niż w dolnym trójkącie. Wznoszą się w górę. Figura kształtem przypomina odwrócony do góry nogami latawiec lub diament. W czworokąt wpisano stylizowaną sylwetkę drzewa, także złożoną z białych linii. Dwie z gałęzi drzewa układają się w dużą literę F.

Ilustracja na okładce to fragment obrazu „Katowice – Taking Notes" Michała Sałaty. Obraz nawiązuje do stylu graficznego gier wideo

z serii „The Last of Us", przypomina też grafiki z innych serii osadzonych w postapokaliptycznych światach, takich jak „Stalker". Autor, wieloletni fan „The Last of Us", stworzył serię obrazów inspirowanych estetyką gier, w której umieścił sceny dziejące się w Katowicach.

Tej książki nie można kupić. Skąd więc się u ciebie wzięła? Dowiesz się na przedostatniej stronie.

Na ostatniej stronie znajdziesz informacje o gatunkach opowiadań oraz listę tzw. „content warningów", czyli treści, które mogą być kontrowersyjne lub niemile widziane.

Fantazmaty są tworzone przez:

Redaktorzy: Mateusz Bielecki, Dorota Bożek, Anita Brzozowiec, Karolina Deryło, Magdalena Gonta-Biernat, Agata Jankowska, Agnieszka Janowska, Marta Karmowska, Matylda Kępa, Michał Kowal, Magda Kowalewicz, Agnieszka Mohylowska, Paulina Nowakowska, Katarzyna Pikosz, Agnieszka Przybyła-Wilkin, Renata Rabczewska, Adam Raglan, Urszula Sarnowska, Aneta Stawiszyńska-Marciniak, Justyna Szymkiewicz, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dawid Wiktorski, Agata Żyła

Korektorzy: Maria Bernaciak, Karolina Deryło, Gabriela Gardoń, Dorota Gryka, Paulina Karbownik, Magdalena Kłodowska, Agnieszka Kolenda, Patrycja Kurczewska, Aleksandra Machnowska, Justyna Mroczek-Żal, Renata Rabczewska, Karolina Rogala, Magdalena Romańczyk, Beata Sagan-Szendzielorz, Klaudia Smulska, Pola Stawiany, Katarzyna Twarduś, Ilona Żurawska

Weryfikatorzy: Anita Brzozowiec, Aleks Gapski, Joanna Gasińska, Agata Graczyk, Paulina Karbownik, Magdalena Kłodowska, Marcelina Kopaczka, Magda Kowalewicz, Aleksandra Krasińska, Żaneta Królikowska, Małgorzata Lisiecka, Paulina Miodyńska, Jakub Moroński, Malwina Niewielska, Agnieszka Nowak, Zuzanna Pajewska, Patrycja Pancerz, Katarzyna Pikosz, Renata Rabczewska, Agnieszka Ruczaj, Urszula Sarnowska, Monika Skołożyńska, Marta Szpakowska, Anna Twarowska, Barbara Uznańska-Loch, Joanna Zawadzka

Recenzenci: Aleks Gapski, Agnieszka Janowska, Aleksander Killman, Patrycja Kurczewska, Bartłomiej Partyka, Magdalena Piniak, Adam Raglan, Anna Sikorska, Monika Skołożyńska, Pola Stawiany, Adam Wnuk, Karolina Wojciechowska

Lektorzy: Daniel Brzeziński, Tomasz Buga, Sebastian Filipowicz, Aneta Pastuszka, Bartek Rogowski, Magdalena Samólnik, Stella M. Sit

Produkcja audio: Tomasz Buga, Witold Strugała

Korekta audiobooków: Jadwiga Glaza, Agnieszka Nowak, Agnieszka Ruczaj, Agnieszka Rzepecka, Aneta Stawiszyńska-Marciniak, Katarzyna Twarduś

Graficy: Emilia Baczyńska, Wiktoria Makowska, Marta Szymczyk

Skład: Kinga Grodzka, Maria Król, Nika Mrożek

SPIS TREŚCI

Przedmowa 15

Drzewa życia 17
Paula Wanarska

Bezimienne dusze 59
Aleksander Killman

Człowiek z maszyny 91
Barbara Zambrzycka

Kurort Makabra 123
Barbara Zosiuk

Era Wodnika 157
Magdalena Owczarek

Muzeum XX wieku 199
Tomasz Niziński

Długość dźwięku przeciętności 227
Krzysztof Matkowski

PRZEDMOWA

Większość z nas pisała kiedyś w szkole wypracowanie na zadany temat. Tematy zwykle były irytujące, bo przewidywalne. Czasem próbowały być modne. Zwykle unikały kontrowersji albo poruszały kwestie sporne tylko pozornie. Coś w stylu „Czy ten bohater lektury postąpił słusznie?" albo „Czy warto segregować odpady?".

Wtedy ci z nas, którzy mieli w sobie żyłkę artysty, wzdychali i mówili: Ach, gdyby tak można było pisać, co się chce, bez ograniczeń! I przychodził taki moment, gdy siadaliśmy potem nad jakże symbolicznie czystą kartką, bez wytycznych, bez narzuconego pomysłu i nawet bez limitu słów – a kartka pozostawała pusta. I to bolało.

Pytanie, czy artysta (ależ wielkie słowo!) potrzebuje ograniczeń, jest czysto akademickie. I tak będzie je miał, choćby myślał, że nie ma. Bo materia, bo czas, bo język… Lepszym pytaniem jest: po co twórcy ograniczenia i czy faktycznie go ograniczają? A może – wbrew pozorom –są one trampoliną, od której można się odbić?

Kiedy na stronie Fantazmatów pojawił się konkurs o tajemniczym tytule „Pomieścia", przemknęło mi przez myśl, że narzucone wymagania mogą być jednak zbyt konkretne. Opowiadanie z elementem zagłady polskiego miasta? Przyszły mi do głowy tylko Powstanie Warszawskie i cyberpunkowe zalane Trójmiasto (oba są już ograne).

Ale nic tak nie mobilizuje jak obelga „nie dasz rady!". Wiedziałem, że chcę wziąć w tym udział. I wiedziałem, że nie napiszę ani o Warszawie, ani o Gdańsku (w którym aktualnie mieszkam). Mam wrażenie, że podobnie zareagowało spore grono uczestników konkursu. Uznali, że kto jak kto, ale oni podejmą wyzwanie i nie polegną.

Wśród opowiadań, które ostatecznie trafiły do tego zbioru (a więc wygrały konkurs), podejść do tematu jest naprawdę wiele. Są klimaty science fiction, są lekko zakręcone w kierunku baśni, ale ogólnie – pomimo ram – swoboda gatunkowa jest tu przeogromna.

Wcale nie jest to zbiorek postapo, jak sugerowałaby okładka. Zupełnie jakby ścisły temat dodał wszystkim artystycznych skrzydeł i pobudził fantazję.

Ja sam wspominam pisanie opowiadania konkursowego przez pryzmat ogromnej kwerendy, jaką musiałem wykonać (dziś mówi się: research). A to z powodu dodatkowego wymogu, który nałożyłem sam sobie – oparcia się na wydarzeniu historycznym. Jakimś. Wydaje się, że pomysł był dobry, skoro możecie teraz czytać te słowa. Ale czy lepszy niż pozostałe? Z pewnością równie oryginalny, o czym przekonacie się, przechodząc na kolejne strony.

Aleksander Killman

DRZEWA ŻYCIA

Paula Wanarska

Było wiele powodów, by nienawidzić Drzew, ale mi wystarczyłby jeden: to przez nie umarła moja matka.

Przywoływałam z pamięci kolejne obrazy: jej blada twarz w aureoli skołtunionych włosów; plamy krwi na pościeli, które bez powodzenia starała się przede mną zasłonić; kończyny chude i wiotkie jak gałązki, tak że na koniec bałam się nawet wziąć ją za rękę. Potrzebowałam tych wspomnień, by móc podsycać nimi gniew. A gniew był potrzebny, bo pozostawiał niewiele miejsca na strach.

Stałam nad wejściem do Głębi, gdzie zaginęli moi kuzyni, i wiedziałam, że nie wolno mi się bać.

Po prawdzie to nawet niespecjalnie ich lubiłam – nawet Denys, choć nie byliśmy jeszcze narzeczeństwem, okazywał im więcej uczucia niż ja. Stanowili jednak część mojej rodziny, a ja nie mogłam znieść myśli o tym, że las po raz kolejny zabierze coś, co uważałam za swoje. Kiedy umierała matka, po prostu siedziałam przy jej łóżku, wystraszona i zupełnie bezsilna. Od tamtego czasu minęło jednak dziesięć lat i tym razem nie zamierzałam czekać na nieuniknione.

– Jesteś pewna, że chcesz tam zejść? Sama?

Odwróciłam się do Adama, który po raz chyba dziesiąty sprawdzał mocowanie lin. Oddychał ciężko, może ze zdenerwowania,

a może po prostu dlatego, że wciąż dochodził do siebie po biegu. Nagle poczułam się zirytowana tym, że nie mam co liczyć na wsparcie kogoś sprawniejszego. Ale wuj udał się do Straży Leśnej, by prosić ją o zorganizowanie poszukiwań, a ojciec… Wzdrygnęłam się na myśl, co by powiedział, widząc mnie teraz. Nigdy by mi nie pozwolił na takie ryzyko.

– Zanim Straż się zbierze i coś zdecyduje, może być już za późno – rzuciłam ostro. – Chcesz czekać, aż Mik i Tomek trafią na jakąś dziurę i poskręcają sobie karki? Albo aż coś ich tam zeżre?

– A jeśli to ciebie coś zaatakuje? A jeśli to ty spadniesz i skręcisz kark?

Zacisnęłam zęby, bo miałam wrażenie, że mięśnie twarzy zaczynają mi drgać w nerwowym tiku. Czułam na plecach chłód wionący z podziemi, a moja determinacja topniała z każdą chwilą. Ostatnie, czego potrzebowałam, to Adam próbujący podkopać te resztki pewności siebie, jakie mi jeszcze zostały.

– Możesz przestać histeryzować? Przecież tobie nie każę tam schodzić – warknęłam, chwytając się niezawodnej wściekłości. – Ty niczym nie ryzykujesz.

– Poszedłbym z tobą, gdybym mógł – odparł głucho.

Widziałam, jak zaciska i rozprostowuje palce, wyraźnie zdenerwowany. Nic dziwnego – chodziło przecież o jego młodszych braci. To on powinien po nich zejść. I przecież tak by zrobił, gdyby nie to, że dwa lata temu jedna zababrana rana sprawiła, że trzeba mu było amputować przedramię.

Nie znosiłam się z nim kłócić, bo na końcu zawsze czułam się przez to jak ostatnia suka. Tak jak teraz.

– Poradzę sobie. – Bardzo starałam się powiedzieć to ze spokojem i przekonaniem, których wcale w sobie nie miałam. – Jeśli nie uda mi się przywlec szkodników z powrotem na górę, to przynajmniej doprowadzę do nich ekipę poszukiwawczą.

– Jesteś uparta jak korzenie!

Pozwoliłam Adamowi sprawdzić, czy dobrze zawiązałam pętle, i wyregulować paski plecaka. Gdzieś w pobliżu któreś z Drzew kończyło owocować i lśniące błękitnobiałe nasiona unosiły się w powietrzu, podobne do iskier wyrzucanych z ogniska. Jedno wylądowało na moim rękawie; wzięłam je między palce i zmiażdżyłam, po czym wytarłam dłoń o spodnie.

Było to niewiele więcej niż pusty gest – choćby i w Gdańsku nie wyrosło już żadne nowe Drzewo, w niczym by nam to nie pomogło. Ich pnie były zbyt twarde, by dało się je wyciąć jakimkolwiek dostępnym narzędziem; ich kory, czarnej i połyskliwej jak metal, nie imał się ogień. Z dużym prawdopodobieństwem miały przeżyć nas wszystkich.

– Wzięłaś pochodnie? – upewnił się Adam.

– Wzięłam wszystko. Zostaw już te sprzączki, co?

Odepchnęłam go, ucinając dalsze pytania. Miałam wrażenie, że jeśli zostanę na powierzchni choćby minutę dłużej, zrezygnuję.

Podeszłam do szybu, z którego wiało zimnem i stęchlizną.

– Czego się nie robi dla rodziny – mruknęłam i zeskoczyłam w ciemność.

***

Szyb windy był zarośnięty korzeniami Drzew, połyskliwymi i grubymi; upasły się prądem, który kiedyś płynął w instalacji. Teraz stanowiły więcej niż dostateczne oparcie dla rąk i stóp, o ile ktoś radził sobie ze wspinaczką. Ja radziłam sobie lepiej niż przyzwoicie; jeszcze jako smarkula właziłam na szkielety zarośniętych wieżowców, ścigając się z podobnymi do mnie odważnymi, durnymi dzieciakami. Zrezygnowałam dopiero po tym, jak Andriej spadł i skręcił kark; nie podjęłam jednak tej decyzji ze strachu, lecz z powodu lania, które spuścił mi wtedy ojciec – to był jeden jedyny raz, gdy podniósł na mnie rękę.

Przyszło mi do głowy, że Mikołaj i Tomek, moi bezużyteczni, wychuchani kuzyni – którzy nigdy nie wspinali się na wieżowce ani nie ganiali po ruinach grożących zawaleniem – mogą po prostu leżeć gdzieś na dnie z połamanymi kręgosłupami. Nie mieli przecież jak nauczyć się tego, co umiałam ja.

Z drugiej strony nie dziwiło mnie nawet, że po latach spędzonych pod opiekuńczymi skrzydłami ciotki musieli wreszcie zrobić coś ryzykownego. Padło akurat na durny zakład i zejście do Głębi. Chciałabym, żeby wuj spuścił odpowiedni łomot chłopakowi, który ich podpuścił, ale wiedziałam, że nic takiego się nie stanie; wuj zostawi wszystko w rękach Leśnej Straży.

Kiedy stanęłam już pewnie w korytarzu na najwyższym z poziomów Głębi, trzy razy szarpnęłam linę, by dać znać Adamowi, że dotarłam bezpiecznie. Po omacku uwolniłam się z pętli i zaczęłam grzebać w plecaku, aż pod palcami wyczułam charakterystyczny podłużny kształt. Miesiąc wcześniej kupiłam ją w Przystani od jednego z przemytników i od tamtego czasu trzymałam w betonowej skrytce daleko od domu. Oczywiście łamałam w ten sposób prawo: posiadanie sprzętów wykorzystujących energię elektryczną było zakazane, bo prąd prędzej czy później przyciągał Drzewa, dokarmiał je, pozwalał wyrosnąć nowemu. Mimo wszystko nie potrafiłam się oprzeć; nie wiem nawet, czy bardziej fascynowały mnie możliwości latarki, czy po prostu fakt, że była z Zewnątrz.

Nie odważyłam się jednak włączyć jej tak blisko korzeni; w ciemności przeszłam kilka kroków, wyciągając przed siebie ręce i nasłuchując. Miałam nadzieję, że nie potknę się o nic miękkiego i ciężkiego, co okaże się ciałem jednego z kuzynów.

– Mik? Tomek?! To ja, Zanna!

Nie spodziewałam się, że będą siedzieć tuż przy wejściu i tak po prostu na mnie czekać. Liczyłam jednak na to, że mój głos spłoszy ewentualne dzikie zwierzęta albo da znać jakiemuś wyrzutkowi,

że nadchodzę. Zarówno zwierzę, jak i człowiek byliby groźniejsi, gdybym ich zaskoczyła, a tak dawałam im czas na wycofanie się.

– Szkodniki! Gdzie jesteście?!

Odpowiedziało mi echo i oburzone piski nietoperzy. Nie mogłam iść dalej po omacku. Włączyłam latarkę.

Światło było tak jasne, że w pierwszej chwili musiałam zmrużyć oczy. Przecinało ciemność jak nóż i w niczym nie przypominało chybotliwego blasku lamp olejnych czy pochodni.

I pomyśleć, że kiedyś mogliśmy w taki sposób oświetlić wszystko, co chcieliśmy: domy, kościoły, nawet ulice. Wyobraziłam sobie Gdańsk pełen tak intensywnego blasku latarni, że noc niewiele różniła się od dnia. To musiało być coś niewiarygodnie pięknego.

Uniosłam latarkę na wysokość biodra i powoli ruszyłam przed siebie. Pierwszy poziom Głębi był najbardziej zrujnowany: wszędzie walały się kawałki płyt, pod ścianami zalegały zwały błota i śmieci, a z dziurawego sufitu zwieszały się korzenie – niektóre grube jak moja talia, sięgające podłogi, wgryzające się w nią, by dotrzeć głębiej. Klucząc między nimi, uważałam, by żadnego nie dotknąć. Opowieści o pożywianiu się przez niektóre Drzewa ludzką energią uważałam za głupi przesąd, ale te stare, potężne korzenie budziły we mnie jakiś pierwotny, siedzący głęboko w trzewiach lęk. Patrzyłam, czy na ciemnej powierzchni nie pojawiają się białe żyły, czy delikatne wąsy nie drżą, wychylając się ku źródłu prądu, ale nic takiego się nie działo. Żadnej reakcji – ani na światło latarki, ani na moją obecność. Być może te Drzewa były już zbyt wiekowe, a może po prostu nasyciły swój głód wiele lat temu.

Szybko obeszłam pierwszy poziom, choć nie zdołałam sprawdzić wszystkich zakamarków; wciskanie się w niektóre miejsca mogłabym przypłacić złamaniem albo po prostu utknięciem. Pozostawało mi liczyć na to, że któryś z dzieciaków – nawet jeśli coś im się stało – odpowie na moje wołanie.

A ponieważ nikt nie odpowiadał, wróciłam do szybu, ponownie obwiązałam się liną i zeszłam głębiej; na poziom, który kiedyś był parkingiem.

Nawet światło latarki nie sięgało jego końca, wydobywało z mroku tylko najbliższe słupy, rzucające ogromne, kanciaste cienie. Pomiędzy nimi stały porzucone samochody. „Samochód" – cóż za idiotyczna nazwa! Żadna z tych maszyn nie potrafiła przecież sama się poruszać, wszystkie potrzebowały ropy albo prądu, a przy braku jednego i drugiego nadawały się tylko na części. Wilgoć, rdza, żarłoczność Drzew i wreszcie chciwość złomiarzy sprawiły, że większość wehikułów straciła pierwotne kształty. Pozbawione licznych elementów, oplecione korzeniami, pokraczne maszyny stanowiły kolejne bezużyteczne wspomnienie utraconej cywilizacji.

Szłam przed siebie, starając się omijać korzenie, kałuże, zwierzęce truchła i walające się gdzieniegdzie kawałki stali. Czasem coś poruszało się na krawędzi mojego pola widzenia; raz wydawało mi się, że słyszę kroki. Człowiek? Woda kapiąca z sufitu na blaszany dach samochodu? Korzeniec – człowiek, na którego mogile wyrosło Drzewo i ożywiło zwłoki odrobiną pożartej energii?

Przy każdym hałasie serce podchodziło mi do gardła, aż w końcu sięgnęłam do plecaka i wyjęłam glocka. To był mój kolejny zakup z Przystani. Poza futrami musiałam dołożyć dwa stare zdjęcia, które zostały nam po babci; z jakiegoś powodu takie pamiątki stały się bardzo pożądane na Zewnątrz. Pistolet wydawał mi się doskonały, ale nie chciałam sprawdzać w praktyce, czy był wart swojej ceny. Powtarzałam sobie, że złomiarze nie mieliby po co tu schodzić, bo dawno już wynieśli wszystko, co miało jakąś wartość. Że żaden wyrzutek nie chowałby się akurat w Głębi, w najczarniejszej dupie, a zarazem wciąż na terytorium Straży. Ale serce waliło mi coraz szybciej, a dłonie – ta trzymająca latarkę i ta kurczowo zaciśnięta na rękojeści glocka – robiły się coraz wilgotniejsze. W myślach zaczęłam obiecywać kuzynom najokrutniejsze kary, jednak nawet to

niewiele pomogło. Moja wściekłość już się wypaliła, został tylko strach, który do każdego cienia i każdego dźwięku dopisywał coraz bardziej przerażające historie.

Jeszcze niżej.

W połowie szybu, pomiędzy drugim a trzecim poziomem, jeden z korzeni nagle wyślizgnął mi się spod palców. Może spływała po nim woda, a może aż tak bardzo pociłam się ze strachu. Wyrwał mi się cienki wrzask – nie sądziłam, że jestem w stanie wydać z siebie taki dźwięk. Rozpaczliwie szorowałam rękoma i czubkami stóp po ścianie, szukając chwytu. Poczułam szarpnięcie w okolicach pasa, gdy lina się napięła; spowolniła upadek, a to wystarczyło, bym zdołała przytrzymać się jakiejś wystającej krawędzi. Na chwilę przylgnęłam do zimnej, oślizgłej ściany, starając się uspokoić walące szaleńczo serce i przekonać swoje kończyny, by przestały dygotać. Dopiero gdy dotarłam na dół, stanęłam pewniej na ziemi i znów wyjęłam latarkę, zaczął do mnie docierać ból i coś jeszcze – ciepła wilgoć na palcach, niebędąca potem. Osuwając się po ścianie szybu, połamałam paznokcie i zdarłam skórę z dłoni. Przyszło mi do głowy, że mogę nie być w stanie zejść jeszcze niżej. Więcej: że jeśli Adam i jego lina zawiodą, to nie dam rady o własnych siłach wspiąć się z powrotem. Cóż to by był za wstyd, gdybym zamiast ocalić szkodniki, sama potrzebowała ratunku.

– Nie ma, kurwa, mowy – wycharczałam przez zęby, mobilizując się do wysiłku. Trochę pomogło, przynajmniej snop światła latarki przestał się trząść.

– Mikołaj! Tomek! – Miałam wrażenie, że mój głos, pół godziny wcześniej po dorosłemu rozkazujący, a nawet zirytowany, teraz brzmi bardzo młodo i cokolwiek histerycznie. Może wręcz błagalnie. – Gdzie jesteście? Odezwijcie się!

Wraki samochodów szczerzyły ku mnie zardzewiałe paszcze; ich reflektory odbijały światło latarki, błyszcząc zupełnie jak ślepia przyczajonych w ciemności potworów. Potknęłam się o zwierzęce

truchełko. Zaczynało robić mi się duszno ze strachu. Zawołałam znowu, a potem jeszcze raz i jeszcze. Aż w końcu…

Może było to tylko długo utrzymujące się echo, a może tylko wytwór mojej wyobraźni, ale uczepiłam się dobiegającego z oddali dźwięku, który brzmiał trochę jak przeciągłe „tuuutaaaj", i ruszyłam w jego stronę. Po chwili głos odezwał się ponownie; tym razem byłam już pewna, że to któryś z kuzynów. Od rzucenia się biegiem powstrzymywały mnie zarówno rozsądek, jak i wciąż miękkie kolana. Wyminęłam stertę gruzu i przewróconą na bok furgonetkę, z której wysypywały się resztki mechanicznych wnętrzności. Kiedy wyszłam zza załomu muru, światło latarki wydobyło z ciemności trzy przykucnięte sylwetki.

Trzy?

– Znaleźliśmy trupa – oznajmił Tomek takim tonem, jakby nie mógł się zdecydować, czy jest dumny, czy przerażony. – A Mik złamał rękę. Skąd masz to światło?

Naprawdę chciałam się na nich wydrzeć, przykryć cały strach i ulgę złością; zwyzywać ich od najgorszych kretynów i kazać iść za sobą teraz, natychmiast, jak najdalej stąd, ale…

Ale wystarczył mi rzut oka na zwłoki – na resztki grubej kurtki z połyskliwego materiału, dziwaczne buty i przyciśnięty do piersi plecak – by zrozumieć, że to nie jeden ze złomiarzy, który zszedł na dół i nie wrócił.

– Chcieliśmy sprawdzić, co ma przy sobie – odezwał się Mik – ale boimy się go dotknąć. Więc tak siedzimy.

– Wasi rodzice odchodzą od zmysłów! Odbiło wam?! Wiecie w ogóle, czym można się od tego zarazić?

A jednak sama przykucnęłam tuż obok tego, co zostało z człowieka z Zewnątrz. Widok – tak wyraźny w świetle latarki – z pewnością był odrażający; jakaś część mojego umysłu rejestrowała wyzierające spod ubrań kości i ścięgna oraz odstające od nich kawałki wysuszonej skóry. Mimo to poczułam się raczej zaintrygowana niż

przerażona. Choć ciało już dawno zaczęło się rozkładać, ubrania i plecak przetrwały. Materiały, których używano na Zewnątrz, były niesamowicie wytrzymałe. Jak długo ten człowiek tu leżał? Skąd się wziął? Przemytnicy nie opuszczali plaży w Przystani, zarówno z powodu oficjalnego rozkazu Straży, jak i ze względu na zdrowy rozsądek. Czy więc obcy był jednym z tych, którzy kiedyś – jeszcze w czasach młodości babci – dostarczali do miasta leki i różne potrzebne urządzenia, nim wreszcie stwierdzili, że nie warto nam pomagać, i zniknęli na zawsze?

– Też jesteś ciekawa, co nie? – Tomek spoglądał mi przez ramię, czułam na policzku jego przyspieszony oddech. – Zawsze byłaś odważna. Nie bałabyś się go dotknąć, nie?

Co wartościowego mógł mieć przy sobie? Prawdopodobnie nic na prąd, skoro nie oplotły go korzenie. Leki zdążyłyby się zepsuć. Ale może jakieś zdjęcia? Listy? Coś, co mogłabym sprzedać. Albo z czego dowiedziałabym się, skąd on w ogóle się tu wziął i po co schodził do Głębi.

– Dobra, szkodniki, wasza sytuacja jest cholernie, cholernie do dupy. – Spojrzałam na kuzynów. – Proponuję wam układ. Nie powiem nikomu o zwłokach i rodzice zrobią wam nieco mniejsze piekło. Ale pod jednym warunkiem. – Ostrożnie wysunęłam plecak z przykurczonych ramion trupa. – Niczego tu nie znaleźliśmy, jasne?

***

22 maja 2078 r.

Rogoskiemu bardzo zależało, żeby Drzewa były piękne. Stąd te fioletowo-zielone liście z nieregularnym ząbkowaniem na brzegach i intensywnym, niemal czerwonym zabarwieniem w samym środku blaszki. Stąd czarna kora, błyszcząca prawie jak metal. Drzewa miały nie tylko oczyścić nasze miasta, ale też stać się ich ozdobą. Być może

było w tym i odrobinę próżności ich twórców. Ciekawe, co Rogoski powiedziałby teraz, gdy jego twory rosną w każdym mieście w Europie.

I rzeczywiście są piękne.

Gdańsk oglądany ze wzgórza Pachołek to fioletowo-zielone, połyskliwe morze Drzew, rozlewające się aż do samej plaży. Spomiędzy liści wyłaniają się szkielety budynków, strasząc pustymi oknami i dziurawymi dachami. Niektóre wieżowce – wydaje mi się, że potrafię wskazać oliwskie Business Centre, Neptun we Wrzeszczu i stary Zieleniak – oplecione ciemnymi pędami przebijają się wysoko ponad korony, a liście wylewają się z ich pustych okien jak kwiaty z donic. Na prawo widać cienką jak igła wieżę, pewnie kościoła, a bliżej plaży biało-czerwone kominy – to chyba Nowy Port. Poza tym jednak – tylko Drzewa.

Żałuję, że nie wolno mi użyć aparatu fotograficznego. Chciałbym pokazać ten widok Jayce.

24 maja 2078 r.

Do Gdańska wciąż ściągają ludzie, w nadziei, że w ruinach miasta czeka na nich coś lepszego niż gdzie indziej. Zapewne chodzi im też o tę namiastkę kontaktu ze światem zewnętrznym, jaką daje Przystań. Jeśli jednak mają nadzieję, że ten świat pewnego dnia znów się nimi zainteresuje, to są w błędzie. Już od lat do Przystani nie przybił ani jeden transport humanitarny, a żaden z rządów Nowej Europy czy USA nie zamierza interesować się kontynentem, który dawno został spisany na straty.

Chyba że udałoby się pozbyć Drzew.

Dla nas jednak liczy się to, że do Gdańska wciąż ściągają ludzie i dzięki temu nasza wyprawa nie rzuca się aż tak w oczy. Zeszliśmy na ląd gdzieś w okolicach Kopalina i jeszcze w Lęborku zakupiliśmy od miejscowych dwa wozy oraz jakieś prymitywne ubrania. Negocjacje nie były najłatwiejsze – także dlatego, że tutejsza polszczyzna okazała się różnić od mojej – ale po kilku godzinach doszliśmy do porozumienia,

a doktor Kryszewicz wydawała się zadowolona. Ona sama mówi po polsku bardzo słabo, dlatego potrzebowała w wyprawie asysty tłumacza. Mogła wybrać kogoś z licencją, zdecydowała się jednak na mnie z jednego tylko powodu – jako dziecko pływałem z ojcem do Gdańska.

Za rejsy do Europy, skąd mógł teoretycznie przewieźć nasiona Drzew, skazano go na dwadzieścia lat więzienia. Mnie udało się uniknąć poprawczaka, ale wpisy w kartotece zostały. Wiedzieli o tym w Instytucie Curie – dlatego nie miałem co liczyć na posadę wykładowcy, zostało mi co najwyżej zatęchłe archiwum. I tkwiłbym w nim nadal, gdyby informacje o mojej przeszłości nie trafiły do uszu Kryszewicz, która akurat desperacko potrzebowała przewodnika dla swojej niewielkiej wyprawy.

Uczepiłem się okazji i przemilczałem część prawdy – tę najważniejszą. Jednak ile czasu minie, nim ktoś się zorientuje, że wcale nie znam miasta, przez które mam ich prowadzić?

Na razie rozbiliśmy obóz na zapleczu dawnego Szpitala Dziecięcego; została z niego zarośnięta Drzewami ruina. Doktor Kryszewicz, doktor Yaning i Susane zbierają próbki, a ja siedzę. Obserwuję. Chłonę.

Nie dalej jak godzinę temu przez podwórze przebiegło stado saren. Rano, podczas spaceru po okolicy, widziałem wilka. Wylizywał łapy przed jedną z hal zrujnowanej zajezdni. Prawdziwy wilk! Nigdy nie sądziłem, że będę mógł zobaczyć jakiegoś na własne oczy, a nie tylko w interwizji. Tak bardzo chciałbym, żeby Jayce tutaj była.

26 maja 2078 r.

Nie wiem, co doktor Kryszewicz chce osiągnąć. Cały jej zespół kręci się po okolicy, mierzy, notuje i zbiera próbki. To samo robiło już wiele ekip przed nimi – lata temu, kiedy jeszcze wysyłano dziesiątki zespołów naukowych, by znalazły sposób na zwalczanie Drzew. Nikomu się nie udało. Dlaczego licząca kilkanaście osób i finansowana przez samą Kryszewicz wyprawa miałaby osiągnąć coś więcej? Rogoski i jego zespół wykonali swoją pracę aż za dobrze – Drzewa, które miały

bezproblemowo przyjąć się w zanieczyszczonym miejskim środowisku, są niedorzecznie odporne. Nie chorują. Ich czarna kora jest odporna na ogień i tak twarda, że ścięcie pnia siekierą czy piłą jest właściwie niewykonalne, pomijając już nawet trudności w zdobyciu paliwa czy konieczność obchodzenia się bez elektryczności. Nie ma też na świecie szkodników czy pasożytów, które żywiłyby się Drzewami. Ładunki nuklearne zaś… Cóż, najpierw trzeba byłoby ewakuować całą Europę. A dokąd można by zabrać te miliony ludzi? Pozostałe kontynenty już i tak są przeludnione.

Dlatego my żyjemy w naszych zatłoczonych miastach, a oni – pomiędzy Drzewami.

***

Charakterystyczne skrobnięcie w szybę sprawiło, że prawie podskoczyłam na łóżku. Odruchowo wsunęłam dziennik pod poduszkę, czując się jak smarkula przyłapana na podjadaniu słodyczy przemyconych z Zewnątrz.

Ostatnią godzinę spędziłam na mozolnym odcyfrowywaniu zapisków w notesie, który wyjęłam z plecaka trupa. Znalazłam w nim jeszcze apteczkę (z tej nie mogło już być żadnego pożytku), niewielki, cienki jak papier dysk w plastikowym etui oraz pudełko wypełnione fiolkami, których zawartość wyglądała jak zwykły brud. Nie potrafiłabym wyjaśnić, czemu te ostatnie także zabrałam; prawdopodobnie były zupełnie bezwartościowe.

Skrobanie powtórzyło się. Dla pewności przyklepałam jeszcze poduszkę i podeszłam do okna. Otwierane skrzydło zaskrzypiało przeraźliwie, a do środka wdarło się rześkie nocne powietrze, które pachniało lasem, wilgocią i jednym spoconym chłopakiem.

– Co ty tu robisz, Den? – W moim głosie brzmiało nieco więcej irytacji niż powinno, biorąc pod uwagę, że mówiłam do swojego prawie narzeczonego.

Denys przycupnął na resztkach tego, co kiedyś było balkonem. Płyty już dawno zostały rozsadzone przez gałęzie i korzenie, które wdarły się do domu i przywarły do instalacji elektrycznej. Mimo to nigdy nie myśleliśmy o wyprowadzce. Wycięliśmy, co się dało – słabsze gałęzie, cienkie korzenie i młode pędy, choć nawet one stawiały opór – i zamurowaliśmy dziury. Podobnie zresztą robiła większość rodzin – grube mury i solidne fundamenty były zbyt cenne, by je porzucać.

Denys wspinał się na balkon, gdy chciał udawać romantyka, a ja – choć na głos wytykałam mu pretensjonalność i głupotę – właściwie uważałam to za dość urocze.

– Słyszałem o chłopakach. – Mój prawie narzeczony oparł się o parapet. – Nic ci się nie stało? Wiem, jest już po północy, ale zobaczyłem świecę i… Nie obudziłem cię?

– Nie spałam. Nie miałeś być na polowaniu?

– Niedawno wróciliśmy. Przybiegłem, jak tylko usłyszałem.

– Widzę. – Przerwałam mu. – I czuję. Strasznie śmierdzisz.

Fakt, że nawet zmęczony po kilkudniowym polowaniu od razu chciał mnie zobaczyć, że szedł tak daleko, w środku nocy i zupełnie sam, był cokolwiek… miły. Powinnam wpuścić go do środka. Zaproponować coś do picia. Porozmawiać. Ale moje myśli uparcie krążyły wokół dziennika, a świeca wypaliła się ledwie do połowy…

Nawet jeśli Denys poczuł się urażony tym, że trzymałam go na zewnątrz i niezbyt garnęłam się do czułości, nie dał tego po sobie poznać. Może zresztą zdążył się przyzwyczaić i moja szorstkość już mu nie przeszkadzała.

– Nic sobie nie zrobiłaś? Z Mikołajem i Tomkiem wszystko w porządku?

– Szkodniki są w tak dobrej formie, że przyjdzie im tego pożałować, bo nikogo nie wezmą na litość! – prychnęłam. – A mi nic nie jest, nie jestem z porcelany.

– To jest nic? – Bardzo delikatnie ujął moje obandażowane dłonie. – Coś mi się wydaje, że przez jakiś czas będziesz potrzebowała kogoś, kto będzie robił strzały i polował za ciebie.

W tamtym momencie niemal miałam ochotę wciągnąć go do środka i pocałować. Niemal.

– Było warto trochę się podrapać – powiedziałam z uśmiechem. – Nawet się nie domyślasz, co tam znalazłam.

Chciał spytać, ale położyłam mu dłoń na wargach.

– Opowiem ci, jak wrócisz umyty i nie tak cuchnący. Jutro.

28 maja 2078 r.

Czasem czuję się jak idiota, siedząc przy lampie i pisząc to wszystko.

Kiedy szykowaliśmy się do tej wyprawy, wierzyłem, że stoję przed niepowtarzalną szansą. I nie myślałem wcale o pieniądzach. Naprawdę sądziłem, że Kryszewicz ma jakiś plan; że jest na tropie czegoś, co wreszcie da nam szansę na pozbycie się Drzew. Że cała ekspedycja stanie się sławna, a ja wreszcie wydostanę się z archiwum. Cholera, czasem nawet roiłem sobie, że po powrocie przyznają mi własny pokój i będę mógł wreszcie zaproponować Jayce, żebyśmy zamieszkali razem.

Byłem durny. Im bliżej byliśmy Polski, tym jaśniej docierało do mnie, że nie mamy szans na żadne przełomowe odkrycie. Przecież przed nami próbowało tak wielu innych – i wszyscy musieli przyznać, że nie mają pojęcia, jak zniszczyć Drzewa, nie niszcząc przy okazji zajętego przez nie kontynentu.

Chyba wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że mógłbym zacząć prowadzić dziennik. Że po powrocie uda mi się napisać jakieś wspomnienia czy kilka reportaży – jakieś „Pocztówki z porzuconej ziemi".

Przecież ludzie wciąż interesowali się Europą. Jak wygląda życie wśród Drzew? Czy miejscowi cofnęli się w rozwoju cywilizacyjnym o całe stulecia? Czy czczą las albo słońce, składają Drzewom ofiary z dzieci i kurcząt?

Pomyślałem, że opowieść o Gdańsku mogłaby się dobrze sprzedawać. Że może dzięki temu pewnego dnia byłoby mnie stać nie tylko na własny pokój, ale na osiedlenie się w Nowej Zelandii albo Australii – gdzieś, gdzie można mieszkać w prawdziwych domach, a nie w klaustrofobicznych mrówkowcach.

Ale Gdańsk zupełnie nie jest taki, jak sobie wyobrażałem; nie taki, jak w serialach i pseudodokumentalnych programach w interwizji; nawet nie taki, jak ostrzegał mnie dziesięć lat temu ojciec. Nie ma tutaj żadnych szamanów czczących las; nikt nie odprawia krwawych rytuałów. Nie natrafiliśmy też na żaden ślad terroryzujących miasto bojówek czy szalonych wyznawców Drzew – tych, którzy podobno nazywali siebie Purpurowymi. To z ich powodu ojciec nigdy nie pozwolił mi opuścić Przystani. Uważał, że miasto jest zbyt niebezpieczne, szczególnie dla tych z Zewnątrz.

O czym więc miałbym pisać? O dwóch dziewczynach, które na progu domu oskubywały kurczaki? O sznurach prania zawieszonych pomiędzy słupami latarni? O starej kobiecie, której najwyraźniej udało się oswoić lisa, bo stworzenie przychodziło na jej podwórze podjadać resztki?

W niektórych momentach bardzo łatwo jest uwierzyć, że ich życie nie jest wcale gorsze od mojego.

29 maja 2078 r.

Tak, za dnia można myśleć, że życie w lesie nie jest takie złe. Mimo wilgoci, a może właśnie dzięki niej, powietrze pachnie tu jak w żadnym znanym mi mieście. Zamiast wiecznego hałasu słychać szum liści i śpiew ptaków, które zresztą brzmią zupełnie inaczej niż na

nagraniach do relaksacji. Dziś rano widziałem lisicę z młodymi, bawiły się na starym peronie. W Nowym Berlinie lisy można zobaczyć tylko w ogrodach ochronnych. Tutaj jest ich pewnie tak dużo, że ludzie polują na nie dla futer. Bo chyba ich nie zjadają?

Wieczorem i w nocy jest inaczej. Można się przyzwyczaić do spania na ziemi, fatalnych posiłków i nieschnącej odzieży. Ale kiedy leży się przy zbyt małym ognisku, a dookoła pełno jest szelestów, trzasków, dalekiego wycia i świecących oczu, kiedy nie można nawet sięgnąć po latarkę, bo cały sprzęt jest szczelnie opakowany i trzymany poza zasięgiem korzeni, gałęzi i nasion – wtedy łatwo uwierzyć we wszystkie opowieści o lesie. Nawet te, że Drzewa nienawidzą ludzi i potrafią karmić się ich życiem, tak jak wcześniej pożerały elektryczność.

Nikt z nas nie śpi tu dobrze.

31 maja 2078 r.

Dziś Joel, szef tragarzy, długo kłócił się z doktor Kryszewicz. Pewnie chciał, żebyśmy wreszcie skończyli z ukrywaniem się i przenieśli obóz w jakieś miejsce, gdzie jest mniej Drzew, może w pobliże plaży. Oczywiście Kryszewicz postawiła na swoim; nigdzie się nie ruszyliśmy. Zastanawiam się, czy jej ostrożność nie jest w znacznej mierze wynikiem opowieści, którymi sam ją uraczyłem. Nigdy nie kwestionowałem tego, o czym mówił ojciec, ale do tej pory nie zdarzyło się nic, co potwierdzałoby jego słowa.

1 czerwca 2078 r.

No to mamy nasze własne Drzewo.

Pewnie ktoś, kto miał wartę w nocy, spanikował; odpalił noktowizor, żeby przekonać się, co tak hałasuje w ciemności, albo włączył latarkę. Jasne, teraz nikt się nie przyzna. W każdym razie rano z pudła, w którym trzymaliśmy część sprzętu, wyrastała już siewka; cała lśniła

od pożeranej energii. Siedzieliśmy i gapiliśmy się, jak rośnie nam niemal w oczach. Nikt nie odważył się choćby jej dotknąć, nie mówiąc o wyrzuceniu. W żarłoczności tej rośliny, w szybkości, z jaką się rozrastała, było coś absolutnie przerażającego. Jakbyśmy zetknęli się z czymś pierwotnym i niepowstrzymanym.

Aż trudno uwierzyć, że ta zdolność pochłaniania energii wykształciła się u Drzew przypadkiem.

Oczywiście nigdy niczego nie udowodniono. Koncepcja, jakoby ktoś z zespołu Rogoskiego celowo wprowadził tę mutację, jest czasem traktowana jak poważna hipoteza, a czasem jak teoria spiskowa, zależnie od nastroju w mediach i wśród polityków. Niemniej jednak, skoro teraz istnieją w Europie fanatycy, którzy uważają Drzewa za zbawienie, a naukę i technologię za chorobę, to chyba jest możliwe, że wcześniej – nawet u Rogoskiego – też byli ludzie o podobnych poglądach.

Zresztą może nie powinienem się dziwić? Teraz idealizujemy dawny świat, ale Drzewa zrodziły się przecież z desperacji. Powstały, gdy sytuacja stała się już tak ciężka, że potrzeba było drastycznych środków, inaczej wszyscy byśmy się potruli i podusili. Cóż innego poza desperacją sprawiłoby, że cała Europa Zachodnia, Stany i Chiny tak się rzuciły na polski biowynalazek, nie pytając nawet o koszty, nie czekając na wyniki programu pilotażowego?

Pewnie za kolejne kilkadziesiąt lat jakiś historyk uzna to za zabawne. Baliśmy się dwutlenku węgla, zanieczyszczeń środowiska i globalnego ocieplenia; w końcu znaleźliśmy na nie remedium – i właśnie to nas zgubiło. Drzewa okazały się tak skuteczne, jak obiecywano: powietrze w miastach się oczyściło, średnia temperatura globu spadła prawie o dwa stopnie, lodowce przestały topnieć. Tylko przy okazji połowę lądów pochłonął genetycznie zmodyfikowany las.

3 czerwca 2078 r.

Kryszewicz nigdy nie podzieliła się ze mną dokładnym planem badań, ale wiem, że prędzej czy później udamy się na teren Politechniki.

Jak chyba każda wyprawa badawcza do Gdańska. Zupełnie jakby w miejscu, gdzie narodził się projekt „Drzewa życia", dało się znaleźć jeszcze coś wartościowego. Komputery zostały pożarte, zapiski zniszczone, większość danych przepadła – można by pomyśleć, że była to nie tyle skrajna niekompetencja, co celowe działanie. Ale to brzmi jak kolejna teoria spiskowa. W każdym razie wydaje się oczywiste, że cokolwiek ocalało w budynkach uczelni, albo zostało odkryte i zabrane przez poprzednie ekipy, albo rozkradzione przez miejscowych. A jednak doktor Kryszewicz z pewnością chce tam iść.

W końcu prawie codziennie siedzą – ona, Susane i doktor Yaning – i gapią się właśnie na zdjęcia Politechniki.

4 czerwca 2078 r.

Dziś doktor zdawała się mieć dobry humor, więc kiedy zobaczyłem ją i Susane znowu ślęczące nad fotografiami, spytałem, co jest na nich takiego wyjątkowego. Doktor odpowiedziała, że Drzewa.

Na początku nie wiedziałem, o co jej chodzi.

Wtedy pokazała mi dwa zdjęcia. Jedno – wykonane przez wyprawę Hansena dwadzieścia siedem lat temu. I drugie – sprzed pięciu lat, z nieautoryzowanej przez żadną uczelnię ekspedycji Krafta i Anastasiego. Wystarczyło kilka sekund, bym zauważył różnicę.

Drzewa umierały.

Budynki Politechniki były pełne sprzętu, kabli i elektryczności, więc Drzewa zaczęły się tam pożywiać i rozrastać, jak wszędzie. Na pierwszym zdjęciu były ogromne, niemal przesłaniały główny gmach. Za to na drugim wyglądały na chore. Żadne nie sięgnęło już ponad dachy; wieża zegarowa przewyższała je wszystkie. Na kolejnych zdjęciach zobaczyłem zeschnięte liście, które utraciły swoją intensywną barwę, nagie konary, połamane gałęzie. Szczerniałą, martwą sadzonkę.

Nie przypominam sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek widział Drzewa chorujące czy w jakiś inny sposób przegrywające walkę z oto-

czeniem. Były niedorzecznie odporne – tak je zaprogramowali ich stwórcy.

– Dlaczego? – Odchrząknąłem i poprawiłem się: – Dlaczego akurat tam?

Doktor Kryszewicz uśmiechnęła się do mnie – po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy.

– I to jest właściwe pytanie.

***

– Myślę, że powinnaś to wyrzucić. Dziennik, dysk i fiolki. Wszystko. – Reakcja Denysa, delikatnie mówiąc, nie przystawała do moich oczekiwań.

Niechętnie oderwałam plecy od nagrzanej podstawy ogromnego metalowego krzyża, o którą oboje się opieraliśmy, i wychyliłam się, by spojrzeć chłopakowi w twarz.

– Wyrzucić? Słuchałeś w ogóle tego, co mówiłam? Te rzeczy mogą zawierać wskazówkę, jak zniszczyć Drzewa! – Machnięciem ręki objęłam roztaczający się z góry widok: Stare Miasto zatopione w morzu fioletu, pojedyncze dachy i wieże wynurzające się z koron Drzew. – Tego całego lasu mogłoby nie być! Zaczęlibyśmy żyć jak ci z Zewnątrz; jak żyliśmy przed plagą! Potrafisz to sobie wyobrazić?

– A ty potrafisz?

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– O co ci chodzi?

– Wiem, że masz powody, by nienawidzić życia tutaj – zaczął ostrożnie – ale tamten świat nie jest wcale tak wspaniały, jak ci się wydaje. Nie taki jak w historyjkach twojego ojca i kolorowych gazetach.

Poczułam ukłucie wstydu na myśl o czasopismach, które od lat chowałam gdzieś między bielizną a bandażami używanymi podczas comiesięcznych krwawień. Oczywiście nie powinnam była kupować czegoś, czym nawet nie dało się porządnie napalić, ale

kochałam te barwne okruchy lepszego świata. Zwłaszcza wtedy, gdy po powrocie z długiego polowania marzyłam tylko o ciepłej kąpieli – zupełnie nieosiągalnej, bo drewno z normalnych drzew trzeba było oszczędzać. Nawet jeśli te piękne, czyste kobiety i pozbawieni blizn mężczyźni nie byli prawdziwi, to patrząc na nich, mogłam na chwilę zapomnieć.

– Może i gazety czasem kłamią, jakie to ma znaczenie? – Wzruszyłam ramionami. – Przecież oboje wiemy, że na Zewnątrz mają rzeczy, o jakich my możemy tylko pomarzyć. Leki. Technologię. Wiedzę.

Kolorowe ubrania. Książki. Słodycze. Światła palące się przez całą noc. Pachnące mydła. Może nawet mogłabym zapuścić włosy. Ale tego już nie powiedziałam na głos – nie chciałam, by uznał mnie za próżną i tak płytką, że marzyłam tylko o luksusach. Choć czasem marzyłam.

– I naprawdę powinniśmy im tego zazdrościć? Technologii, która o mało nie zgubiła starego świata? – Denys potrząsnął głową. – Wiedziałaś, że ludzie byli kiedyś tak od niej uzależnieni, że przestali nawet ze sobą rozmawiać? Siedzieli tylko zamknięci w domach, podłączeni kablami do tego swojego Internetu. Rodzina, przyjaźnie, to wszystko się nie liczyło. Niektórym rzeczywistość mieszała się z tym, co pokazywały komputery, i wariowali od tego. Strzelali do siebie, popełniali samobójstwa. Chciałabyś czegoś takiego?

– Naprawdę wierzysz w te bzdury? – Parsknęłam pogardliwie. – Bajki, którymi straszy się dzieci, o ludziach opętanych przez komputery?

– I myślisz, że historie, których naopowiadali ci ojciec z babcią, są lepsze? To dopiero są bajki, tyle że zmyślone w drugą stronę!

– I te leki, które kupuję w Przystani dla ojca, też sobie zmyśliłam? No to są kurewsko drogie jak na coś, co jest wymysłem. Tylko przy tym jakoś tak przypadkiem działają lepiej niż zioła, okłady i kora wierzby! – Nie wierzyłam, że w ogóle prowadzimy tak

idiotyczną dyskusję, i zaczynałam się wściekać. Pomyśleć, że chciałam podzielić się tym odkryciem akurat z Denysem, a mogłam zostać w domu i leczyć otarcia. Albo porozmawiać z ojcem. On by zrozumiał.

– Mają leki, wiem. Przecież nie raz pomagałem ci na nie zarobić, pamiętasz? – Denys wyciągnął rękę, żeby pogładzić mnie uspokajająco po ramieniu. – Na razie nie mamy nic, co mogłoby się z nimi równać, ale radzimy sobie coraz lepiej, prawda? Udało nam się uporządkować miasto, powołać Straż i Radę; możliwe, że Gdańsk jest teraz bezpieczniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. I to wszystko bez pomocy technologii! Pomyśl, do czego dojdziemy za kolejne dwadzieścia lat. Nie musimy już wyglądać pomocy z Zewnątrz, radzimy sobie…

Ale ja myślałam o tych wszystkich sytuacjach, gdy z jakiegoś powodu zabrakło nam leków z Zewnątrz. O chorej nodze ojca. O przyjaciółce z dzieciństwa, której twarz zdążyłam zapomnieć. O gruźlicy matki.

– Radzimy sobie, pewnie! – wybuchnęłam. – A kiedy moja matka wypluwała z siebie płuca, też sobie radziliśmy? Ciekawe, dlaczego w takim razie umarła! – Nawet się nie zorientowałam, kiedy zaczęłam krzyczeć. Ani kiedy zerwałam się na równe nogi, żeby zacząć krążyć w tę i z powrotem, przecinając pasma cienia rzucanego przez krzyż.

– I myślisz, że jeśli ci z Zewnątrz zaczną niszczyć Drzewa, to będzie lepiej? – Denys też podniósł głos; nie przypominałam sobie, by robił to kiedykolwiek wcześniej, nie na mnie. – Gówno prawda. Przyjdą tutaj, bogaci i aroganccy, z całą swoją technologią, żeby przejąć nasze osiedla, nasze zasoby, obrócić nas w tanią siłę roboczą i przywrócić wszystko do stanu sprzed kilkudziesięciu lat. Będziesz harować całymi dniami, a w nagrodę pozwolą ci się podłączyć do tych wszystkich kabelków i ekranów, które zaczną ci zastępować prawdziwe życie, aż w końcu ogłupią cię na tyle, że

zapomnisz, o czym marzyłaś. Będzie ci zależeć tylko na ruszających się kolorowych obrazkach.

– Ty w ogóle słyszysz, co wygadujesz?

– Zniszczyli swój świat, a ty nadal uważasz ich za lepszych od nas! Myślisz, że tu chodzi tylko o tę ich technologię? O mało nie doprowadzili do zagłady całej planety! O tym nikt ci nie mówił, prawda? Globalne ocieplenie? Całe miasta zalane, gdy wzrósł poziom mórz? Powietrze tak zanieczyszczone, że nie można było wyjść z domu bez maski? Drzewa nas uratowały, Zi, a ty chcesz je zniszczyć z powodu marzeń o kolorowych łachach i osobistej urazy!

– Gadasz jak Purpurowy! – rzuciłam mu w twarz, nim zdążyłam pomyśleć.

Denys pobladł, i nic dziwnego – trudno było o cięższą obelgę, zwłaszcza z moich ust. Kiedyś będę musiała go za to przeprosić, ale nie dzisiaj. I nie wcześniej, niż on odwoła te wszystkie bzdury, które wygadywał.

– Wyrzuć te rzeczy, Zi. Po prostu je wyrzuć i skończmy z tym wariactwem.

– To, co robię, to wyłącznie moja sprawa i nic ci do tego – wycedziłam. – Absolutnie i zupełnie nic.

Przez całą wędrówkę w dół zbocza Góry Gradowej liczyłam, że zawoła mnie, pobiegnie za mną i zacznie przepraszać. Nie zawołał.

***

7 czerwca 2078 r.

Od dwóch dni siedzę z Kryszewicz i Yaningiem w ruinach Politechniki. Na szczęście trafiliśmy tam bez większych problemów, a swoje krótkie momenty zawahania byłem w stanie zrzucić na ciągle zmieniający się las.

Doktor twierdzi, że wie dokładnie, gdzie znajdował się budynek B, siedziba Katedry Biotechnologii i kolebka Drzew. Oczekiwałem imponujących sal ze szkła i stali, a zastaliśmy zatęchłe korytarze i pozbawione okien klitki w podziemiach. Przynajmniej właściwie nie ma tu korzeni Drzew. Kryszewicz zaryzykowała nawet uruchomienie jednej ze swoich przenośnych aparatur.

Nieważne, jak długo przyglądam się pracowniom, nie potrafię znaleźć nic, co mogłoby się nam przydać. Niemniej jednak oni musieli czegoś się dopatrzyć, bo choć nie padły jeszcze żadne deklaracje, jestem w stanie wyczuć rosnący entuzjazm. Jakby naprawdę byli bliscy jakiegoś odkrycia.

Ja widzę tylko tyle, że długie godziny poświęcają zdrapywaniu pleśni i jakichś grzybów ze ścian.

8 czerwca 2078 r.

Kurwa, nie wiem nawet, jak zacząć.

Może tak – mój ojciec miał cholerną rację.

Rano z obozu głównego przybiegła spanikowana Francesca. Wrzeszczała coś o tym, że Drzewa zamordowały tragarzy. Zupełnie jak w jednej z tych opowieści o lesie, którymi straszy się dzieci. Przysięgam, pomyślałem, że napiła się brudnej wody albo zjadła jakieś trujące grzyby i dlatego jej odbiło.

Tyle że, kiedy wreszcie zaprowadziła nas do Joela i Zlatki, naprawdę zobaczyliśmy scenę z horroru. A ja musiałem odbiec na bok, żeby nie rzygać przy wszystkich.

Ciała obu tragarzy tkwiły nadziane na gałęzie Drzew jak na szpikulce. Ciemna kora była pokryta krwią i wydawało mi się, że widzę jasne żyły rozchodzące się pod powierzchnią. Przez chwilę wierzyłem w to, o czym mówili niektórzy naukowcy – że Drzewa w końcu zaczną się żywić także nami, naszą energią. Większość z nich twierdziła, że taka mutacja jest po prostu niemożliwa, ale tamten widok…

Na Kryszewicz nie zrobiło to większego wrażenia. Gapiliśmy się, jak podchodzi do ciał, jak z uwagą przygląda się najpierw im, potem Drzewu, a na końcu poszyciu dookoła. Taką samą minę miała, kiedy badała jakiś korzonek albo kawałek kory. Wreszcie spojrzała na nas, splunęła.

– Purpurowi. – W jej ustach brzmiało to jak najgorsze przekleństwo.

Nie mogłem się przemóc, żeby podejść bliżej, ale Susane powiedziała mi potem, że po dokładnym zbadaniu ciał znaleźli rany postrzałowe. Powtarzam sobie, że nadziano ich na gałęzie już po tym, jak umarli. Staram się nie wyobrażać sobie…

Nie. Nie chcę o tym więcej pisać.

Ojciec miał zatem rację i ci Purpurowi naprawdę istnieją. I najwyraźniej nie podoba im się nasza obecność. Albo… Albo wiedzą już, po co tu jesteśmy, i nie zamierzają dopuścić do tego, żebyśmy coś odkryli.

Kryszewicz zarządziła przeniesienie obozu na teren Politechniki. Wydaje mi się, że czas nam się kończy i ona o tym wie. Chce zrobić tyle, ile się da, nim będziemy musieli stąd uciekać.

10 czerwca 2078 r.

Zabili Susane.

Nie wiem, dlaczego wyszła. Przez ostatnie dni nic nie mogło jej oderwać od Kryszewicz i Yaninga, a z kolei tej dwójki – od piwnic budynku B. Znaleźliśmy jej ciało nadziane, jak poprzednie, na gałęzie jednego z Drzew, może dziesięć minut drogi od uczelni. Pomagałem ją ściągnąć, więc tym razem nie miałem wyboru, musiałem się przyglądać. Miała paskudną, głęboką ranę tuż obok lewej łopatki. Ivan twierdzi, że to od grotu strzały.

Wieczorem Safia powiedziała, że widziała w zaroślach jakichś ludzi obserwujących teren kampusu. Kryszewicz tylko skinęła głową,

jakby już wcześniej o tym wiedziała. Podwoiliśmy straże – teraz w nocy więcej osób pełni wartę, niż śpi. Jesteśmy otoczeni i obserwowani przez Purpurowych.

11 czerwca 2078 r.

Ja też widziałem kogoś w lesie. Nawet niespecjalnie się krył. Skoro jednak wiedzą, kim jesteśmy i po co przyszliśmy, dlaczego nic nie robią, lecz jedynie obserwują? Dlaczego tylko Susane i tragarze?

Być może boją się nas zaatakować, bo brakuje im broni palnej i nie mają nad nami wystarczającej przewagi liczebnej. Ivan zaproponował, żebyśmy spróbowali przebić się siłą i dotrzeć do Przystani, niech Instytut potem płaci przemytnikom.

Kryszewicz ledwie raczyła podnieść głowę znad swojego miniptopa – presja czasu i brak korzeni w podziemiach najwyraźniej usprawiedliwiały używanie elektryczności – i rzucić krótkie: „Jeszcze nie teraz".

Zatem kiedy? Ile osób musi zginąć?

12 czerwca 2078 r.

Francesca zrobiła awanturę. Oskarżała Kryszewicz i Yaninga o śmierć Susane. Nalegała, żebyśmy wreszcie się stąd wynieśli. Ivan poparł ją głośno, ja i pozostali – milcząco. Doktor oczywiście kategorycznie odmówiła. Wtedy Francesca spytała, czy te grzybki i korzonki są dla niej aż tyle warte. Na całe życie zapamiętam wyraz twarzy Kryszewicz i ton jej głosu, gdy odpowiedziała po prostu: „Tak".

Zabrzmiało to jak wyrok. Dlatego nie zdziwiłem się, kiedy Francesca oznajmiła, że idzie po wodę, ale wzięła ze sobą cały plecak, a nie tylko broń i kanister. Nikomu nie powiedziałem, że widziałem, jak to robi. Nie ma jej już od trzech godzin. Mam nadzieję, że jakoś udało

jej się prześlizgnąć. Że jeśli ktoś próbował jej strzelić w plecy, zatłukła skurwysyna.

***

– Powinienem chyba przekonać Janę, żeby złagodziła chłopakom karę. Gdyby nie oni, to wszystko mogłoby do końca świata leżeć w Głębi.

Nie byłam w stanie zmusić się do uśmiechu, choć wiszące w powietrzu napięcie trochę opadło. Po kłótni z Denysem nie chciałam mówić o dzienniku nikomu więcej, ale bezsenna noc wystarczyła, by dotarło do mnie, że sama sobie nie poradzę. Po tym, jak zawiodłam się na prawie narzeczonym, została tylko jedna osoba, której mogłam zaufać.

– Nie możemy przekazać tego przemytnikom. – Ojciec skończył przeglądać dziennik i wsunął go pod pled, jakby obawiał się, że przez okno może nas podglądać Purpurowy. – Sprzedadzą to komuś, kto da najwięcej.

– Przecież trzeba je dostarczyć na Zewnątrz! – Wyprostowałam się gwałtownie. – My nawet nie wiemy, jak użyć zawartości fiolek. Tylko oni będą potrafili je wykorzystać!

– Ale nie możemy tego zrobić drogą morską.

– Więc jak? Najbliższa granica na lądzie jest gdzieś w cholernej Rosji! Nikt tam nie dotrze!

– Stacje są znacznie bliżej. Przecież dałabyś radę dostać się w Bieszczady, prawda?

Przez jedną krótką chwilę nie miałam pojęcia, co moja możliwość dotarcia dokądkolwiek ma z tym wszystkim wspólnego.

– Chcesz, żebym ja je zaniosła – powiedziałam bardzo, bardzo cicho.

– A o kim innym wiem z pewnością, że nie sprzeda tej wiedzy ani przemytnikom, ani Purpurowym?

– Ale… sama?

Radziłam sobie w lesie na tyle dobrze, by uważać się za lepszą od większości, jednak najbliższa Stacja, bieszczadzka Tarnica, znajdowała się dalej, niż kiedykolwiek dotarłam. Dalej niż wyobrażałam sobie, że będę w stanie dotrzeć.

– A jest ktoś, z kim chciałabyś iść? Komu mogłabyś absolutnie zaufać?

Jeszcze dzień wcześniej odpowiedziałabym bez wahania, że Denys. Teraz nie wiedziałam, czy zgodziłby się pójść. Nie wiedziałam nawet, czy chciałabym, żeby się zgodził. Ojciec zaś… Ze swoją nogą ledwo był w stanie się poruszać. Potrząsnęłam głową.

– Poradzę sobie.

– Kiedy dotrzesz do Stacji, musisz ich przekonać, by zabrali cię do Nowej Europy. Nie dawaj im wszystkiego od razu. Najważniejsze, żebyś wydostała się na Zewnątrz, rozumiesz?

Ojciec pochylił się, położył mi rękę na kolanie. Dopiero dzięki temu zauważyłam, że nogi mi się trzęsą. Ręce zresztą też.

– A jeśli nic to nie da? Jeśli te wyniki są błędne? – Przypomniałam sobie jeden z fragmentów dziennika. – A jeśli oni wcale nie będą chcieli walczyć z Drzewami, bo po prostu mają całe Utracone Ziemie głęboko w dupie?

– Nawet jeśli faktycznie my ich nie obchodzimy – zaczął ostrożnie ojciec – z pewnością obchodzą ich tereny, które stracili osiemdziesiąt lat temu. Ale w pewnym sensie masz rację. Może dziennik i cała reszta nie wystarczą. Może ta Kryszewicz się myliła. Może nie zostaniesz bohaterką, która uratuje połowę świata. To bez znaczenia. Najważniejsze, że znajdziesz się na Zewnątrz. I musisz zrobić wszystko, co się da, żeby tam zostać, rozumiesz? Nie wracaj, chyba że będziesz pewna, że uda ci się zabrać nas wszystkich z powrotem.

„Nie wracaj". Wiedziałam, co ojciec miał na myśli. Bohaterka czy nie, gdybym wróciła do Gdańska, tamci mogliby nie chcieć wpuścić mnie ponownie. Wszyscy dobrze znaliśmy historie ludzi,

którzy docierali do Stacji czy samego Muru albo próbowali przekroczyć granicę morzem – żądali azylu, błagali, by ich wpuszczono, a napotykali tylko niewzruszoną odmowę… i kule, jeśli natychmiast nie zawrócili. Zewnętrze nie życzyło sobie uchodźców, których nie mieliby gdzie upchnąć ani jak wyżywić.

Marzyłam o tym, żeby się stąd wyrwać. Sądziłam, że jestem absolutnie zdeterminowana, że nie ma nic, co mogłoby mnie zatrzymać. To dlaczego na myśl, że mogłabym odejść już teraz, zaczęło mi się robić niedobrze?

– Jak już tam dotrę, znajdę sposób, by was wyciągnąć. Będę nalegać tak długo, aż zrobią, cokolwiek zechcę, bylebym tylko się zamknęła.

– Przecież wiem. – Wyraz oczu ojca przeczył jego słowom, jego uśmiechowi. Wcale nie wierzył w to, że kiedyś spotkamy się w nowym, lepszym świecie.

Miałam wrażenie, że jeszcze chwila i zacznę się rozklejać, a potem porzucę cały ten pomysł w cholerę, bo to było po prostu za wiele.

Wzięłam głęboki wdech i wbiłam paznokcie w dłoń, by przywołać się do porządku.

– Tarnica, tak? – spytałam, siląc się na rzeczowy ton. – Masz jakieś mapy?

***

13 czerwca 2078 r.

Właściwie powinienem już nie żyć.

Nie potrafiłbym wyjaśnić, co myślałem wtedy, z samego rana, gdy wziąłem jeden z pistoletów i poszedłem szukać Kryszewicz. Chciałem ją zastraszyć? Zmusić, by wreszcie wyraziła zgodę na przebicie się do Przystani?

Znalezienie jej zajęło mi chyba godzinę; zaszyła się w zatęchłej kanciapie, zgrywała coś z miniptopa na dysk. Mógłbym przysiąc, że nawet się nie wzdrygnęła na widok broni. Wiedziała, że nawet jej nie odbezpieczyłem?

– Jeśli chcesz odejść, możesz to zrobić – rzuciła. – Siłą was tu nie trzymam.

Cokolwiek sobie zaplanowałem, jakiekolwiek słowa przygotowałem zawczasu – wszystko wyleciało mi z głowy.

– Mój dziadek był asystentem w zespole Rogoskiego – kontynuowała tymczasem ona, wciąż ignorując pistolet. – Nigdy nie opowiadał mi o projekcie. Nie zdążył. Powiesił się zaraz na początku, jak tylko Drzewa zaczęły się rozrastać. Ale zostało po nim trochę notatek.

Nie miałem pojęcia, co to ma wspólnego z czymkolwiek. Strach dawno już wypchnął z mojego umysłu wszelkie myśli o Drzewach czy naukowych badaniach. Interesowało mnie tylko, jak mamy wyjść z tego żywi.

– Twierdził na przykład, że równolegle pracowali nad czymś, co pozwoliłoby w rozsądnym czasie uśmiercić Drzewa, gdy już nie będą potrzebne. Chcieli z czasem odtworzyć w miastach normalną florę, wiesz? Dlatego potrzebowali czegoś, co potrafiłoby je uśmiercić. Tyle że nie zdążyli dokończyć badań, nim rozesłano pierwsze sadzonki. A potem już… – Machnęła ręką. – Jakie to głupie. Rozwiązanie czekało tyle lat, zagrzebane gdzieś w tych ruinach, aż w końcu jakiś chciwy złomiarz rozbił tę właściwą próbówkę i…

Z trudem przychodziło mi doszukanie się sensu w jej słowach.

– Więc dlatego Drzewa tutaj…? – wydukałem w końcu.

– To rodzaj grzyba, podobny trochę do pleśni. Potrzebował czasu, żeby się namnożyć. Pewnie lat. Dlatego poprzednie ekipy na nic nie trafiły.

To wydawało się zbyt nieprawdopodobne, zbyt piękne, żeby mogło być prawdą. Przypomniałem sobie, dlaczego szukałem Kryszewicz i co naprawdę się teraz liczy.

– Purpurowi mogą zaatakować w każdej chwili – powiedziałem. – Musimy się przedostać do Przystani.

– Mamy jeszcze co najmniej dwa dni.

– Nie możesz tego wiedzieć – zaprzeczyłem.

Wtedy wreszcie spojrzała prosto na mnie, a nie w ekran miniptopa.

– Rozmawiam z nimi. Wierzą, że zdradziłam wyprawę. Że znajdę to, co zagraża Drzewom, i zniszczę. – Uśmiechnęła się paskudnie. – Bo jestem wnuczką człowieka, który pracował z Rogoskim. Świętym Rogoskim od Drzew.

Pomyślałem, że się przesłyszałem. A potem, że to wszystko ma sens.

– Susane? – spytałem słabo, walcząc z narastającymi mdłościami.

– Wysłałam ją z częścią dzienników, a im powiedziałam, że jedno z nas będzie próbowało się wymknąć z notatkami. Po tamtym zaczęli mi ufać.

Myślę, że mógłbym wtedy do niej strzelić – gdyby broń była odbezpieczona. Ale moment furii minął natychmiast i znów miałem tylko swój strach.

– Zabiłaś ją. – Na nic więcej nie było mnie stać.

W tamtym momencie chciałem tylko znaleźć się jak najdalej od niej. Znaleźć jakiś ciemny kąt, w którym mógłbym przesiedzieć tak długo, aż w końcu dojdę do tego, jak się uratować.

– Możesz spróbować uciec, jeśli chcesz – zakpiła, jakby odgadła moje myśli. – Purpurowych interesują naukowcy. Pewnie nawet nie zechce im się ciebie gonić.

***

Z pewnością było jakieś ostrzeżenie. Zdeptane zioła przy ścieżce. Niedomknięte drzwi. Ślady krwi na framudze. Gdybym patrzyła uważnie, na pewno bym coś zauważyła. Zbytnio jednak przywykłam do poczucia bezpieczeństwa panującego w centrum. Nigdy nie

przyszłoby mi do głowy, że coś mogłoby się wydarzyć tuż pod nosem Straży Leśnej.

Gdyby mordercy mieli dość cierpliwości, by zaczekać, na pewno by mnie dopadli.

To chyba zapach wreszcie obudził moją czujność. Zamiast znajomej woni wilgoci, ziół, schnących futer i pasty do skór poczułam coś jakby żelazo i pot. Potem zobaczyłam dziurę we framudze, tuż obok półki, na którą rzuciłam wypchany konserwami plecak. Jakby ktoś zamachnął się czymś cholernie ciężkim i ostrym, ale chybił celu.

Kolana zrobiły mi się dziwnie miękkie, ale miałam dość instynktu samozachowawczego, by wyjąć i odbezpieczyć pistolet, zanim weszłam dalej. Choć właściwie powinnam była w tamtym momencie obrócić się na pięcie i zwyczajnie uciec.

Największy pokój został całkowicie zdemolowany, po podłodze walały się połamane meble, pocięte ubrania, kawałki naczyń. Wiedziałam, czego szukali – i wiedziałam, że nie mogli tego znaleźć, bo tylko ja znałam skrytkę pod pomnikiem w parku.

A oni nie mieli pojęcia, że próbowali wyciągnąć odpowiedzi od niewłaściwej osoby.

Ojca znalazłam w kuchni. Przez chwilę stałam w wejściu, gapiąc się na czerwoną kałużę, która rozlała się po podłodze, i bardzo starałam się nie rozumieć tego, na co patrzę. Być może mogłabym nie dopuścić do siebie samego obrazu, ale dławiący zapach krwi, potu i śmierci nie pozwalał się zignorować. Nogi ugięły się pode mną i zaczęłam rzygać.

Nie umiałabym powiedzieć, co robiłam później i ile czasu minęło. Wreszcie jednak oprzytomniałam: dotarło do mnie, że klęczę przy ciele ojca, gardło mam zdarte od krzyku, a palce pokaleczone od drapania paznokciami podłogi. Kiedy doszłam do wniosku, że zdołam ustać na nogach, podniosłam się i wzięłam za

szukanie wśród zniszczonych rzeczy czegokolwiek, co mogłoby mi się przydać.

Rozumiałam doskonale, że nie mam wiele czasu.

***

14 czerwca 2078 r.

Wiedziała. Wiedziała, że spróbuję uciec, czepiając się nikłej szansy ocalenia, jaką oferowała Przystań.

Być może naprawdę uznali mnie za zbyt żałosnego, by warto było mnie ścigać. Wymknąłem się o zmroku, a w moją stronę nie padł ani jeden strzał. Jednak zatopione w lesie miasto okazało się niemożliwe do przebycia w nocy. Wydawało mi się, że zmierzam w stronę Przystani, ale po kilku godzinach dotarło do mnie, że zupełnie straciłem poczucie kierunku. Może gdybym rzeczywiście chodził po mieście wraz z ojcem, tak jak zapewniałem organizatorów wyprawy…?

Zrozumiałem, że w nocy nie dotrę do Przystani, ale nie odważyłbym się czekać na świt na otwartej przestrzeni, a prosić o schronienie w jednym z domów… Tutejsze ubrania zostawiłem, przekonany, że podczas rejsu więcej pożytku będę miał z porządnej kurtki. A skąd miałbym wiedzieć, kto należy do Purpurowych?

Przypadkiem trafiłem na wejście do jednego z podziemnych parkingów. Kryjówka wydała mi się dostatecznie dobra, by przeczekać w niej resztę nocy. No i w podziemiach nikt nie byłby w stanie zobaczyć światła lampy naftowej – a nie chciałem spędzić w ciemności ani chwili dłużej.

To właśnie gdy szukałem zapałek, na dnie plecaka znalazłem opakowanie próżniowe, a w nim dysk Kryszewicz i fiolki z czymś, co wygląda jak grzybnia.

Kiedy zdołała mi je podrzucić?

[później]

Wkład w lampie się dopala. Mogłem przynieść drewno, spróbować rozpalić ognisko. Czy jeśli są tu jakieś zwierzęta, zaatakują mnie? Nie wiem, która może być godzina. Nie jestem w stanie zmrużyć oka.

Ostatni wkład się wypalił, ale znalazłem miejsce, gdzie jest mniej korzeni, i przyświecam sobie latarką. Nie powinienem, ale na samą myśl o pozostaniu w całkowitej ciemności chce mi się naraz rzygać i płakać. Mam wrażenie, że za chwilę coś na mnie wyskoczy wprost z cienia. Nie wiem, czy bardziej boję się zwierząt czy ludzi. Chyba jednych i drugich. Wydaje mi się, że tylko zapisywanie tych lęków w dzienniku powstrzymuje mnie przed atakiem paniki. Dlaczego, na litość boską, w ogóle ruszałem się z domu?

Znowu coś słyszałem. Jakby grzechot metalu. Oby to były szczury. A może wcale nie chcę, żeby to były szczury? Czy mogłyby pożreć mnie żywcem?

Może powinienem myśleć o Jayce. W książkach bohater zawsze myśli o ukochanej, do której chce wrócić. Nic z tego. Nie potrafię nawet przypomnieć sobie jej twarzy. Jest tylko ciemność, słabe światło latarki i hałasy.

Czy tym razem nie brzmią jak kroki?

***

Błoto oblepiało mi nogi do kolan, kiedy brnęłam przez bagna na Ujeścisku. Budynki dookoła mnie, od lat powoli tonące w zbyt miękkim gruncie, pochylały się ku ziemi. Pomiędzy Drzewami wyrastały olchy, wszystkie pnie w zasięgu wzroku były ciemnoszare, prawie czarne; tylko wyblakłe kawałki plastiku i inne śmieci, walające się w brązowawych zaroślach, wybijały się plamami koloru. Jedna z najpaskudniejszych, najwcześniej porzuconych dzielnic miasta, zupełnie nienadająca się do zamieszkania. I najkrótsza droga do Obwodnicy, jeśli znało się właściwe ścieżki. Liczyłam, że tędy Purpurowi za mną nie podążą.

Błoto dookoła było czerwonawe od gliny. Przypominało zaskorupiałą krew.

Czy umarł szybko? Czy też leżał tam przez długie minuty, miotając się w przedśmiertnych drgawkach? Nie potrafiłam sobie przypomnieć, czy podłoga dookoła nosiła ślady paznokci, drapiących deski podczas ostatnich konwulsji…

Gałąź, której nie zauważyłam, chlasnęła mnie boleśnie w łydkę. Zaklęłam nieco zbyt głośno, a ukryte w zaroślach żurawie poderwały się z oburzonym klangorem. Później będzie czas na żałobę. Później opłaczę ojca i urządzę sobie samobiczowanie z powodu tego, co zrobiłam, a czego nie. W tej chwili podobne myśli tylko mnie rozpraszały. Zmniejszały moje szanse. A ja zamierzałam przeżyć po to, by dostarczyć na Zewnątrz wyniki badań Kryszewicz.

Wmawianie sobie, że robię to wszystko, by uratować ludzkość przed Drzewami, sporo ułatwiało. Pomagało się usprawiedliwić.

Co jednak, jeśli Purpurowi wrócą? Jeśli nie znalazłszy tego, czego szukali, i zgubiwszy mój trop, przyjdą po resztę rodziny? Rodziny, której nawet nie ostrzegłam, bo zbyt spieszyło mi się do ucieczki? W pewnym momencie zaczęłam powtarzać w myślach słowa, które – tak sobie wmawiałam – mogłaby powiedzieć Kryszewicz. Kilka żyć to żadna cena. Drzewa zabiły i zabiją nieporównanie więcej. Ryzykowałam życiem kilku, żeby pomóc uratować cały ten cholerny kontynent.

Albo byłam tchórzem i narażałam rodzinę po to, by ocalić własną skórę, bo wiedziałam, że Purpurowi po mnie przyjdą. I że nawet oddanie im dziennika, dysku i fiolek może ich nie powstrzymać przed zrobieniem ze mną tego samego, co z ojcem.

Czując podchodzącą do gardła żółć, zmusiłam się, by o tym nie myśleć. Po raz kolejny przywołałam przed oczy mapę. Powtórzyłam kolejne etapy planowanej wędrówki. Najpierw wzdłuż Obwodnicy i Szlaku Bursztynowego aż do Łodzi, potem na południowy wschód. Kielce. Rzeszów. Bieszczady. Tarnica. Trudno mi

było nawet wyobrazić sobie taką odległość, wciąż jednak wolałam skupiać się na tym, co leżało przede mną, niż rozpamiętywać to, co zostawiłam za sobą. Miałam wrażenie, że dzięki temu zaczynam odzyskiwać jasność myślenia. Wtedy w wąskim przejściu między domami pojawiła się znajoma postać.

Przez krótką chwilę poczułam radość, że jakimś cudem mnie znalazł, że mimo wszystko postanowił pójść ze mną. Że nie będę sama. Zaraz jednak ulga rozwiała się, by ustąpić miejsca podejrzliwości. Skąd wiedział, że w ogóle powinien szukać?

Tymczasem moje instynkty zadziałały same; nagle mierzyłam do niego z pistoletu, choć nie potrafiłam nawet przypomnieć sobie, bym wyciągała go z kabury przy pasie.

– Zi? Co ty robisz? – Denys zbliżał się do mnie powoli, z wyciągniętymi ramionami, jak do dzikiego zwierzęcia.

– Powiedz mi raczej, co ty robisz! – odwarknęłam. – Nie szedłeś za mną, zorientowałabym się.

– Przestań we mnie celować, Zi.

– Rozważę to, kiedy mi odpowiesz.

– Wiedziałem, że będziesz chciała wynieść te… rzeczy z Gdańska. I naprawdę dziwisz się, że wiedziałem, którędy pójdziesz? Po tym, jak tyle razy prowadziłaś mnie swoimi ścieżkami?

– Nie przyszedłeś do mnie do domu, tylko czaiłeś się tutaj. Akurat tutaj. Żeby mnie przekonywać… czy powstrzymać siłą, jeśli będzie trzeba?

– Zi, do cholery, co ty wygadujesz? To nie ma sensu.

Ale dla mnie właśnie zaczynało go mieć o wiele, wiele za dużo. Odbezpieczyłam broń.

– Tylko ty wiedziałeś o tym, co znalazłam.

– Zi, proszę. Chcesz mnie zastrzelić?

Przemknęło mi przez myśl, że może chcę. Jeśli moje podejrzenia okażą się prawdą, czy to coś pomoże? Dołożyć kolejną śmierć do

tej sprzed kilku godzin? Chciałam, żeby Denys wyprowadził mnie z błędu, żeby istniało jakieś inne wytłumaczenie.

Choć byłoby przyjemnie skierować na kogoś wściekłość; nie musiałabym wtedy obwiniać siebie.

– Mój ojciec nie żyje – powiedziałam zamiast tego. – Purpurowi próbowali dostać od niego to, co wyniosłam z Głębi, a w końcu go zabili. Skąd wiedzieli?

Wtedy to zobaczyłam. Grymas żalu, ale nie zaskoczenia. Błysk poczucia winy w oczach.

– Skąd wiedzieli?!

– Nie chciałem, Zi. Nie chciałem, żeby tak wyszło. Nigdy bym nie skrzywdził ciebie ani twojej rodziny!

On nie chciał. Ale wydał nas Purpurowym i nawet za to nie przeprasza.

Czy naprawdę moja ręka tak się trzęsła?

Denys wciąż rozkładał ramiona, jakby chciał mnie uspokoić. Objąć.

– Nie waż się do mnie podchodzić!

– Wiem, że to wygląda dla ciebie jak koszmar, ale pozwól mi wytłumaczyć. – Uniósł dłonie w pokojowym geście, kiedy wycelowałam w jego głowę. – Wiem, dlaczego nienawidzisz Drzew, ale kiedy znalazłaś te rzeczy… kiedy zrozumiałem, że byłabyś gotowa oddać je tym z Zewnątrz…

– O, więc to moja wina?

To był mój głos? Taki zdławiony, drżący, na granicy histerii?

– Boże, nie, nie to chciałem powiedzieć! – Przesunął dłonią po włosach w geście zdenerwowania, który doskonale znałam. – Chcesz im zanieść coś, z czego zrobią broń, która prędzej czy później zabije nas wszystkich. Już raz prawie sprowadzili zagładę na świat. A ty, ty chcesz im pozwolić to dokończyć! Musieliśmy cię powstrzymać!

My. My, Purpurowi. Po tych wszystkich latach wspólnych polowań i wędrówek, po tym, jak opłakiwałam śmierć matki na jego

ramieniu? Po tym, jak tyle razy opowiadałam mu o swoich marzeniach, jak oboje pokazywaliśmy sobie nawzajem cuda Zewnętrza w Przystani? Do dziś miałam tę cudownie kolorową i niedorzecznie drogą chustę, którą kupił mi dwa lata temu za półroczne oszczędności.

– Powiedz mi… – Przełknęłam gulę, która utkwiła mi w gardle. – Powiedz mi, jak zamierzasz mnie powstrzymać? Tak jak mojego ojca? Strzałem w głowę? Nie, czekaj, to było coś ciężkiego, prawda? Siekiera?

– Zi, błagam, to był wypadek. Zaczęli się szarpać, a on się potknął i… Po prostu się potknął, rozumiesz? Uderzył głową o stół!

Znowu zrobił krok w moją stronę. Jeszcze trochę i stracę przewagę. Kiedyś nie przyszłoby mi do głowy, by się go obawiać, ale teraz… Kalkulowałam szanse i wiedziałam, że w walce wręcz nie mogę być pewna zwycięstwa. Ale jeszcze nie chciałam strzelić. Jeszcze nie potrafiłam.

– Zejdź mi z drogi. – Zabrzmiało to bardziej jak błaganie niż groźba. – Po prostu zejdź. I nigdy, nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj.

– Zanna, na litość boską, nadal chcesz tam iść? Nie przeżyjesz! Purpurowi, dzikie zwierzęta, złomiarze, złamana noga; coś prędzej czy później cię zabije. A nawet jeśli jakimś cudem ci się uda, tamci cię oszukają. Nie zobaczysz swojego upragnionego Zewnętrza…

– Zaryzykuję. Ze zdradą mam już jakieś doświadczenia.

Mogłam się domyślić wcześniej. Choćby po tej rozmowie wczoraj. Albo po tym, jak przestał mi towarzyszyć do Przystani, jak zaczął milczeć, słuchając moich fantazji o życiu na Zewnątrz. Powinnam się domyślić, ale wolałam nic nie widzieć, bo zbyt odpowiadała mi jego uwaga, jego bezkrytyczny podziw. To była także moja wina.

– Nie chciałem.

– Powiesz im, którędy poszłam? Pokażesz im moje ścieżki? A może już to zrobiłeś?

– Nie puszczę cię. Zobaczysz, jeszcze wszystko się ułoży…

Był już za blisko. Gdyby teraz się na mnie rzucił…

– Powiedziałam, żebyś się do mnie nie zbliżał!

Denys zrobił jeszcze jeden krok. A ja strzeliłam.

Prosto w środek jego klatki piersiowej. Zawsze zachwycał się moim dobrym okiem i pewną ręką.

Krew wypływała z niego i wsiąkała w mech, który z zielonkawego zaczął robić się brunatny. Nie patrzyłam dłużej; od razu skoczyłam w las. Nie dlatego, że przeraził mnie widok nieruchomiejącego ciała czy nieodwracalność tego, co uczyniłam. Po prostu huk towarzyszący wystrzałowi był zbyt głośny, a ja nie wierzyłam, by Denys wyruszył całkiem sam. Gdzieś tam musieli być inni Purpurowi, ja zaś miałam zadanie do wykonania.

***

11 września 2101 r.

Dzień drugi wędrówki. Jestem teraz kilka kilometrów na południowy zachód od Tczewa, o ile oczywiście mogę wierzyć mapom i swojej orientacji w terenie. Tutaj nie ma tak wielu Drzew i wszystko wygląda zupełnie inaczej. Myślałam, że otwarta przestrzeń przyniesie mi ulgę, ale tak się nie stało. Czuję się odsłonięta i to mnie przeraża.

Jest południe i potrzebuję odpoczynku. Znalazłam kryjówkę w konarach starego dębu – wydaje mi się to mniej oczywiste niż jama w ziemi. Mam nadzieję, że zdołam przespać kilka godzin. Teraz, gdy dotarłam do Bursztynowego Szlaku, zamierzam wędrować głównie nocami. Szlak jest szerokim, równym traktem z betonu; przetrwał dziesięciolecia niemal nietknięty. W dzień byłabym na nim zbyt odsłonięta, ale w ciemności będę mogła wędrować szybko i w miarę bezpiecznie. Może uda mi się spotkać jakąś karawanę i skorzystać z jej ochrony. Albo ukraść wierzchowca. To drugie byłoby rozsądniejsze.

***

Z westchnieniem przyjrzałam się swojej pracy. Słowa skreślone węglowym rysikiem były wielkie i koślawe, zupełnie niepodobne do schludnych, równiutkich zapisków poprzedniego właściciela dziennika. Co się stało z tamtym mężczyzną? Nie dopadli go Purpurowi, bo wtedy zabraliby plecak. Zaatakował go wyrzutek? Złomiarz liczący na łup? Czy ja też tak skończę – będę umierać w samotności w jakiejś dziurze?

Odepchnęłam od siebie te pytania i pospiesznie dopisałam kilka zdań dotyczących planowanej trasy wędrówki. Cóż, nie miałam zbyt wielu okazji, by ćwiczyć kaligrafię, ale przynajmniej moje notatki były czytelne. Może dzięki temu ktoś kiedyś dowie się, ile warte są fiolki i dysk i co należy z nimi zrobić, jeśli ja…

Nie, nie wolno mi o tym myśleć. Zamknęłam dziennik, wsunęłam pod kurtkę i oparłam się o pień dębu. Wcześniej przywiązałam się do niego liną, żeby nie spaść podczas snu. To byłaby wyjątkowo durna śmierć.

Zamknęłam piekące od zmęczenia oczy. Zasypiając, zastanawiałam się jeszcze, czy Świat Zewnętrzny jest naprawdę tak cudowny, jak w opowieściach; czy naprawdę wynaleźli tam rozwiązanie niemal każdego problemu, jaki może mieć człowiek. Miałam nadzieję, że tak jest; że mają tam coś, co kiedyś pozwoli mi znowu spokojnie spać – po tym wszystkim, co zrobiłam. Co jeszcze zrobię, żeby tam dotrzeć.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magda Kowalewicz
Weryfikacja redakcji: Monika Skołożyńska
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Paulina Szedler, Beata Sagan-Szendzielorz, Marysia Truś, Ilona Żurawska, Paweł Sadowski, Gabriela Gardoń
Weryfikacja: Michał Gola, Renata Rabczewska, Patrycja Pancerz, Jakub Moroński, Anna Twarowska
Kontrola weryfikacji: Anita Brzozowiec
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Małgorzata Lewandowska

BEZIMIENNE DUSZE

Aleksander Killman

Po sarninie pani Wojnicz grzecznie opuściła salon i pozostawiła pana Wojnicza sam na sam z księdzem Dubickim. Przez chwilę trwała cisza, podszyta dochodzącą przez otwarte okna wieczorną muzyką świerszczy. Wreszcie gospodarz wstał i podszedł do zabytkowego barku.

– Nie dał się ksiądz namówić na wino do kolacji, ale może uda mi się księdza skusić tym rarytasem – zapowiedział pan Wojnicz, wydobywając z mroku butelkę frascati. – Rocznik pięćdziesiąty czwarty, prawie tak stare jak ja. – Uśmiechnął się triumfalnie, jakby trzymał w ręku mistrzowski puchar.

– Rzeczywiście brzmi kusząco. – Ksiądz także spróbował wstać, ale gospodarz dał mu znak, by pozostał na miejscu. – W pięćdziesiątym czwartym zaczynałem w Rzymie studia doktoranckie. Być może przejeżdżałem nieopodal winnic, w których rosły te winogrona.

– Był ksiądz wtedy w Rzymie? – ucieszył się pan Wojnicz. – To dopiero zbieg okoliczności. Trafił tam ksiądz prosto z seminarium?

– W pięćdziesiątym czwartym? – Gość wyglądał na zaskoczonego pytaniem. – W Polsce twardo trzymał się stalinizm, nie tak łatwo było wyjechać. Miałem niebywałe szczęście, że mnie puścili. Ale wcześniej odpracowałem swoje na parafii w Łagiewnikach Śląskich.

– Górny Śląsk? – Pan Wojnicz pokiwał głową z namysłem. – To może zna ksiądz Henryka Mikołaja Góreckiego? Jedni lubią drogie samochody, inni podróżują po świecie, a ja mam słabość do dobrego sprzętu audio i muzyki klasycznej. Pozwoli ksiądz, że coś włączę?

– Ależ proszę. – Ksiądz Dubicki uśmiechnął się jakby z ulgą. – Spotkałem kiedyś maestro Góreckiego. Wprawdzie dopiero po powrocie do kraju, jakoś w latach siedemdziesiątych, ale udało mi się zamienić z nim parę słów.

– Lata siedemdziesiąte to trzecia symfonia – stwierdził gospodarz, wkładając płytę do odtwarzacza. – To nagranie jest z lat dziewięćdziesiątych. Rozdzierające.

– To chyba najsmutniejsze, co napisał – zauważył ksiądz.

– Nie wiem, czy to nie najsmutniejszy utwór, jaki w ogóle napisano – dodał pan Wojnicz, a z głośników popłynęły pierwsze dźwięki kontrabasów, wygrywających monotonny, minorowy kanon. – Ostatnia część zawsze przypomina mi o tym, jak wiele tragedii oglądał Śląsk w minionym stuleciu.

– Mówi pan o powstaniach?

– O tym faktycznie jest trzecia część symfonii, ale ja myślałem szerzej. Czy to nie w pięćdziesiątym czwartym właśnie miała miejsce ta straszna katastrofa w kopalni? Powinien ksiądz ją pamiętać. Nie czytałem wtedy jeszcze dobrze, ale te zdjęcia z gazet, dziś już nie przywołam szczegółów, zrobiły na mnie ogromne wrażenie.

Ksiądz zamyślił się na dłużej. Sięgnął po kieliszek, który postawił przed nim gospodarz. Rudy poblask zachodzącego słońca zabarwiał białe wino na złocisto, a rytmiczne zaśpiewy smyczków pogłębiały nastrój nieukojonego żalu.

– Prawie się panu udało – mruknął w końcu gość. – Ale teraz widzę, że wszystko miał pan zaplanowane. Nawet rocznik wina. Cały czas chodziło tylko o to, prawda? O tę katastrofę? Wycieczka, leśniczówka, kolacja, wszystko po to, by uśpić moją czujność. Jeśli

prowadzi pan jakieś prywatne śledztwo, mógł pan to powiedzieć od razu. Po co zastawiać pułapkę na starego księdza?

– Wiem, że to delikatne sprawy – odparł pan Wojnicz.

Za jego plecami coś skrzypnęło i na schodach pojawiła się żona gospodarza, miała na sobie elegancki szlafrok.

– Panowie wybaczą, ale już się położę. Ten dzień był bardzo… intensywny.

– Oczywiście, kochanie, ale zanim uciekniesz, chciałem cię czymś zaskoczyć.

– Czym?

– Ksiądz Dubicki chyba znał twojego ojca.

Na podkreślenie tych słów gospodarz wykonał delikatny ruch kieliszkiem w kierunku gościa. Ten uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem, jakby przyznawał, że przynajmniej w części zasadzka jednak zadziałała.

– To rzeczywiście niespodzianka – ucieszyła się wyraźnie pani Wojnicz. – Ojciec nic o księdzu nie wspominał i raczej nie widywałam go w towarzystwie osób duchownych.

– Proszę mi przypomnieć, jak nazywał się pani ojciec?

– Andrzej Bielicki, był sekretarzem wojewódzkim w Stalinogrodzie, potem Katowicach.

– Poznałem go nieco wcześniej. – Ksiądz posępnie pokiwał głową. – Dobry człowiek.

Pani Wojnicz uniosła dłonie do twarzy, jakby chciała ją zakryć.

– To piękne, co ksiądz powiedział – westchnęła. – Szkoda, że nie dożył takich słów. Sam o sobie nie miał najlepszego mniemania.

– Zupełnie niesłusznie – mruknął gość. – Rzeczywiście szkoda, że nie żyje. Dawno umarł?

– Powiesił się w dziewięćdziesiątym czwartym – odparła kobieta.

Ksiądz zaniemówił. Kieliszek trzymany w dłoni pozwolił mu ukryć zakłopotanie, a kilka łyków wina przysłoniło brak odpowiedzi.

Jakby na wezwanie, z głośników nadpłynął dźwięk sopranu. Wyciągnięte sylaby pożeglowały przez salon.

Synku
Synku miły i wybrany
rozdziel z matką swoje rany…

– To straszna tragedia – skomentował wreszcie gość, widząc, że powinien jakoś zareagować. – Przepraszam, że ją przywołałem.

– Proszę się nie martwić, minęło ponad dwadzieścia lat. Dziś myślę o tej śmierci tak, jakby nastąpiła naturalnie. Cieszę się, że mogłam spotkać kogoś z przeszłości taty. Ale starość nie radość, pójdę się już położyć. Trafi ksiądz do swojej sypialni?

– Pamiętam, pierwsze drzwi za łazienką.

– Dokładnie tak. Dobranoc.

– Dobranoc pani.

Bo już jidziesz ode mnie, moja nadziejo miła.

Sopran konkurował ze smyczkami, wzbijając się na wysokie tony, gdy pani Wojnicz wchodziła na górę. Przeszywające dźwięki skrzypiec zdawały się przez chwilę być główną przyczyną ciężkiej atmosfery panującej w salonie.

Obaj mężczyźni wiedzieli jednak, że smutek pochodzi z innego źródła.

– Nic jej pan nie powiedział – westchnął ksiądz. – Sądziłem, że sprowadził mnie pan tu dla siebie. Ale chodziło jednak o pana małżonkę. Skąd pan wiedział, że mam tak dobre zdanie o pana teściu?

– Nie wiedziałem – odparł Wojnicz, dosiadając się do stołu. – I to nie ze względu na Ewę księdza zaprosiłem.

– Czyli jest jeszcze jakiś sekret?

Gospodarz odstawił pusty kieliszek i wsparł się ciężko na łokciach.

– Czy można sprawić, że zniknie kawałek miasta?

Ksiądz uniósł brwi.

– Nie rozumiem.

– Cała dzielnica. Jednego dnia jest, a drugiego jej nie ma. Czy to jest do przeprowadzenia? Co ksiądz sądzi?

– Jestem księdzem. – Gość pana Wojnicza wydął wargi w zamyśleniu. – Dlaczego mnie pan o to pyta? Sodoma i Gomora zniknęły w deszczu siarki. Pompeje zalała lawa z Wezuwiusza. Ma pan na myśli jakieś konkretne miasto?

– Wobec tego może zacznę od początku – mruknął Wojnicz. – Przed śmiercią tato zachowywał się dziwnie. O ile żona i córka były bardziej przywykłe do pewnych jego… dziwactw, o tyle ja nie. Pytałem, drążyłem, podchodziłem.

– Ma pan do tego skłonności – zauważył ksiądz.

– Mam. Odkryłem, że w pięćdziesiątym czwartym wydarzyło się coś, co nim wstrząsnęło. Nie było trudno wpaść na trop pożaru w kopalni Barbara-Wyzwolenie. To była największa tragedia kopalniana w powojennej Polsce, a otaczająca ją tajemnica spowodowała, że wiele lat później poświęcono jej sporo badań.

– Nic dziwnego. To, co się wtedy działo, zasługuje na miano katastrofy. – Ksiądz Dubicki pokręcił głową. – Ratowali tych ludzi na oślep, a do tego mrowie ubeków rzucało kłody pod nogi, zamiast pomóc. Jednocześnie całą akcję wyciszano, żeby Polska się o niej nie dowiedziała. Nawet ja nie wiem, ilu górników zginęło, choć byłem tam, gdy wydobywali zwłoki.

– O tym, choć niechętnie, tato opowiadał. Jestem pasjonatem historii, więc mając pod ręką wysoko postawionego członka Partii, nie krępowałem się i pytałem o wszystko. Tu, w tym salonie, bo to był jego domek, opowiedział mi o walce z czasem i walce z aparatem bezpieki. Szczerze wierzę, że kiedy tamci szukali sabotażystów, on

chciał szukać ocalałych. To był dobry człowiek, ma ksiądz absolutną rację. Historia pewnie z czasem tak go oceni. Zrobił wszystko, na co wówczas mu pozwolono. Oczywiście, tak jak inni brał potem udział w tuszowaniu prawdy. Nigdy nie powiedział mi, jaka była prawdziwa liczba ofiar, chociaż pewnie wiedział. Gdy pytałem, czy osiemdziesiąt, mówił, że może osiemdziesiąt. Gdy pytałem, czy sto, mówił, że może sto.

– Skoro wie pan to wszystko, to co ja tutaj robię? I co to ma wspólnego ze znikającym miastem?

Wojnicz zafrasował się, delikatnie poruszając kieliszkiem, jakby szukał natchnienia w kołyszącym się płynie.

– Jestem przekonany, że tato zabił się z powodu czegoś, co miało miejsce w pięćdziesiątym czwartym. Ale skoro, jak ksiądz potwierdza, postąpił wtedy właściwie, to co gryzło go przez czterdzieści lat?

– Może coś zupełnie bez związku z tamtą tragedią? – Ksiądz wzruszył ramionami.

Spojrzenie gospodarza, które nadpłynęło w odpowiedzi, przeszyło starszego mężczyznę na wskroś. Sopran drżał na najwyższych nutach.

Niebios Przeczysta Królowo,
Ty zawsze wspieraj mnie.

– Ksiądz jest moją jedyną nadzieją na odkrycie prawdy, proszę więc o szczerość – bardziej zażądał, niż poprosił Wojnicz. – Tato powiesił się dokładnie dwudziestego marca, dzień przed rocznicą pożaru. Trudno byłoby przekonać mnie, że to przypadek. Widzę w oczach księdza, że coś wie. Że wie, do czego zmierzam. Jestem bardzo dociekliwy i zależy mi na prawdzie.

Duchowny zamilkł, zapatrzony w lekko drżącą powierzchnię frascati, którego nie mógł dopić. Jego twarz stężała, jakby założył gipsową maskę.

– Mam dziewięćdziesiąt lat – mruknął. Gdyby nie to, że dobiegła końca druga część symfonii, trudno byłoby go usłyszeć. – Nie sądziłem, że kiedykolwiek ktoś jeszcze zapyta mnie o tamten dzień. Nie po tak długim czasie.

– Co się wtedy stało? – zapytał z naciskiem Wojnicz. – Muszę to wiedzieć.

– Nikt nie musi tego wiedzieć – odparł ksiądz. – Nikt nigdy nie powinien był się tego dowiedzieć.

Sopran zabrzmiał po raz trzeci, tym razem gwarą śląską, rozpoczynając ostatnią część opus magnum Góreckiego.

Kajze mi się podzioł
mój synocek miły?

– Proszę księdza – nalegał gospodarz – od dwudziestu lat szukam świadków tamtych dni. Większość już nie żyje. Ja sam dobiegam siedemdziesiątki. Spędziłem niezliczone godziny w archiwach, bibliotekach, IPN-ie… Ale nadal brakuje mi tego jednego elementu.

– Niczego pan nie ma, panie Wojnicz. – Ksiądz pokręcił głową. – Niczego pan nie wie. Niczego.

– Myli się ksiądz.

Wojnicz wstał i podszedł do sekretarzyka. Kilka chwil później rozłożył na stole parę książek, jakieś stare mapy i wydruki zeskanowanych dokumentów.

– Nie odkryłem jeszcze wszystkich kart, ale zrobię to, jeśli ksiądz nalega. Podążyłem tropem tych bezimiennych dusz, których nie wliczono do oficjalnej liczby ofiar. Bardzo mi zależało na ustaleniu ich tożsamości.

– Na pewno wie pan, że wtedy na całym Górnym Śląsku władze korzystały z przymusowej pracy Wojskowego Korpusu Górniczego. To byli przestępcy, ludzie niedostosowani społecznie, ale i problematyczni politycznie. Wcielano ich do wojska, jednak zamiast na poligon wysyłano do kopalń. Ci ludzie nie odbijali karty przed zejściem pod ziemię. Nikt nie wie, ilu dokładnie pracowało ich wtedy w Barbarze. Może pięciuset, a może tysiąc? Jak ich wytropić? Po aktach zgonu?

– Te były fałszowane, podobnie jak inne dokumenty – przyznał Wojnicz. – Nawet tożsamość osiemdziesięciu ofiar, do których przyznano się parę lat później, trudno ustalić. A badacze podejrzewają, że było ich więcej.

– Rodziny były zastraszane, dokumentacja podrabiana, księgi niekompletne. Te poszukiwania nie mają sensu. Ile pana zdaniem ludzi zginęło wtedy w kopalni? Setka?

– Kopalnia to nie wszystko. – Gospodarz pokręcił głową. – Ksiądz to wie. Skoro dało się zatuszować śmierć tylu ludzi, którzy przecież mieli rodziny, przyjaciół, to co stało na przeszkodzie, by ukryć zniknięcie dzielnicy?

– Panie Wojnicz, ale jakiej dzielnicy? Pokazuje mi pan dokumenty, ale ja tu nic nie widzę. Czy dzielnica w ogóle może zniknąć? Jak? Co pan sugeruje?

– Sugeruję, że tej samej niedzielnej nocy, a może nad ranem w poniedziałek, z powierzchni ziemi usunięto całe osiedle. Jakieś czterdzieści lub pięćdziesiąt rodzin wyparowało bez śladu.

Ksiądz niespodziewanie gruchnął śmiechem.

– Chyba zaszkodziło panu to wino – rzekł ciepło. – Może i my powinniśmy się położyć. Nie dla nas, staruszków, takie nocne posiedzenia.

Wojnicz jednak ani drgnął. Sopran lamentował nieprzerwanie.

Lezy on tam w grobie,
a jo nie wiem kandy

choć się opytuja
między ludźmi wsandy.

– Wszystko sprawdziłem. Mapy z czterdziestego pierwszego, jeszcze niemieckie. Kilka map polskich i radzieckich z późniejszego okresu. Brakuje map z lat pięćdziesiąt do pięćdziesiąt cztery i nikt nie potrafił mi wyjaśnić dlaczego.

– I stąd wnioskuje pan…

– Wnioskuję, że tuszując akty zgonu i kartoteki pracowników, przy okazji UB doprowadziło do zniknięcia planów miasta z pięcioletniego okresu. Gdy wszyscy zajęci byli skutkami pożaru w kopalni, a nawet wcześniej, gdy jeszcze zajmowano się samym pożarem, UB przetrząsało urzędy i archiwa, bo było na miejscu od samego początku.

– Co to za dziwna teoria i co ona ma wspólnego ze… znikającym osiedlem?

Wojnicz gorączkowo przebierał w dokumentach i podtykał księdzu kolejne papiery, w miarę jak wykładał swoją hipotezę.

– W latach pięćdziesiątych gwałtownie zwiększano wydobycie węgla. Otwierano kopalnie, ściągano na Śląsk ludzi nawet z odległych miast. Tu są plany zagospodarowania terenów, na których dziś nie ma nic. Ot, parę stawów, pod którymi głęboko przebiegały chodniki kopalni. Dziś to tereny zielone, wtedy były to bardziej nieużytki poprzecinane torami kolejowymi. Część z tych torowisk zlikwidowano, powstały jakieś magazyny, hipermarket, parę firm, ale większość tego terenu nadal nie jest zamieszkana.

– A pan twierdzi, że kiedyś była?

– Proszę spojrzeć tutaj. – Wojnicz wskazał rysunki. – Według tych planów, na krótko przed tragedią w Barbarze, nieopodal powstać miało osiedle robotnicze. Tu mam dokumenty potwierdzające przeniesienie części ludności z województwa opolskiego na teren Chorzowa. Ponieważ w latach pięćdziesiątych nie było jeszcze

obowiązku meldunkowego, jest to być może jedyny dowód na to, że ci ludzie w ogóle tam trafili. Mam więc plan budowy osiedla, mam udokumentowane przesiedlenie. Dodałem dwa do dwóch i wyszło mi, że oprócz kilkudziesięciu górników, brakuje jeszcze kilkudziesięciu rodzin. Ludzi, którzy trafili na Górny Śląsk parę miesięcy przed tragicznym pożarem, ale nie pozostawili po sobie żadnego śladu.

– Zniknęli?

– Tak jak mówię. Całe osiedle. A pożar, przypadkowy lub nie, odciągnął uwagę od tego faktu.

– Czyli twierdzi pan, że komuniści pozbyli się całego osiedla i wywołali pożar w pobliskiej kopalni, by to zatuszować? Ale po co mieliby to robić? Przecież potrzebowali tych ludzi, jak pan sam powiedział.

Podczas gdy ksiądz rozprostował się na krześle, jakby próbował rozluźnić napięte mięśnie, Wojnicz pochylił się ku niemu jeszcze bardziej, wyraźnie zdenerwowany. Nie patrzył już na dokumenty, które przetrząsał chwilę wcześniej. Skierował wzrok na rozmówcę.

– Brzmi to jak szaleństwo, prawda? Zniknięcie całego osiedla, całej dzielnicy. Ale nie takich rzeczy dokonywano w latach pięćdziesiątych. Co do jednego jednak ma ksiądz rację: po co? Właśnie to „po co" dręczy mnie najbardziej. Jeśli były to całe rodziny przesiedlone z jednego miejsca w drugie, to czy mogły stanowić zagrożenie dla władzy? Jakie? Nie, to nie mogła być zaplanowana likwidacja. Znaleziono by lepszy sposób, bezpieczniejszy. Coś się wydarzyło. Coś musiało się wydarzyć i spowodować, że z dnia na dzień ci ludzie musieli zniknąć. Wszyscy.

– I na to też ma pan jakąś teorię.

– Odpowiedzią jest tajemnica. Oni wszyscy musieli poznać jakąś tajemnicę i słowa księdza mnie o tym przekonały. Bo ksiądz wie, co to za tajemnica, tak jak wiedział to mój teść. To ona go zabiła. Ona i śmierć tych ludzi, których nie było.

Ksiądz pokręcił głową, po czym dopił wino jednym haustem.

– Nie ma żadnej tajemnicy. Był pożar, były ofiary, pozostał żal. O osiedlu nic nie wiem.

– To nieprawda. Gdyby chodziło tylko o pożar w kopalni, nie byłoby doktoratu w Rzymie. Nie w latach pięćdziesiątych, nie dla księdza z Polski.

– Czyli mój wyjazd ma z tym jakiś związek?

– Księdza wyjazd, taty awans. Milczenie jednych można kupić, a innych trzeba uciszyć. I dlatego dziś, gdy jest ksiądz ostatnim, który zna prawdę, mogę księdza od tego ciężaru uwolnić. Niektórzy lepiej znoszą takie sekrety, inni gorzej. Jedni uczyli się utrzymywać tajemnice Partii, inni tajemnice spowiedzi. Ale tak wielka tajemnica każdego w końcu złamie. I jestem pewien, że dożył ksiądz swego zacnego wieku trzymany siłą tego sekretu. Tato nie wierzył w Boga, bał się trybunału ludzkiego. Dlatego śmierć dawała mu obietnicę wolności od winy. Ale ksiądz wie, że przed sprawiedliwością nie można uciec. I nie odważy się ksiądz zabrać swojego sekretu na tamtą stronę. A nikt inny księdza spowiedzi nie wysłucha i nie zrozumie, tylko ja.

Wy niedobrzy ludzie,
dlo Boga świętego
cemuście zabili
synocka mojego?

Ostatnie słowa „Symfonii pieśni żałosnych" wybrzmiały ponuro i pozostawiły po sobie grobową ciszę.

– Chce pan… – Ksiądz się zawahał. – Chce pan wysłuchać mojej spowiedzi?

– Tak – odpowiedział z ogniem pan Wojnicz. – Jeśli ten sekret zabił ojca mojej Ewy, to nie wyobrażam sobie, co przeżywać musi

ksiądz. Chyba że w rzeczywistości jest cynikiem ubranym w sutannę. Ale po dzisiejszym dniu czuję, że ksiądz taki nie jest.

– Czy pan udźwignie ciężar mojego sekretu?

Wojnicz się uśmiechnął.

– Kiepski ze mnie katolik, mimo to doskonale rozumiem psychologiczne znaczenie spowiedzi. Grzech obciąża grzesznika, jednak przeniesiony na cudze barki waży mniej. Cudza wina nie obciąża tak, jak własna. Spodziewam się, że mówimy o doprowadzeniu do śmierci kilkuset niewinnych osób. Rozumiem, jak poważna jest to sprawa.

– Nie rozumie pan, panie Wojnicz. – Ksiądz pokręcił głową, a w jego głosie pojawiła się rezygnacja. – Ale skorzystam z koła ratunkowego, które mi pan rzuca. Bo w tym jednym, niestety, nie myli się pan. Są tajemnice, które pożerają człowieka od środka. Mam nadzieję, że ta nie pożre również pana.

– Zamieniam się w słuch.

Odpowiedziało mu ciężkie westchnięcie starca.

– Nie tu. – Ksiądz wskazał dwa wygodne fotele, stojące bliżej kominka. – To dłuższa historia.

Przenieśli się, a Wojnicz bez pytania napełnił kieliszki winem. Przejrzysty płyn zawirował w szkle między palcami księdza, nim ten rozpoczął opowieść.

– Była sobota, dwudziesty marca. Skończyłem właśnie odprawiać poranną mszę, gdy podszedł do mnie zdenerwowany górnik. Znałem go pobieżnie, a po ubraniu od razu poznałem, że przybiegł prosto z kopalni, z której do kościoła nie było daleko. Z powodu ekscytacji z trudem dobierał słowa; w dodatku mówił gwarą, a ja byłem napływowy, więc niewiele rozumiałem. Udało mi się wywnioskować tylko tyle, że muszę biec do kopalni. Wtedy wypadki zdarzały się bardzo często, spodziewałem się, że chodzi o ostatnie namaszczenie.

Na miejscu jednak nic specjalnego się nie działo. Przed głównym budynkiem natknąłem się natomiast na kogoś z dyrekcji, kogo

nie znałem. Daruje pan, że nie podam nazwiska, mógł pan bowiem o nim słyszeć. Powiedzmy, że był to „L". Bardzo zdziwił się na mój widok i zaczął wykrzykiwać do górnika, że ten niepotrzebnie mnie sprowadza. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że nie chodzi o żaden wypadek. Tym bardziej nie rozumiałem, co tam robię.

Nim się obejrzałem, znikąd pojawił się pana teść. Pan Bielicki był wtedy w regionalnych strukturach PZPR i odpowiadał za teren Chorzowa, więc domyśliłem się, że jego z kolei wezwali ludzie z dyrekcji. Z kamienną twarzą Bielicki podał mi dłoń i stwierdził, że moja obecność może być przydatna, o ile zachowam dyskrecję i nie będę się za bardzo wtrącał. Ponieważ nadal nie wiedziałem, w czym rzecz, po prostu skinąłem głową.

Dali nam kaski i zapowiedzieli, że zejdziemy pod ziemię. Denerwowałem się trochę, bo jeszcze nigdy nie byłem w kopalni, a słyszałem wiele o tym, jakie to niebezpieczne. Wie pan, wtedy w kopalniach praktycznie nie było zabezpieczeń. Poza kaskami chroniły nas tylko drewniane stemple podtrzymujące strop.

Daruję panu szczegóły. Grunt, że dotarliśmy do jakiegoś naprawdę głęboko położonego, odległego korytarza. Choć długo to trwało, po drodze nie padło wiele słów. Jedynie komendy i wskazówki w rodzaju „uwaga na głowy, tu jest nisko". Schodziliśmy niżej i niżej, pokład za pokładem. A z każdym kolejnym oddychało się coraz trudniej. To z pewnością także nie pomagało. Nadal nie wiedziałem, jaki jest cel naszej wyprawy. Bałem się, że za chwilę ktoś da mi w łeb i nigdy już nie zobaczą mnie na powierzchni, a nawet nie znajdą mojego ciała.

Z towarzyszących mi mężczyzn znałem tylko górnika, który mnie przyprowadził. Wołali go Frans, co w tamtych czasach oznaczało, że pewnie jest Niemcem i faszystą. Tak w każdym razie prezentowałaby to propaganda pezetpeerowska. Próbowali wtedy na swoją korzyść rozgrywać niesnaski między miejscową a napływową

klasą robotniczą. Na Śląsku udawało się to szczególnie dobrze, bo dla przesiedleńców Ślązak od Niemca różnił się niewiele.

Poza Fransem, pana teściem i L szło z nami jeszcze trzech górników, których nigdy wcześniej nie spotkałem. Ogółem pod ziemię zeszło nas siedmiu, z czego do dziś pozostałem przy życiu tylko ja. Byłem zresztą z całej grupy najmłodszy.

Górnicy szli przodem w charakterze przewodników. Obstawa pana Bielickiego została na powierzchni. Na początku zdawało mi się, że jest on najważniejszą figurą, ale potem zauważyłem, że niekoniecznie musi tak być. Dało się zauważyć jakieś tarcia między nim a L. Jakieś rozgrywki polityczne, których nie rozumiałem. Wtedy nie było to dla mnie istotne, dopiero potem, gdy zjawiło się UB, okazało się kluczowe.

Wyrobisko ciągnęło się i ciągnęło. Wreszcie, gdy dotarliśmy do końca szyn, po których przetaczano wagoniki z urobkiem, korytarz zmienił się zauważalnie. Ściany były dziwacznie ociosane, przestrzeń wąska, niczym szpara między dwiema skałami, które ściśnięto nadludzką siłą. Przeciskaliśmy się, nie zważając na brud i coraz liczniejsze rozdarcia na ubraniach. Czułem ogromny niepokój. Nie stawiałem się, nie zadawałem pytań.

Nawet jeśli był pan kiedyś w kopalni, nie ma porównania między kopalnią dziś a kopalnią w latach pięćdziesiątych. Korytarz oświetlano wtedy karbidkami. Takie lampy palą się małym, otwartym płomieniem. Dawały niezbyt wiele światła i choć zwykle okrywano je kloszem, były częstą przyczyną pożarów. Ich jedyna zaleta to oszczędność. I właśnie takie lampki prowadziły nas wtedy w głąb czeluści.

Nie mam pojęcia, jaki był numer tego pokładu. Nie znałem się na tym. Labirynt korytarzy kopalnianych wydawał mi się idealnym miejscem do zgubienia się na zawsze. A biorąc pod uwagę panującą tam duchotę, ulatniające się podziemne gazy i wszechogarniające ciemności, pewnie ktoś taki jak ja długo by pod ziemią nie przeżył.

Szybko zauważyłem, że ten korytarz różnił się od pozostałych. Choć byłem zupełnym laikiem, widziałem przecież, że coś się nie zgadzało. Ściany znajdowały się nadal bardzo blisko, ale sklepienie oddaliło się od nas i ginęło w mroku. Miejsce przypominało skalną rozpadlinę.

Nie słyszeliśmy się dobrze, przeciskając się gęsiego, ale dotarły do mnie głosy od przodu naszej grupy. L wypytywał jednego z górników o jakieś techniczne niuanse. Zorientowałem się, że rozmawiali już kiedyś o tym miejscu, ale L nigdy wcześniej go nie widział.

W końcu dotarliśmy do końca chodnika. Poznałem to po tym, że mogłem zobaczyć coś więcej niż plecy dwóch najbliższych towarzyszy. Znacząco zwolniliśmy kroku. Samo to, że nasza wędrówka miała jednak jakiś cel, wystarczyło wtedy, by zaprzątnąć moją głowę. Przeprawa przez ciasne korytarze ciągnęła się na tyle długo, że chwilami traciłem nadzieję na to, iż kiedykolwiek dokądś dotrzemy. Skojarzyło mi się to z piekłem: idziesz i nie wiesz dokąd ani co cię tam czeka. Takie było moje myślenie wtedy: jestem w piekle. I jak się okazało, niedalekie było to od prawdy.

Powiał jakby wiatr. Ale to nie był wiatr ani nie była to wentylacja kopalni. Pod ziemię powietrze trzeba tłoczyć i zwykle jest to ciąg dość jednolity, nawet ja to rozumiałem. To, co poczuliśmy, miało jednak inny charakter. Najpierw powiało nam w twarze. Potem – a było to minutę, może dwie później – w stronę przeciwną, jakby zasysając nas ku sobie. Usłyszałem też pomruk. Bardzo chciałem przypisać go jakiejś maszynerii, choć wcale nie przypominał warkotu silnika.

Obudziły się we mnie różne przeczucia, ale żadnego nie odważyłem się wypowiedzieć w myślach. Bałem się, moje ciało drżało wbrew woli. Nie patrzyłem na pozostałych, ale teraz myślę, że oni też musieli się bać. Szliśmy w kierunku czegoś groźnego, obcego, być może zabójczego.

Kiedy usłyszałem jednego z górników, potwierdzającego, że dalej nie pójdziemy, przebiegły mnie lodowate ciarki. Wcale nie chciałem już wiedzieć, po co zeszliśmy pod ziemię. Miałem ochotę cofnąć się, wyjść na powierzchnię i jakby nigdy nic wrócić do kościoła, pomodlić się. Przyjście do kopalni było z mojej strony bardzo nierozsądne. Lepiej było od razu odmówić.

No tak, ale stałem tam z nimi, spuszczając wzrok, a powrót nie był możliwy. Przeżyłem wojnę jako dzieciak, widziałem różne okropieństwa, a jednak przyprowadzony do ciemnej groty na końcu kopalnianego korytarza czułem, że popuszczam. Tak; samo przeczucie tego, co zaraz zobaczę lub usłyszę, spowodowało, że nie dałem rady utrzymać moczu. A przecież byłem znacznie młodszy niż dziś.

Wątłe światło kilku lampek nie było w stanie rozświetlić całości groty – dawało jedynie poczucie, że znajdujemy się w jakimś wnętrzu. Towarzyszący nam górnicy zapalili dodatkowe karbidki i poprowadzili nas nieco w bok. Coś znowu zaburczało, a powiew się powtórzył. Mój żołądek ścisnął się z przerażenia. Tym razem miałem wrażenie, że zwymiotuję, ale świadomość, że od rana jedynym, co jadłem, był Najświętszy Sakrament, pozwoliła mi utrzymać się w ryzach.

Grota miała dość nieregularny kształt. Trudno było mówić o czymś takim jak „sklepienie" czy „ściany". Przecinające przestrzeń liczne kolumny stalagmitów powodowały, że podłoże w jednej części wspinało się wysoko, w innej opadało nierównomiernie. Tam, gdzie poprowadzili nas przewodnicy, było znów bardzo ciasno. Dziwiłem się, że w tak rozległym wnętrzu wciskamy się w rozpadlinę, zamiast iść wygodnie środkiem. Strach podpowiadał mi jednak, że tak trzeba.

Dość szybko znów stanęliśmy, a górnicy skierowali światło karbidek na przestrzał komory. I wtedy to ujrzałem. Jakieś dziesięć metrów od nas, pomiędzy nieregularnymi kształtami skał, coś się poruszało. Potem długo analizowałem, co to było, i do dziś nie jestem

pewien, czy potrafię użyć odpowiednich słów. Proszę zrozumieć, że to, co teraz powiem, nie jest tym, co widziałem w tamtej chwili, raczej uporządkowanym zbiorem moich przemyśleń na temat wrażeń i faktów. Tylko w ten sposób będzie pan w stanie cokolwiek sobie wyobrazić.

Na przeciwległym końcu groty znajdował się żywy organizm, aczkolwiek spomiędzy grubych stalagnatów wyzierały zaledwie jego małe fragmenty. Niewiele dało się zobaczyć. Cały widok przesłaniało nam coś, co przypominało twarz lub pysk olbrzymich rozmiarów. Wyglądające znajomo, choć metrowej średnicy nozdrza oraz kawałek jakże ludzkiego białka gałki ocznej musiały być częścią istoty tak ogromnej, że grota rozciągała się zapewne na dziesiątki albo i setki metrów pod naszymi nogami.

Wokół panowała ciemność, a stwór poruszał się, jakby próbował wepchnąć spłaszczony nos w zajmowaną przez nas nieckę. Pragnął świeżego powietrza spływającego do groty poprzez kopalniane chodniki i szczelinę, którą przyszliśmy. Grota nie była jego naturalnym środowiskiem. Musiał zostać w niej zamknięty, a teraz poczuł zew wolności. Rozpychał się i szarpał. Nabierał wielkie hausty powietrza, pomrukiwał i napierał na trzymające go w zamknięciu skalne kolumny. Cienie tańczyły na powierzchni jego skóry. Wszystko było rozmyte i nierzeczywiste, ale przecież widziałem go – był tam. Oddychał, żył.

Nie może pan uwierzyć w to, co mówię?

– Ależ… – zakłopotał się pan Wojnicz. – Spodziewałem się wszystkiego, ale nie tego. Olbrzym na dnie kopalni? To brzmi jak jakaś stara, śląska legenda o potworach i skrzatach spod ziemi.

– Albo o kaszubskich stolemach? Albo o greckich półbogach-herosach, jak Minotaur czy Prometeusz przykuty na zawsze do skał Kaukazu? Bajki, prawda? A co, jeśli nie? A co, jeśli każdy lud ma swoją wersję prawdziwej historii o olbrzymach?

– Ksiądz chyba nie sugeruje…

– Ma pan tu Biblię?

– Oczywiście. – Pan Wojnicz wstał i po kilku chwilach szperania wydobył spomiędzy tomów grubą, twardo oprawioną księgę.

– Piękne wydanie, to chyba przekład Wujka? – Ksiądz Dubicki się uśmiechnął. – Proszę otworzyć na szóstym rozdziale Księgi Rodzaju. To sam początek.

– Chodzi o Genesis, tak?

– Tak, proszę czytać, śmiało.

Pan Wojnicz chwilę szukał wskazanego miejsca, a potem, z lekkim zakłopotaniem, rozpoczął lekturę:

– „A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki, widząc synowie Boży córki ludzkie, iż były piękne, wzięli sobie za żony ze wszystkich, które obrali. I rzekł Bóg: »Nie będzie trwał duch mój na wieki w człowieku, gdyż jest ciałem; i będą dni jego sto i dwadzieścia lat. A olbrzymi byli na ziemi w owe dni…«",

Wojnicz się zawahał, ale ksiądz gestem poprosił go, by kontynuował.

– „…bo gdy weszli synowie Boży do córek ludzkich, a one porodziły: ci są mocarze od wieku, mężowie sławni. A widząc Bóg, że wiele było złości ludzkiej na ziemi i wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas, żal mu było, że uczynił człowieka na ziemi, i ruszony serdeczną boleścią wewnątrz, rzekł: »Wygładzę człowieka, któregom stworzył, z oblicza ziemi, od człowieka aż do bydląt, od ziemiopłazu aż do ptactwa powietrznego; bo mi żal, żem je uczynił«".

– Wystarczy, panie Wojnicz. Zna pan pewnie ciąg dalszy: tu zaczyna się historia Noego i potopu. Każdy czytał o Noem i potopie, ale jakoś wszyscy pomijają prawdziwą przyczynę potopu.

– Prawdziwą?

– Sądzi pan, że Bóg sprowadził na Ziemię niemal całkowitą zagładę, bo ludzie byli źli? Że się na nich obraził?

– Zawsze myślałem, że to taka historyjka wyjaśniająca naturalny kataklizm.

Ksiądz Dubicki prychnął.

– To jest różnica między wyznawcą a badaczem. Wyznawca czyta i nie musi rozumieć, a badacz drąży. Sądziłem, że jest pan raczej tym drugim typem, panie Wojnicz?

– Tego akurat nie miałem okazji badać…

– To podrzucę panu kilka tropów. Kim byli „synowie Boży"? Ludźmi? Aniołami? O jaką „złość ludzką" chodzi? Po hebrajsku słowo „zły" znaczy tyle co „zepsuty", „niedziałający" albo kto wie, może „zmutowany"? Co by pan powiedział na „zmutowanych ludzi"? Nie pasuje za bardzo do Księgi Rodzaju?

W oczach gospodarza coś błysnęło.

– Księdza doktorat…

– Tak, po wyjeździe do Rzymu szukałem wyjaśnienia w różnych pismach. Apokryfach, starych eposach, podaniach… Ale zamiast odpowiedzi znajdowałem kolejne pytania. Biblia nie mówi wiele o tych olbrzymach; znacznie więcej znajdzie pan w Księdze Henocha, ale jej ojcowie Kościoła nie włączyli do kanonu. Jest zbyt fantastyczna. Ostatecznie porzuciłem dalsze badania i starałem się więcej nie myśleć o tym, co zobaczyłem, a o czym przecież nie wolno mi było mówić.

– I sądzi ksiądz, że to właśnie znajdowało się w kopalni? Olbrzym z czasów… przed potopem? Jak mógłby przeżyć te tysiące lat?

Ksiądz wzruszył ramionami.

– Oczekuje pan ode mnie teorii, ale żadnej nie mam. Nie wiem, co widziałem. Może takie monstrum potrafi przeżyć nawet bez powietrza i jedzenia? Może było w stanie świadomej hibernacji?

– Ale… taki stwór miałby pochodzić od ludzkiej kobiety? To w ogóle możliwe?

– Panie Wojnicz, nie mnie rozsądzać, co jest możliwe. Przez lata zadawałem sobie wiele pytań. Były nawet dni, gdy myślałem, że

jakieś podziemne gazy wywołały halucynacje. Mogło tak przecież być, choć, na Boga, biorąc pod uwagę, co stało się potem, mam nadzieję, że nie działaliśmy jednak pod wpływem fantasmagorii.

– A co się stało?

– Stało się to, do czego pan doszedł, badając te stare papiery. Ale po kolei: w grocie nie zabawiliśmy długo. To było przerażające miejsce. W drodze powrotnej minęliśmy się z kilkoma górnikami, którzy znosili na dół dynamit. Polecenia musiały zostać wydane znacznie wcześniej, skoro tak wiele było już gotowe. Bielicki odciągnął L na bok, ale przecież i tak słyszeliśmy ich kłótnię. L tłumaczył, że dynamit kazał przynieść na wszelki wypadek, by zniszczyć chodnik i ponownie uwięzić stwora. Wydawało się to jednak absurdalnym planem. Przecież olbrzym nie byłby w stanie przecisnąć się przez kopalniany korytarz. Może dałby radę wcisnąć do niego rękę, o ile taką posiadał. Zatem albo L kłamał o swoich zamiarach, albo jego polecenia były zwyczajnie głupie. Bielicki rozumiał to dużo lepiej niż ja.

Wyjechaliśmy na powierzchnię i zamknęliśmy się w jakiejś świetlicy. Obstawa Bielickiego stała pod drzwiami, żeby nikt nas nie podsłuchał, a w środku siedziałem ja i oni dwaj. Czterej górnicy trafili do pokoju obok – siedzieli jak w izolatce, żeby nikomu nie wyjawić, co widzieli. Ja zostałem potraktowany inaczej, bo w mniemaniu Bielickiego należałem do inteligencji, byłem wykształcony, mogłem coś wiedzieć.

Domyśla się pan zapewne, o czym debatowaliśmy. Odkąd wyszliśmy na powierzchnię, realność podziemnego stwora wydawała nam się coraz bardziej wątpliwa. Ale przecież był tam i próbowaliśmy zrozumieć, z czym właściwie mamy do czynienia. Czy jest niebezpieczny? Komu może zagrozić? Czy jest zwierzęciem, czy jakby-człowiekiem?

Każdy z nas nieco inaczej pamiętał to, co widział. Każdy interpretował inaczej to, co pamiętał. Ukazał nam się przecież tylko kawałek istoty, a jaskinia była ciemna i skały częściowo przesłaniały

widok. Zgadzaliśmy się, że stworzenie było żywe i ogromne. Nie zgadzaliśmy się co do jego natury i formy.

Wtedy właśnie przypomniał mi się ten fragment Księgi Rodzaju. Odnosi się do niego i Święty Augustyn, którego czytałem namiętnie w tamtym czasie. Augustyn cytuje różne teorie dotyczące tego, skąd się wzięli i kim byli ci biblijni olbrzymi. Przytoczyłem z tego tyle, ile pamiętałem, sądząc, że pomogę jakoś w tej sytuacji. Dziś sądzę, że to był błąd.

Obaj moi rozmówcy byli oczywiście ateistami i samo zacytowanie Biblii wywołało ich opór. Jednocześnie nie byli jednak głupi i rozumieli, że nie można wykluczyć tego tropu tylko dlatego, że wywodzi się z religijnego tekstu. Wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi i za chwilę dołączył do nas czwarty mężczyzna. Był to oficer UB, przysłany „z góry". Jego pojawienie się zupełnie odmieniło atmosferę panującą w pomieszczeniu. Do tej pory spieraliśmy się o naturę stwora. Ale ubek nie był nią zainteresowany. Chciał tylko wiedzieć, czy potwora można wykorzystać, czy raczej należy się go pozbyć. Od nas oczekiwał odpowiedzi.

Wojnicz zmarszczył brwi.

– Nie pomyśleli o tym, żeby wezwać jakichś naukowców…?

– Naukowców? – W tonie księdza Dubickiego pojawił się sarkazm. – Był rok pięćdziesiąty czwarty, naukowcy mieli głosić socjalizm albo go usprawniać. Jeśli podejmowano jakieś ważne badania, to może w Związku Radzieckim. My byliśmy pograniczem, tu nie należało swobodnie myśleć. Moja sugestia, że być może mamy do czynienia ze stworem sprzed biblijnego potopu, zaczęła przynosić nieoczekiwane owoce. Oficer dość szybko wrzucił stworzenie do szuflady z mitami, bo przecież tym była dla niego Biblia: chrześcijańską mitologią. A skoro olbrzym był stworzeniem z mitu, to naturalnie nie mieścił się w socjalizmie. Najlepiej, gdyby zniknął bez śladu. Został wymazany z pamięci.

– Postanowili… pogrzebać to coś?

– Proszę na to spojrzeć szerzej. Nie było tam pana wtedy, więc może nie zdaje pan sobie sprawy, jak przerażeni byliśmy. To się działo niecałe dziesięć lat po wojnie. Dziesięć lat po Hiroszimie i Nagasaki. Taki stwór, gdyby się wydostał, byłby zapewne nie do pokonania. Gdyby postanowił niszczyć, co pozostałoby z Górnego Śląska? Z tych wszystkich kopalń, hut, elektrowni? To było ich oczko w głowie. Władzy, Partii. To miał być ten nowy, wspaniały, sowiecki świat. A tu nagle coś takiego. Odkrycie o skali przerastającej wyobraźnię partyjnych aparatczyków… Czy może pan uzmysłowić sobie, co oni poczuli na wieść o znalezieniu przedpotopowej bestii głęboko pod ziemią, gdzieś w jakimś górniczym miasteczku?

– Ale przecież nawet nie wiedzieli, co to jest! – Wojnicz potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Nie chcieli się dowiedzieć?

Ksiądz się zafrasował.

– Jak? Musieliby ściągnąć do Chorzowa jakichś biologów, zoologów czy kogo tam jeszcze. Musieliby wtajemniczyć dziesiątki, może setki osób. Czy ma pan pojęcie, co by to była za operacja? Oficer od razu odrzucił takie propozycje. Z jego perspektywy tajemnica była kluczowa. Szybko wbił sobie do głowy to, co nieopatrznie powiedziałem tuż przed jego przyjściem, a co zmuszony byłem potem powtórzyć. Z jakiegoś powodu moja historia przemówiła do jego wyobraźni, więc na niej oparł swój wniosek. Biblijny olbrzym stanowił zagrożenie dla Polski Ludowej nie tylko ze względu na swoją nieobliczalną potęgę, ale też ideologicznie niepoprawne, metafizyczne pochodzenie. Kto wie, może stałby się narzędziem w rękach kontrrewolucji? Trzeba było zlikwidować go szybko i po cichu. A to była specjalność Urzędu Bezpieczeństwa.

– On o tym zdecydował?

– Nie, on nie miał aż takich uprawnień. Zdecydował głos z telefonu. Proszę nie pytać, nie chcę się nawet domyślać personaliów. Nie było mnie zresztą przy rozmowie, wyprosili mnie. Niech mnie pan dobrze zrozumie, ja też byłem zdjęty przerażeniem. Nie dziwię

się ich decyzji. Jeśli rzeczywiście sam Bóg postanowił o zniszczeniu niemal całej populacji Ziemi, aby przy okazji wybić te potwory, co my mieliśmy zrobić? Dokończenie Bożego dzieła nie wydawało mi się złe samo w sobie. Oni oczywiście myśleli inaczej. Mieli na głowie plan sześcioletni, którego realizacja była już wtedy mocno zagrożona. Kierowali się innymi kategoriami niż ja.

– Więc to osiedle… Było tam, prawda? Dokładnie ponad grotą, dobrze rozumiem?

– Tak, panie Wojnicz. To byli moi nowi parafianie, choć niezbyt często pojawiali się w kościele… Tak jak pan sam odkrył, zostali sprowadzeni do pracy w kopalniach wraz z rodzinami. Nowo postawione, skromne familoki, dokładnie cztery rzędy wzdłuż dwóch krótkich uliczek. Pięćdziesiąt dwa mieszkania. Wybudowane z wielkim wysiłkiem w czasach, gdy inni kotłowali się w przedwojennych kamienicach.

– Cała dzielnica. – Wojnicz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Postanowili ją poświęcić?

– Nie od razu zorientowali się, że wysadzenie sklepienia groty może spowodować taką katastrofę. Pierwszym zmartwieniem był wstrząs, który odczuliby ludzie w okolicy. Ale z tym potrafili sobie poradzić. Można było przecież ogłosić, że w powietrze wyleciał podziemny skład dynamitu. Gdyby w okolicy magazynu wybuchł pożar… Takie wypadki zdarzały się i nie musiało być nawet ofiar w ludziach.

Dopiero wezwani na konsultację nasi czterej przewodnicy, z których jeden dość dobrze znał się na pirotechnice, uświadomili im, co ryzykujemy. Grota była prawdopodobnie rozległa raczej w pionie niż poziomie. Nie była też równomiernie ukształtowana. Kontrolowane eksplozje, którymi górnicy rozsadzali skały podczas drążenia tuneli, miały zupełnie inny charakter. Nikt tak naprawdę nie wywoływał w kopalniach eksplozji tak rozległych jak ta, której potrzebowali, by zasypać potwora.

Mimo tego ubek nalegał, żeby nie tylko zasypać grotę, ale i zatrzeć wszelkie ślady po obecności olbrzyma. Takie wytyczne

dostał rzekomo z centrali. L rozważał, jak wiele dynamitu mieliby użyć i jak go rozmieścić, a Bielicki chodził po świetlicy, mrucząc coś pod nosem i odpalając papierosa od papierosa. Z każdą mijającą godziną czułem, że znajduję się w coraz większej rozsypce. Ręce trzęsły mi się z nerwów i głodu. Ktoś przyniósł kawę i pieczywo, ale nawet nie mogłem na nie patrzeć, tak przerażony byłem całą tą sytuacją. Zbliżał się wieczór, a my siedzieliśmy zamknięci w zadymionym pomieszczeniu.

Z jednej strony czułem się bezsilny. Trzymali mnie tam tylko dlatego, że wiedziałem za dużo. Poza niepotrzebnie rzuconą hipotezą nie przydałem się na nic. Z drugiej strony czułem ulgę, że nie mam żadnego wpływu na decyzję, która zapadnie. Nie docierało do mnie jeszcze, że ważą się losy kilkuset osób. Olbrzym pochłaniał całą moją uwagę.

– Nie pomyśleli, żeby ich ewakuować?

– Pomyśleli. Bielicki zażądał tego kategorycznie. L miał wymyślić jakiś powód, a UB zatuszować prawdziwe przyczyny. Ale oficer się nie zgadzał. Znów odesłali górników do izolatki, tym razem również i mnie. Sprzeczali się już tylko we trzech. Pewnie dzwonili jeszcze do Warszawy, bo nie wierzę, by brali na siebie całą odpowiedzialność.

Decyzja jednak nie zapadła i przez to wszyscy spędziliśmy noc pod kluczem. Poza tajemniczymi osobami w stolicy oraz naszą ósemką nikt nie wiedział o istnieniu olbrzyma. Kopalnia pracowała normalnie. Górnicy, którzy znieśli dynamit do tamtego korytarza, nie wiedzieli, po co to robią. Nie weszli też do szczeliny. Wszystko trzymane było w ścisłej tajemnicy.

Rankiem w niedzielę L zszedł pod ziemię wraz z górnikami, by dopilnować rozmieszczenia ładunków i zobaczyć, czy olbrzym się nie przemieścił. Zostałem na górze z Bielickim i ubekiem, szczęśliwy, że nie muszę po raz drugi zagłębiać się w duszne korytarze. Obaj długo milczeli, jakby pogrążyli się w przemyśleniach. Po tych

niekończących się dyskusjach z poprzedniego dnia niewiele było do dodania. Miałem wrażenie, że już tylko mnie interesuje, czym jest to stworzenie – dla nich dwóch było jedynie problemem do rozwiązania.

Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie mam pretensji do pana teścia. Robił to, co do niego należało. Walczył o to, by realizacja celów postawionych przez kierownictwo Partii nie pociągnęła za sobą ofiar w ludziach. Ubek nie przejmował się tym w ogóle. Podejrzewam, że gdyby nie pan Bielicki, jeszcze tego samego dnia w powietrze wyleciałaby cała kopalnia. Tak na wszelki wypadek.

Ale Bielicki był na miejscu i nie opuszczał stanowiska. Nie wiem, czy w ogóle spał tamtej nocy. Widać było po nim zmęczenie. Kolejna paczka papierosów zamieniała się w siwy dym, nie bez pomocy ze strony oficera. Wreszcie L powrócił, by oświadczyć, że ładunki zostały rozmieszczone, ale pojawiły się nowe problemy. Wszyscy zerwaliśmy się z miejsc i dopytywaliśmy o szczegóły.

L zaczął od tego, że nie było możliwości, by dobrze zbadać grotę, czy to wcześniej, czy teraz. Musieliśmy zatem brać poprawkę na pobieżność przeprowadzonych oględzin. A sugerowały one, że olbrzym, być może wcześniej niezbyt ruchliwy, może nawet uśpiony, teraz próbował swoich sił, by dostać się do miejsca, z którego docierało świeże powietrze oraz światło. Niektóre skały wyglądały na spękane. Prawdopodobnie co najmniej jeden stalagnat został zupełnie wyrwany. Czy olbrzym miał jakiekolwiek szanse, by przepchnąć swoje cielsko w kierunku szczeliny? Tego L nie potrafił ocenić. Ale jego wieści doprowadziły nas do skrajnego przerażenia.

Oficer rzucił Bielickiemu w twarz, że jego wahanie może doprowadzić do prawdziwej katastrofy. On z kolei bronił swojej decyzji szeregiem argumentów: tak moralnych, jak i czysto racjonalnych. Nie mogli przecież ryzykować śmierci ludzi na powierzchni. Potrzebowali ich. Potrzebowali górników, ich pracy. To była ostatnia nadzieja na realizację planu sześcioletniego.

Ale wysiłki pana teścia skazane były na porażkę. Śmierć setek ludzi? Czym to było w zestawieniu z zagładą całego zagłębia przemysłowego? Kalkulacja była prosta i niestety L rozumował podobnie: problem był natury logistycznej, nie etycznej. Ci ludzie z familoków liczyli się tak, jak liczą się koparki. Bo człowiek socjalistyczny był właśnie koparką, narzędziem w rękach postępu. Pomimo *votum separatum* Bielickiego decyzja zapadła w ciągu niecałej godziny. Już od minionego wieczora po kopalni kręciło się całe mrowie ubeków, gotowych zabezpieczyć wykonanie dowolnie bezsensownego planu. Teraz wystarczyło wydać odpowiednie dyspozycje.

– Postanowili wysadzić grotę bez ostrzeżenia ludzi na powierzchni.

– Tylko L wiedział, jak poważne były te uszkodzenia w grocie. Sposób, w jaki przedstawił nam sprawę, nie pozostawiał złudzeń: czasu było zbyt mało, aby się zastanawiać. Inna rzecz, że nikt nie wiedział na pewno, czy ziemia pod osiedlem się zapadnie. To zależało od zbyt wielu czynników, a my nie mieliśmy w tamtej chwili dostatecznej wiedzy. Wszyscy jednak liczyli się z tym, że zginą ludzie. Najważniejsze było, aby potwór się nie wydostał, ale też aby nikt się o nim nie dowiedział.

– I żeby ukryć to wszystko, wywołano pożar?

– Tego nie jestem pewien. Nie słyszałem żadnego rozkazu. Może taki był ich pomysł, a może jeden z ubeków okazał się nadgorliwy. Fakt: ten pożar był bardzo na rękę bezpiece, która musiała zatrzeć ślady. Nie wiem, może sztucznie go przedłużano. Gdyby on się nie wydarzył, wymyśliliby jakiś wyrzut czy tąpnięcie, to się dało zorganizować. W każdym razie pożarem można było wyjaśnić bardzo wiele. I eksplozję dynamitu, i ofiary. A ponadto miał dodatkową zaletę.

– Trwał długo.

– Tak. Przez pięćdziesiąt dni prowadzono akcję ratowniczą. Przez prawie dwa miesiące na Górnym Śląsku nie mówiło się o niczym innym. Wyobraża pan to sobie? Dziś trwająca dwa tygodnie akcja ratunkowa przykuwa widzów do telewizorów. A wtedy, w czasach radia i gazet, łatwiej było kontrolować, co dociera do ludzi. Ci, którzy wiedzieli o podziemnej eksplozji, o zapadlisku, dziesiątkach domów, które dosłownie zniknęły w wielkiej czeluści, szybko usłyszeli, że mogą stać się podejrzani o sabotaż albo zasilić szeregi ofiar pożaru. Podczas gdy ratownicy szukali żywych w płonących wyrobiskach, Bataliony Pracy ściągnięte ze Stalinogrodu i Bytomia zasypywały wyrwę w ziemi. Prawdopodobnie nawet nie wiedzieli, gdzie pracują i ze skutkami czego walczą. To były lata pięćdziesiąte, wieźli pana gdzieś pociągiem, wysadzali, dawali łopatę, a na wszystkie pytania odpowiadali, lejąc po pysku.

Wojnicz ukrył twarz w dłoniach, przez kilka dłuższych chwil nie mogąc się odezwać. Na zewnątrz znów słychać było tylko świerszcze, które jakby nawoływały się w ciemności. Ten spokój letniej nocy próbował wedrzeć się do myśliwskiego domku, niczym fala rozlewająca się na rozgrzane węgle panujących w środku emocji.

– To szokujące, ale z perspektywy księdza historii tamten pożar wydaje się niemal drobnostką.

Ksiądz Dubicki z widocznym wysiłkiem dźwignął się z fotela. Frascati dawno już zniknęło z kieliszka, dolał więc sobie wina ze stojącej na stole butelki. Głuche stuknięcie odstawianego szkła zmąciło monotonię owadziej muzyki. Stary człowiek podszedł do uchylonego okna i wyjrzał na taras.

– Ludzka śmierć nigdy nie jest drobnostką – rzekł filozoficznie. – Katastrofy były dwie, ale o tej pierwszej świat nigdy się nie dowiedział i się nie dowie. Nie może pan o tym nikomu mówić. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

– Ale jeśli ten stwór potwierdza prawdziwość Biblii, dlaczego nie przyszło księdzu do głowy, by teraz, po latach, wszystko ujawnić?

Ksiądz Dubicki pokręcił głową, nadal odwrócony w kierunku niezgłębionej czerni skąpanego w nocy lasu.

– Panie Wojnicz, tego olbrzyma już nie ma. Jeśli kiedykolwiek znajdą jego potrzaskane kości, zapewne uznają go za dinozaura czy coś takiego. A potwierdzać prawdziwość Biblii? W to bawią się amerykańscy protestanci. Jak ktoś nie chce, to nie uwierzy, choćby dowody leżały przed jego oczami.

Wojnicz również wstał i podszedł do swego rozmówcy.

– Ale ci ludzie… Nie zasługują na to, by ich imiona pamiętano? Przecież ksiądz ich znał, byli księdza parafianami!

– I pozwoliłem im zginąć.

Gospodarz zamarł.

– Ksiądz się boi odpowiedzialności? Przecież nie ksiądz wysadził tamtą grotę. Nie ksiądz pogrzebał tamtych ludzi.

– Pogrzebałem, owszem. – Sapnął przeciągle. – Ich śmierć plami moje sumienie. Może nie ich krew, którą przelali inni. Ale to moja bezczynność odebrała im życie. Odebrała im istnienie w pamięci żyjących. Dziś są to tylko bezimienne dusze, jakich wiele pozostawiła po sobie wojna. A ja podpisałem się pod zobowiązaniem, że tak już pozostanie do końca tego świata.

Wojnicz otworzył usta, zdumiony.

– Spowiedź. – Zrozumiał. – Zaoferowałem księdzu spowiedź, ale nie udzieliłem rozgrzeszenia.

– Takiej władzy pan nie ma. Ją dać może tylko sam Chrystus.

– Ale… Po tym wszystkim nie może ksiądz nadal obwiniać się o to, co się stało!

– Nie mogę? – Dubicki uniósł brwi. – Dźwigam winę od sześćdziesięciu lat, wytrzymam jeszcze kilka. Proszę mnie źle nie zrozumieć.

Doceniam, że mnie pan wysłuchał. Cieszę się, że mógł pan poznać przyczyny śmierci pana teścia. To była dobra spowiedź. Ale rozgrzeszenia nie będzie. Stanę przed trybunałem, który wyda wyrok za lojalność wobec morderców. Ten trybunał czeka już od wielu lat, ale mi wcale się nie spieszy na spotkanie z nim.

– Może ksiądz to jeszcze zmienić. Może ksiądz wszystko ujawnić!

– Teraz? To byłby nic nieznaczący gest. – Dubicki pociągnął łyk z kieliszka. – Tam, w kopalni, poznałem, co to strach. Teraz poznam, co to sprawiedliwość.

Wojnicz pokręcił głową.

– Ojciec popełnił samobójstwo, wieszając się. A teraz ksiądz popełnia samobójstwo wieczne, odmawiając sobie przebaczenia.

Dubicki prychnął nieznacznie.

– Obaj skończymy w piekle. Może dostaniemy sąsiednie cele.

– Musi być jakiś ratunek.

– Dla tych ludzi go nie było. Dlaczego więc miałby być dla mnie?

Ksiądz odwrócił się do Wojnicza; jego oczy zdawały się drżeć pośród fałd zmarszczek.

– Panie Wojnicz, ta rozmowa się skończyła – rzekł zdecydowanym tonem. – Dziękuję za pana czas, ale jestem już zmęczony. Życzę panu dobrej nocy.

Odstawił pusty kieliszek i ruszył niespiesznie na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie. Gospodarz stał nieruchomo, odprowadzając go wzrokiem.

– Dobranoc – rzucił po chwili w kierunku pleców swojego gościa, jakby dopiero zorientował się, że ten się oddala.

Jakiś zbłąkany rozbłysk światła zamigotał na powierzchni wina, rzucony przez trzaskający w kominku płomień. Wojnicz wlał pozostałą zawartość butelki do kieliszka i wychylił go do dna. Napój spłynął po wyschniętym gardle, przyjemnie drażniąc kubki smakowe.

Mężczyzna uniósł puste szkło na wysokość wzroku, a potem delikatnym ruchem cisnął je przez niedomknięte okno. Cichy brzęk oznajmił jego koniec.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś
Kontrola redakcji: Anna Dudało
Korekta: Michał Rymaszewski, Paweł Sadowski, Beata Sagan-Szendzielorz
Weryfikacja: Magda Kowalewicz, Patrycja Pancerz, Anna Twarowska
Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Patrycja Smaga

CZŁOWIEK Z MASZYNY

Barbara Zambrzycka

To była historia jak wszystkie straszne historie tamtej wojny. Zaczynała się od umierającego pod jarzmem nazistów miasta i rozpaczliwej chęci życia. Od ciemnych dróg, zagubionych w świecie wsi, odgłosu wystrzałów wstrząsających nocą. Wreszcie od dziewczyny przedzierającej się przez las, krok za krokiem, na przekór i na wyzwanie pozostawionym murom getta.

Na zachód od Warszawy dwie napierające armie musiały ustąpić, zostawić ten skrawek ziemi na pastwę jego własnej władzy. Wokół, pod tkanką lasu, Irena mogła jeszcze zobaczyć ledwie zwalczonego guza, jakim jest współczesność – człowiek, jego masa i jego maszyna. Raz po raz wyłaniały się spod ziemi resztki murów, strasząc niczym źle zagojone rany.

Słyszałeś kiedyś trwogę, drogi czytelniku? Trwoga to nadlatujące bombowce, kiedy jeszcze nie wiesz o wojnie. Jak zaś nazwiesz rumor wstrząsający ziemią, tysiące hałasów zlanych w jeden, metaliczny i zgrzytliwy jęk nienaoliwionego mechanizmu? W miarę zbliżania się do celu, Irena słyszała go coraz lepiej, coraz głębiej wrzynał jej się w czaszkę, coraz mocniej zaciskał gardło.

Przynajmniej wskazał jej drogę – nie wiedziała, jak iść, bo dotychczas sądziła, że poprowadzi ją rzeka. Jakie wielkie miasto może

się obyć bez tej aorty pompującej w mury życie? Okrutna geografia ją zwiodła. Rzeki nie było. Tylko ten szum, bicie serca potwora ukrytego w lesie.

A przecież rzeka to nie jest rzecz błaha. Zaklęcie rzucone nad płynącą wodą nie sięgnie drugiego brzegu. Wodą można błogosławić, lecz unikać należy wód przeklętych. Woda to życie i woda to ogień w płucach. Dla Ireny miała również tę zasługę, że wyniosła ją z dala od getta – zimna jesienna Wisła przyjęła bezradną dziewczynę, gdy nad głową świszczały kule – a przecież rzeki to nie miejsce dla ludzi.

Pod tym niebem już chyba takiego nie ma.

Z ciasnej zieleni wyłonił się nagle zupełnie inny gąszcz: las metalowych słupów i tablic. Las ostrzeżeń. Najstarsze krzyczały po rosyjsku, młodsze po polsku, najmłodsze – po niemiecku. Ale bez względu na język wszystkie niosły tę samą treść: „UWAGA! MIASTO ŁÓDŹ!".

Te słowa same w sobie nie są straszne, w Warszawie trudno czytać je ze strachem. Ty też nie przeczytasz ich teraz odpowiednio. Bo żeby odczytać je właściwie, trzeba się wsłuchać w ten mechaniczny hałas i spojrzeć ponad ostrzeżeniami na zastygły w półmroku las. Zdaje się, że nic tam nie ma, nic tam przecież nie widać. Jak wielkie musi być coś, co tak bardzo słychać, kiedy jeszcze tego nie widać?

Mówiło się wtedy o Łodzi to samo, co się mówi dziś – że miastem rządzi technika albo że miastem rządzi magia. Z techniką to jest sprawa prosta, bo technika jest skazana na człowieka – bez niego najpotężniejsze nawet tanki będą niczym, a człowieka przecież można zgnieść. Irena widziała, jak łatwo zgnieść. Być człowiekiem to wielce marna perspektywa.

Z magią rzecz wygląda inaczej. Do niedawna nikt prawie nie wierzył w czary. Do chwili, gdy na rządzących Warszawą Niemców nie spadła wieczna ciemność, dopóki nie oblazło i nie pokąsało ich

robactwo. Ale choć magia była teraz rzeczą pewną, to w sprawie magii Irena nigdy nie była pewna niczego.

Po raz pierwszy usłyszała o niej już dawno, od Pani Rozalii, uwiędłej staruszki, z którą nikt oprócz Ireny nie rozmawiał. Pani Rozalia na tym budowała swój autorytet w dziedzinie magii, że umiała mówić do kwiatów tak, aby słuchały. Kwitły dla niej także i zimą, porastały ściany mieszkania, ją samą nawet. Gdy zechciała, zmieniały się w owoce, ale te były akurat zielone i gorzkie. Choć w życiu tej kobiety nie było nic prostego, ona sama była zupełnie prosta – głodnych nakarmić, spragnionych napoić, straceńców bronić.

Irena poszła do niej prosić o litość, więc przy okazji dostała też herbatę – taką w białej filiżance ze złotym brzegiem. Mieszkanie staruszki stało się wtedy inne, dziksze jakby. Bo magia już wtedy była faktem, a na magię nie ma przepisów, są tylko złorzeczenia. Tak samo na Łódź są tylko złorzeczenia, więc na tym stanęło – że Irena pojedzie do Łodzi.

Ale zanim pojechała, Pani Rozalia dała jej symbol. A gdybyśmy wiedzieli, jak wyglądał, wisiałby on teraz na wszystkich krańcach ziemi. Może przedstawiał słońce – żeby znalazła się w tej historii jakakolwiek myśl ciepła i jasna. Ona taka zresztą była, ta Pani Rozalia. I taki był do końca jej uśmiech.

Ale martwych należy pogrzebać. Niech więc leży Pani Rozalia w bezimiennej warszawskiej mogile. A Irena niech zmierza do Łodzi.

Łódź to miasto rewolucji, ona nadała jej dzisiejszy kształt. W tysiąc dziewięćset piątym roku nie dało się tam dłużej znosić życia, które prawom bez wątpienia istniejącym przydawało wątpliwości. Z teorią trzeba było skończyć i przejść wreszcie do faktów, a fakty wymagają siły. Siłę zaś miał Mechaniczny Człowiek.

Nikt nie znał wówczas jego prawdziwego nazwiska. Na pewno był Polakiem. Kto, jeśli nie Polak, mógłby się piętnaście lat później postawić nadciągającej ze wschodu bolszewickiej fali z taką

stanowczością? To był przecież jedyny raz, gdy jego Stalowa Armia opuściła miasto.

Bo normalnie, żeby ją zobaczyć i dać się zgnieść jej nieludzkiej sile, trzeba było przyjść do niej. Tak jak Irena.

„UWAGA! MIASTO ŁÓDŹ!"

Ostrzeżenia patrzyły na nią smętnie czerwonymi literami, pełzały jej po plecach nieprzyjemnym dreszczem. Oto wzgardziła nimi. Dziesiątki lat rdzewienia w głuszy po nic. Ostrzeżenia są przecież dla ludzi, a nie dla obojętnego lasu.

Irena odłożyła na bok strach i szła dalej przez zarośla, a zamiast celu znalazła zmęczenie. Pocieszała ją tylko grzmiąca maszyneria, tak mocna i pewna samym dźwiękiem, że mógłby on zastąpić miasto.

Ale czy wiesz, co to jest grzmot? Grzmot to jest to, co cię może spotkać w każdą powszednią burzę, a jednak pioruny powinny bić tylko w najwyższe drzewa.

Irenę zaś mógł spotkać Mechaniczny Człowiek, choć przecież powinien wielkie wojny oddać generałom, a szarego człowieka pozostawić w jego szarym życiu.

W czym lepsi są żołnierze ze stali od żołnierzy niemieckich, metalowe pazury od lufy przyłożonej do skroni? O tych pierwszych mówiło się przecież gorzej – że są wielcy jak drzewa, że zamiast rąk mają szczypce. Że każda kula odbija się od ich metalowej piersi. Irena często widywała wyobrażenia o nich, w każdą rocznicę zakończenia bolszewickiej wojny zajmowali szturmem dzienniki, próbując wszelką fantazję zagarnąć dla siebie.

Zdarzali się czasem wśród ilustratorów tacy, którzy stalową armię naprawdę widzieli, żaden jednak nie widział tego, co zobaczyła Irena. Minąć musiał nieskończenie długi łańcuch trwóg, nim zrozumiała, co ma przed sobą.

Nie ujrzała domostw ani sklepów, fabryk nawet – nie ujrzała budynków w ogóle. Budynek to kręgosłup i mięśnie zawieszone na nim, a ta bestia miała tylko kręgosłup. Ściany zniknęły albo

też zostały zdegradowane do parodii, do cienkiego rusztowania dźwigającego system wałów i pędzący po nim pas transmisyjny. Ów pas nie przypomina tego, co możesz zobaczyć w zakładach kierowanych rozsądkiem dyrektorów. Nie – Łódź to bestia, a oto jej układ nerwowy.

Ciągnie się on nieskończoną siecią między maszynami, po piętrach i podziemiach, tam, gdzie widzisz, i tam, gdzie nikt nie zobaczy. Nie można powiedzieć, skąd wychodzi ani dokąd zmierza, bo choć Łódź jest bestią, nie jest człowiekiem – nie musi zaczynać się od głowy i kończyć u stóp. Nikt nigdy nie policzył jej organów, tych tysięcy maszyn tkackich, których niepotrzebna już praca wprawiała okolicę w drżenie. Miasta to dzieło człowieka, ale Łódź wyglądała tak, jakby ją odarto ze wszystkiego, co ludzkie, a pozostawiono tylko brutalną mechaniczną siłę.

Pewnie myślisz, że rozsądny człowiek by się cofnął, ale kto kieruje się rozsądkiem, ten nie jest człowiekiem.

Irena wyszła na ulicę i wówczas dopiero zobaczyć mogła pozostałość tego, czym miasta są naprawdę – strzępki gazet i porzuconą piłkę. Straszna cisza była w tym hałasie wokół, tak jakby wyssano z niego całe życie, a jednak rzędy maszyn to nie są zabójcy z kronik kryminalnych. Dlatego Irena weszła pomiędzy nie najzupełniej ufnie i tropiła przeszłość. Zwisające resztki osnowy, porzucone na ziemi czółenka. Gdzie się podziały te wszystkie ręce, które miały nimi władać? Historia mówiła o śmierci, ale milczała o życiu. Nie było o czym czy było tego zbyt dużo?

Jak głęboko wewnątrz molocha zaszła, Irena uświadomiła sobie dopiero wówczas, gdy mechanizm przyspieszył gwałtownie.

Popełniła błąd jagnięcia wchodzącego między wilki. To nie były te same maszyny, przy których łódzkie robotnice umęczyły zdrowie – już nie. Do starych ram dopięto nowe części, odstające od reszty jak plugawa narośl i plugawa była także ich funkcja.

Opadły na nią z góry – stalowe ramiona i stalowe palce chwytające ciało. Szarpiące, rozrywające. Chciała biec, ale podcięły jej nogi, wystrzeliwały jak sprężyny, jak psy gończe za celem. Oplatały tysiącem nitek bawełnianej pajęczyny. I nie można było przed tym uciec. Spadały jak ulewa, jedna stalowa macka za drugą, jedna za drugą. Otaczały jak kokon muchę obiecaną pająkowi.

A pająk się zbliżał.

W niczym nie przypominał ilustracji z gazet – nie był wspomnieniem patriotyzmu ani nawet snem o okrucieństwie. Ta istota, łodzianin, nie wyróżniała się wzrostem, nie miała stalowych pazurów. Twarzy nie zastępowała jej wykrzywiona w grymasie maska. Nie. Twarz pozostała ludzka, z ludzkimi oczami spoglądającymi ludzkim spojrzeniem.

A wiesz, co to jest ludzkie spojrzenie? Ludzkie spojrzenie to jest to, czego Irena widziała zbyt wiele – wrogość, pogarda, zło.

Ciało miała za to nie ludzkie, a jedynie człekokształtne. Metalowe osłony nie wydawały się osłaniać czegokolwiek, były jak wzgardliwa parodia prawdziwej skóry. Zza nich rzucało światu wyzwanie prawdziwe oblicze łodzianina – pędzące tryby i skrzypiące zawiasy. Z jego wnętrza dwoma wąskimi rurami wydostawały się kłęby dymu.

Słyszałeś kiedyś potwora? Potwór to są kroki opadające na ziemię takim grzmotem, jakby to spadał czołg, a nie ludzkie stopy.

***

Ta historia jest inna aniżeli większość historii tamtej wojny. Nie umiera na bezdrożach obcej ziemi, nie kończy jej wystrzelona kula ani nie zagłusza jej złowieszczy jęk syren. Ta historia trwa, chociaż powinna być skończona.

– Nosisz jego znak – powiedział mechaniczny człowiek swoim mechanicznym głosem.

Wskazał przy tym symbol Pani Rozalii. Ten symbol ocalił życie – ile takich potrafisz wskazać?

Ach! W ogóle cię tam nie było, nie widziałeś niczego, więc żałuj! Labirynt łódzkich ulic zawładniętych przez maszyny na zawsze pozostanie dla ciebie tajemnicą. Mogę uchylić zaledwie jej rąbka – że gdzieś za tą grzmiącą masą kryje się wyspa, za którą rewolucja oddała życie. Skryta za murami dawna ulica Piotrkowska dziś nie rozbrzmiewa gwarem głosów, ale tykaniem mechanizmów. Bo stalowi ludzie nie rozmawiają ze sobą prawie w ogóle i nawet kiedy są razem, nie tworzą tłumu, tylko zbiór.

Milczą, gdy staje przed nimi Irena – kobieta o ludzkiej twarzy, o całym ciele ludzkim. Milczą, gdy wydają na nią wyrok – gdy go wydaje ten na czele, a pozostali milczą w pokorze. Milczą też, gdy go postanawiają odwołać, i milczą, gdy rozkazują, aby czekała na Mistrza. Milczą, gdy Irena ich pyta, kim jest Mistrz.

Może się tylko domyślać, a domyśla się w mroku, skuta kajdanami. Audiencję uzyskuje najwyżej u szczurów.

Na szczęście odzywa się w mechanicznych ludziach resztka człowieczeństwa – po trzech dniach przypominają sobie, co to jest głód.

A ty słyszałeś, co to jest głód, drogi czytelniku? Głód to jest dreszcz na myśl o popiskujących w ciemności szczurach. Ale nie przejmuj się Ireną. Ona miała w tym już doświadczenie. Myślała wtedy, że jest rzeką i przepływa z dala od tych spraw, pędząc ku morzu.

Piątego dnia jakiś głos ludzki – ludzki! – powiedział jej, że Mistrza wciąż nie ma, ale dość już siedzenia w kajdanach.

Nie wyszła na powierzchnię, ale się wyczołgała. Nawet jej ta żałosność nie ukłuła, świat miał wówczas wprawę w żałosności. Ukłuło ją zaś to, że ludzki głos okazał się wcale nie ludzkim.

Wyciągnięta do niej dłoń należała do kobiety mechanicznej, w której nie pozostał ślad dawnego życia. Twarz jej i reszta ciała nie tylko były zbudowane ze stali, ale kształtów nawet nie miały

właściwych, symetrii w nich zabrakło. Żadnych miękkich łuków, jedynie ostre kąty, wypustki w miejscach przypadkowych, dodatkowe stawy. A obrazu dopełniały pstrokate barwy zdobiące tę bryłę – błękit, zieleń, żółć. Jakby łodzianka wśród przodków miała kalejdoskop.

– Maria Bieluń – przedstawiła się.

Irena nie uścisnęła wyciągniętej ku niej ręki. Nie dosięgnęła; kolana ugięły się pod nią i uderzyły o bruk.

Jej ciało, znużone tygodniami wysiłków, długo musiało dochodzić do siebie, ale przynajmniej miało ku temu właściwe miejsce – cichą norę, schowaną na uboczu świata, gdzie nikt nie chodził i nikt nie strzelał. To był dom Marii, którego ona nie nazywała swoim domem, lecz pracownią. „Dom to jest miejsce, w którym się śpi i je, a ja spać ani jeść nie muszę" – powtarzała. „Mistrz uwolnił mnie od ciężkiego jarzma codzienności, abym mogła oddać się sztuce" – chwaliła się.

Jej pędzlom było w tej kamienicy podporządkowane wszystko. Wciąż stały tu meble, ale to już nie były tak naprawdę meble, lecz płótno. Gdziekolwiek Irena by zajrzała, jakąkolwiek szufladę wysunęła, książkę otworzyła, donicę obróciła do góry dnem, tam czekał na nią kolejny element barwnej mozaiki. Jej części przeplatały się ze sobą bez żadnych powtórek, żadnej regularności, którą można by uchwycić pamięcią i uporządkować rozumem, tak że każda dłuższa chwila wpatrywania się w malunek napełniała Irenę frustracją.

A czasu na oglądanie miała dużo – nie było w domu Marii za wiele do roboty, nikt ich też nie odwiedzał poza Stasiem. Czy może Stanisławem, bo zdrobnienie, którego używała Maria, wydawało się Irenie cokolwiek nieadekwatne – człowieka takiego jak Stanisław nie da się zdrobnić, napiera on na rzeczywistość całym swoim ogromem. Już sam jeden potrafił wywołać wrażenie tłoku, a patrząc na jego stalowe ramiona, nietrudno było wyobrazić sobie, jak rozrywa nimi szeregi bolszewików. Jak gniecie nimi ludzi.

Maszyna bardzo łatwo może człowieka zgnieść, drogi czytelniku.

O ile łatwiej byłoby myśleć o Stanisławie jako o istocie żywej, gdyby wypowiedział choć jedno słowo, uczynił jakikolwiek gest poza niezbędnymi. Przecież człowiek to jest zbiór rzeczy niepotrzebnych! A on nie miał w sobie najmniejszej rzeczy ponad, był zracjonalizowany jak fabryczna produkcja, obliczony na wydajność, nie uczucia. Chciałoby się wierzyć, że Stanisław był w tej martwocie jedyny, a reszta łodzian niczym Maria niezmordowanie ścigała życie. A jednak za oknem sunęły ulicą upiory.

Trwanie w myślach sam na sam z miastem bez życia tchnęło w Irenę niepokój.

– Czym oni się zajmują? – spytała Marię, gdy zastała ją wieczorem przed ostatnią czystą ścianą w domu.

Ach! Ten piękny gest! To niepotrzebne, jakże ludzkie drgnięcie, gdy Irena wyrwała ją z zamyślenia.

– Kto?

– Oni. – Wskazała za okno, gdzie wciąż krążyły te same mechaniczne sylwetki, które teraz rozpoznawała nawet w mroku. – Czy nie mają nic do roboty?

Maria wzruszyła ramionami.

Wydaje ci się pewnie, że wzruszenie ramion to obojętność, a przecież trzeba zadać sobie ten trud, by usłyszeć pytanie.

– Nie myśl o nich, to maszyny.

Jakże ironicznie to brzmiało w tych ustach. Irena się zawahała. Cisza, która w tamtej chwili zapadła, miała w sobie coś niedobrego.

– A nie wszyscy jesteście maszynami?

Pewnie się domyślasz, drogi czytelniku, że to było złe pytanie, ale nie było cię tam w tej ciszy bezradnej, więc nie mógłbyś zadać lepszego.

Maria raz jeszcze oderwała się od pędzli i spojrzała na Irenę swoimi sztucznymi oczami. Nic się nie dało wyczytać z jej twarzy, tylko urwany w połowie ruch zdradzał wątpliwość.

– Nie. – Ton Marii pełen był urażonej dumy. – Ja jestem człowiekiem, którego Mistrz uwolnił od śmiertelności. Maszyny buduje się, aby całe życie wykonywały jedną pracę. Kiedy im ją odebrać, skazane są na jałowość bytu.

Irena zdała sobie nagle sprawę, że kiwa głową. Człowiek rodzi się maszyną zaprogramowaną na przetrwanie – jeśli jest zmuszony, całe życie ucieka od głodu i zmęczenia, od śmierci. Jeśli nie… Jeśli nie, po co ma gnać do przodu?

To smutne, że nie każdy może być jak Maria i rozkwitać poza jurysdykcją czasu, prawda, drogi czytelniku? A zastanawiałeś się nad tą okrutną sumiennością, która kazała Marii tworzyć? Nad nieskończonością szczegółów atakujących ze ścian i mebli? Bo Irena się zastanowiła i poczuła, że robi jej się duszno. Wiedziała, że duszność nie jest prawdziwa, a jednak czuła ją zupełnie naprawdę.

– Kiedy skończysz tę ścianę… Co będziesz wtedy malować?

– Wtedy znajdę dla siebie nową pracownię.

Maria wróciła do pracy. Na ścianie zaczął pojawiać się statek, ale zamiast na fali, żeglował przez ocean przypadkowych przedmiotów.

– Czy nigdy nie czujesz się znużona?

– Jestem uwolniona od znużenia.

Zabrzmiało to tak, jakby usiłowała się bronić.

– Ale czy nie wolałabyś malować czegoś innego? Gdzieś indziej? Wyjechać stąd?

– Nie podoba ci się to, co maluję?

Irena nie wiedziała, czy jej się podoba, czy nie. Wiedziała, że patrzy i nic nie widzi, że ma przed sobą ciąg różnych elementów, które mogłyby być jednym, bo i tak nie mają dla niej żadnego znaczenia.

Nie, one przecież były jednym elementem – namalowanym tak samo, wedle tego samego schematu fałszywej odmienności. Oszustwem.

– Boję się wyjechać z Łodzi – powiedziała Maria, nie chcąc wcale usłyszeć odpowiedzi na własne pytanie. – Ludzie nie lubią…

Ludzie nie lubią. Czy nie zawiera się w tym podsumowanie ludzkości?

– Znam to dobrze – odpowiedziała Irena, ale Maria, zamknięta w mieście od dziesięcioleci, nie mogła tych słów zrozumieć w pełni, jak rozumiesz to ty, drogi czytelniku. – Znam dobrze strach.

Tamtego dnia już nie rozmawiały. Irena zwinęła się na łóżku, zapadając w urywany, posępny sen.

***

Z czasem nawet odpoczynek staje się męczący, ciało Ireny opuściły pamiątki trudnych dni i ona sama poczuła, że nie wytrzyma dłużej w malowanej klatce, nie z Marią stwarzającą pozory człowieczeństwa. Pomyślała też – bo nie ma nic bardziej zdradzieckiego od myśli – że mogłaby odejść. Że boi się, ale byłaby w stanie ukryć się przed Mistrzem, znów wyrwać swój los z cudzych rąk.

Włożyła dziurawe rajstopy i dziurawe buty, zniszczony płaszcz na zniszczoną koszulę, po czym wyszła na ulicę Piotrkowską, nie zamieniwszy z Marią słowa. Poszarzałe kamienice tonęły w szarej mgle. Pachniało fabrycznym wyziewem. Irena podniosła kołnierz, aby zasłonić usta.

Główna ulica stwarzała jeszcze pozory normalności, wojennej normalności, pełnej powybijanych szyb i podejrzliwych spojrzeń. Ale przecznice wyglądały już jak reszta miasta; połączone w jedną, pracującą bez wytchnienia maszynę, do której Irena wolała się więcej nie zbliżać. Weszła przez bramę na najbliższe podwórko, przysiadła na ławce i – spoglądając w martwe okna oficyny – myślała, jak przechytrzyć potwora bez żadnej skazy ludzkiej.

Nie miała już tej samej drogi co w Warszawie, tylko suchą pustynię, niedorzeczny pomysł na miasto. Choć może tam, tam…

pod murami, pod historią, w ciemnych korytarzach, zapomniane, nieznaczące… Może stamtąd jakiś głos…

Metaliczny zgrzyt wyrwał Irenę z zamyślenia.

Ach, Warszawo! Co ty wiesz o lęku, ze swoją żandarmerią w niemieckich mundurach? Próbowałaś zastąpić ich kiedyś masą stali? Stali nie da się oszukać kłamliwym świstkiem papieru. U nas, w Łodzi, gdy jesteś człowiekiem, zdradza cię każdy oddech.

Piątka mechanicznych postaci wynurzyła się z wąskiego przejścia, stalowymi ciałami rysując stare mury. Poruszały się niby to ospale, a jednak coś w tym widoku krzyczało do Ireny, że to tylko pozór, że mechanizm ten jest w istocie jak napięta sprężyna, gotowa wystrzelić natychmiast po zwolnieniu. Otoczyli Irenę, nawet się do niej nie zbliżając, wystarczyła sama rozpiętość ich stalowych ramion, by odciąć jej drogę ucieczki.

– Nie jesteś stąd – powiedział ten, który stał na czele.

Był najmniejszy, a i tak wystarczyłby za trzy Ireny. Jego twarz, kształtem zbliżona do kuli, normalnie zapewne przyprawiłaby dziewczynę o atak śmiechu, ale w tamtej chwili przyszło jej jedynie do głowy, że jest gładka niczym powierzchnia pocisku.

Podniosła się z ławki.

– Nie – odparła, spoglądając hardo.

Zacisnęła dłonie w pięści. Czy ten głos spod ziemi…? Coś zagrzmiało pod murami. Tylko na krótką chwilę, a jednak zmusiło łodzian do spojrzenia pod nogi.

– Nie masz znaku – ciągnął mężczyzna.

– Nie potrzebuję go – stwierdziła, jednocześnie zaprzeczając własnym słowom, bo spod płaszcza wyciągnęła wisior Pani Rozalii.

Przyglądał mu się dłuższą chwilę. Ale nie jak człowiek, człowiek nachyliłby się, by móc dobrze widzieć z takiej odległości.

– To nie jest znak Mistrza – stwierdził w końcu. – Wiedziałem od razu – powiadomił swoich towarzyszy.

Odpowiedział mu chór mechanicznych pomruków. Jednak w tej samej chwili odezwał się też raz jeszcze złowrogi grzmot, jakby pod ziemią jakaś bestia właśnie próbowała wyrwać się na wolność.

– Co to? – spytał łodzianin.

Irena uśmiechnęła się i nie był to uśmiech, za jaki pochwaliliby ją rodzice.

– Odpowiadaj! – rozkazał mężczyzna, robiąc krok do przodu i natychmiast pod jego stopami odezwał się kolejny huk, ziemia zatrzęsła się nieznacznie.

– Nic dobrego.

W powietrzu na moment zastygła wroga cisza, a potem łodzianie odstąpili powoli, z oporem drapieżników przepędzanych od zdobyczy. Ich spojrzenia były głodne. Nie masz pojęcia, jaka to ekstaza zamienić pustkę w gniew, drogi czytelniku. Ale może to lepiej, że bestie, węsząc krew, nareszcie ożyły. Może lepiej jest stąpać wśród wrogów, którzy nienawidzą z serca, całym sobą pragną zetrzeć cię z powierzchni ziemi, niż być nienawidzonym na zimno – instytucjonalnie.

Tak, dobrze jest czuć czasem coś oprócz pustki, musiała stwierdzić Irena. Gdyby myślała inaczej, po prostu wróciłaby wtedy do domu Marii, zamiast błąkać się po ulicach naszego miasta i rzucać naokoło wyzwanie.

***

Gdy Irena wróciła późnym wieczorem, Maria już na nią czekała. Siedziała na łóżku, przyglądając się, jak dziewczyna zdejmuje płaszcz i natychmiast zastępuje go kocem. Mechaniczna kobieta plecy miała zgarbione, a długie kończyny zwieszały się ponuro wzdłuż jej tułowia. Zupełnie po ludzku.

Czy to właśnie drugi człowiek może uczynić z maszyny człowieka?

– Mistrz ma przybyć jutro – oznajmiła.

Irena cały dzień bezkarnie przechadzała się po mieście pełnym łodzian, każdym spojrzeniem wykradając sekrety ich dudniącej maszynerii, lecz po słowach Marii całe jej poczucie triumfu ulotniło się. Każde spojrzenie w oczy stalowej bestii to była chwila śmierci, a jednak chwila musi bezpowrotnie minąć. Teraz zaś śmierć urosła do perspektywy wypełniającej długie godziny.

– Dlaczego oni tak nas nienawidzą? – spytała, tak naprawdę nie oczekując odpowiedzi. Jej głos nabrał zwyczaju, by odbijać się od milczenia Marii.

Ale nie tym razem.

– Rewolucja przyniosła nam wolność. Walka u boku Piłsudskiego przynieść nam miała więcej wolności. I wiesz, co on zrobił?

Irena zaprzeczyła.

– Oczywiście. – Skinęła smutno głową. – Nie było się czym chwalić. Gdy pokonaliśmy bolszewików, on zamiast uczynić nas chlubą nowej Rzeczypospolitej, nakazał nam rozbrojenie miasta. Chciał nam narzucić swoją władzę, zmusić nas z powrotem do słabości, od której uciekliśmy. A w tym, Ireno, zapewniam cię, pozostaliśmy zupełnie ludzcy. Nienawidzimy tego, co pragnie nas zniszczyć.

Maria wyszła i Irena mogła się położyć, ale nawet leżenie to był dla niej zbyt duży wysiłek. Nie mogła oddychać, jak po długim biegu albo jakby coś przygniatało jej pierś coraz większym i większym ciężarem.

Czy Mechaniczny Człowiek jest tak pełen nienawiści jak to miasto?

I gdzie on jest? Gdzie jest i po co?

Po raz pierwszy Irena poczuła się obco w zajmowanym pokoju. Maria nie spała, nie odpoczywała, ten dom nie był jej domem, był tylko płótnem. A dokąd odeszli ludzie, którzy w tym łóżku godzinami przewracali się z boku na bok i patrzyli na tę samą wybrzuszoną belkę sufitu? Łódź to dziś małe miasto, ale zanim stało się małe, za sprawą Mechanicznego Człowieka ulice spłynęły krwią.

A może to bez znaczenia? Irena przejmowała się gniewem Mechanicznego Człowieka, lecz nie potrafiła przejąć się ofiarami gniewu. Wiedziała, że to ważne, a jednak to tylko kolejna z wielu tragedii. Tragedie ostatnio bardzo spowszedniały. Pomyśleć, że w szkole Irena pisała poezję, a jej wzniosłe słowa poruszały ją swoją pustą głębią. Z czasem tak marnie zblakły i skruszały, że śmiała się z pogardą na samą myśl o nich. Uwierzyłbyś, że ta dziewczyna strzeliła kiedyś do człowieka? Ma taką dobrą twarz, a tak bardzo lubi to wspomnienie.

Bo chwyciła broń do ręki, nie dała się zgnieść.

Zabawne – tyle jest w naszym mieście wprawionych w ruch mechanizmów, a wszystkie zegary stoją. Tej nocy nieskończoność minęła, nim Irena usłyszała najpierw kroki na schodach, a potem ciche skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Nie śpisz – stwierdziła Maria, stając w progu.

Zapalona świeca za jej plecami sprawiła, że twarz miała spowitą w cieniu.

– Nie śpię.

– Nie bój się Mistrza. On jest rozsądny. Najrozsądniejszy z nas wszystkich.

Oto jest jednooki wśród ślepców.

Maria wciąż stała w drzwiach.

– Ireno… Chodź, pokażę ci coś.

Dziewczyna szybko wsunęła buty i raz jeszcze narzuciła na siebie koc. Dała się Marii poprowadzić na podwórko, prosto w zimną noc, a później schodami w górę, na płaski dach oficyny.

Ach, gdybyś wiedział, drogi czytelniku, jak piękna jest Łódź, gdy przychodzi jej witać swojego władcę, stałbyś wówczas obok mnie! Zniknął gdzieś duszący oddech kominów, a przecież maszyny wciąż pracowały, z tym jednak, że ich hałas nie był już wwiercającym się w czaszkę dudnieniem. Wierz lub nie, ale to była muzyka – muzyka maszyn. Chyba nie pogardzisz nią tylko dlatego, że jest ci obca?

Uwaga! Miasto
Łódź

Wraz z muzyką pojawiły się nad Łodzią tysiące kolorowych świateł na ziemi i w powietrzu. W ich blasku dziwaczność łódzkiej maszynerii zmieniała się w sztukę, rusztowania – w rzeźbę, a mrok – w igraszkę wyobraźni.

Irena chłonęła tę scenerię wzrokiem, próbując wyryć ją w pamięci już na zawsze.

– Dlaczego Łódź? – spytała Marię, nie odwracając wzroku.

– Łódź to miasto robotnicze, jeśli rewolucja miała gdzieś wybuchnąć…

– Nie, nie. – Irena jej przerwała. – Skąd nazwa Łódź? Gdzie woda?

Maria myślała przez chwilę, aż w końcu wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, czy pływano tutaj łodziami, ale kiedyś woda była ważna. Wiesz, przez włókiennictwo, potrzebuje jej. To rzeki zadecydowały o budowie fabryk, ale dzisiaj większość z nich płynie podziemiami.

– Dały miastu życie, a potem to miasto odebrało życie im.

Kolejne wzruszenie ramion.

– To tylko rzeki, Ireno.

Tylko rzeki. Tylko miasto. Tylko ludzie.

Silniejsi zgnieść muszą słabszych, Ireno.

Teraz, gdy rozumiała już, skąd wziął się ten głos, który słyszała wcześniej, czuła, jak wody wzbierają w podziemiach niczym rewolucja, jak wzburzona fala uderza o ściany swojego więzienia, usiłując je skruszyć. Irena wyobraziła sobie, jak te nienawistne odmęty podmywają fundamenty miasta.

Uciszają muzykę. Gaszą światła. Rewolucja za rewolucję.

Bądź spokojna, wodo.

– Jeśli chcesz, mogę iść jutro z tobą – zaproponowała Maria znienacka.

– Nie trzeba.

Stały tak jeszcze długo, lecz koc na ramionach Ireny nie był wcale gruby i w końcu nadejść musiał moment, gdy nie była w stanie

dłużej znieść chłodu. Nim pożegnały się na progu sypialni, Irena objęła zimne i stalowe ciało Marii.

Jakże niczym są słowa, skoro nie potrafią sprawić, żebyś to poczuł razem z nimi, drogi czytelniku.

***

Poranek okrył miasto mgłą i nikt nie widział Ireny przemykającej pod ścianami kamienic. Dziewczyna czuła się jak zbieg, ale nie dlatego, że bała się nienawistnych łodzian – nie pożegnała się z Marią. Tak trudno jej było znosić własne nerwy, że cudzych już by chyba nie udźwignęła.

Na szczęście wcześniej dowiedziała się, że Mechaniczny Człowiek mieszka w ratuszu na Nowym Rynku, a Nowego Rynku nie sposób przegapić, wystarczy tylko iść na północ.

Już poprzedniego dnia Irena przekonała się, że Piotrkowska to niezwykle długa ulica, lecz w tamtej chwili ciągnęła się ona w nieskończoność. Dla uspokojenia dziewczyna mocno ściskała w dłoni wisior Pani Rozalii, przypominając sobie jej pokrytą zmarszczkami twarz.

Łódzki ratusz nie zrobił na Irenie wielkiego wrażenia, nie wyróżniał się znacząco na tle secesyjnej zabudowy, chyba że wieńczącą go wieżyczką. Uznała go nawet w myślach za dość przeciętny jak na siedzibę kogoś, kto był przecież władcą całej ziemi łódzkiej i kto mógł rzucić na kolana każde inne miasto, jeśliby tylko zechciał. Zanim Irena podjęła decyzję, czy zapukać, czy może wejść bez zapowiedzi, zadźwięczał we wnętrzu jakiś mechanizm i drzwi otworzyły się same.

Nie powiem, że wejść do łódzkiego ratusza to jak wejść do wnętrza zegara, bo nie powstał chyba jeszcze zegar, który by potrzebował tylu części. Tryby wyrastały z każdej ściany, nawet z podłogi – tak że Irena nie wiedziała, gdzie postawić stopę, nie depcząc ich przy tym.

W dole ziała pustka. Mechanizm ciągnął się jeszcze dwa albo trzy metry w dół, reszta tonęła w mroku.

– Co za niedogodność, że nie mogłem powitać pani w naszym mieście!

Nie od razu zlokalizowała mówiącego. Może to było zwyczajnie zbyt dziwne, aby go zauważyć od razu? Tryby przeróżnych rozmiarów układały się w stopnie, po których schodził do niej dżentelmen w średnim wieku. Nosił elegancki, zupełnie współczesny garnitur i nie składał się z ani kawałka stali, jego przystojną twarz zdobił w pełni naturalny uśmiech. Czy to możliwe, aby ten, którego zwano Mechanicznym Człowiekiem, który uczynił Łódź grzmiącym molochem, a setki ludzi zamienił w automaty, sam był istotą z krwi i kości?

– Urban Malczewski – przedstawił się, wyciągając rękę do Ireny.

Uścisnęła ją.

– Irena Rosenberg.

– Pani jest Żydówką? – spytał bezceremonialnie.

Irena spięła się na moment, a dopiero później przypomniała sobie, gdzie jest. Czy w takim mieście jak Łódź, na uboczu historii, krew może mieć jeszcze znaczenie? Tylko czy z Łodzi zniknęła ta przyzwoitość, która nakazywała ludziom wszelkie domysły zachować dla siebie?

– Mój ojciec był.

Mistrz skinął głową i nie skomentował tego ani słowem.

– Proszę pozwolić na górę, nie będziemy chyba rozmawiać w progu.

Irena próbowała podążyć za Malczewskim, ale nie była zwinna jak on, nie stąpała po kołach zębatych niczym nierealna zjawa. Musiała pozwolić, aby ją podtrzymywał i prowadził po tych diabelskich schodach.

Uwierzysz, że czuła ciepło jego silnej dłoni i słyszała jego oddech?

Piętro wyglądało zwyczajnie… zwyczajniej. Co kilka kroków z wnętrza ściany, w miejscu zupełnie przypadkowym, wyłaniało się jakieś koło zębate, rura albo tłok, lecz co do zasady wnętrzem łódzkiego ratusza zawładnęła biblioteka, biorąc w posiadanie każdą ścianę i każdy mebel. Dziwne to było wrażenie, bo Malczewski zachował pierwotny układ budynku, który teraz wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Gospodarz poprowadził Irenę do niewielkiego saloniku, gdzie czekał ich poza morzem książek jedynie stolik i dwa fotele.

– Herbaty? – zaproponował, wskazując, by zajęła miejsce.

– Poproszę – odparła odruchowo i zaraz poczuła się dziwnie.

Mieli tu przecież rozmawiać o jej życiu bądź śmierci.

Zadzwonił srebrnym dzwoneczkiem.

– Cóż – zaczął, rozpierając się wygodnie w fotelu – jestem pani przede wszystkim winien gorące przeprosiny za powitanie, jakie zgotowali pani moi przyjaciele. Niestety, zmuszony byłem im obiecać, że nikt obcy nie wejdzie do miasta. Całe szczęście miała pani… symbol.

Uprzejme ciepło tych słów za nic nie mogłoby wygonić z Ireny zimnego piekła celi.

– Całe szczęście – odparła sucho.

Malczewski nie wydawał się zrażony jej tonem. Poza tym właśnie nadeszła herbata – a właściwie przyjechała na metalowym stoliczku – i to nią był bardziej zaaferowany niż gniewem dziewczyny.

– To… – Gospodarz zamiast w Irenę wpatrywał się we wnętrze filiżanki. – Czy ten wisior należy do pani?

Serce ścisnęło jej się na moment.

– Nie. Dostałam go od… – Przez jeden tragiczny moment ogarnął Irenę strach, że zapomniała. – Od pani Anny Róży Jabłońskiej.

– Od Rozalii.

– Tak.

– Jak ona się miewa?

– Nie żyje. Przez Niemców.

Malczewski odstawił filiżankę na stolik. Milczał bardzo długą chwilę. To milczenie nie miało w sobie nic z obrażonej ciszy Marii – pulsowało bólem, który trzeba było po prostu przetrzymać, aż zniknie.

– A czy pani – zaczął z westchnieniem – wie, co ten symbol oznacza?

Chciała potwierdzić, ale zawahała się. Nie, tak naprawdę nie wiedziała, to był tylko złudny domysł.

Malczewski natychmiast wyciągnął spod koszuli identyczny wisior – z tą różnicą, że jego zamiast srebrem lśnił złotem.

– To symbol władców – wyjaśnił.

Irena uniosła brwi.

– Władców czego?

– Wszystkiego, co można sobie wyobrazić. Rozalia była – to drugie słowo z trudem przeszło mu przez gardło – władczynią kwiatów. To władza zaprawdę piękna, ale obawiam się, że z gruntu bezużyteczna. Znałem jednak również władcę wiatru, władcę światła czy władcę ptaków.

Więc to tak? Całość zaczęła się układać w głowie Ireny. Przypomniała sobie, jakie cuda działy się ostatniego czasu w Warszawie i poczuła się pewniej. Jeśli Malczewski posiadał moc podobną tamtejszym czarownikom, to nie był w istocie tak potężny, jak jej się wcześniej wydawało.

– Ale żaden z nich – Malczewski uśmiechnął się z pewnością triumfatora – nie miał nigdy władzy podobnej do mojej. Władzy nad maszyną. Tylko mnie udało się uczynić człowieka nieśmiertelnym.

Nieśmiertelność? Co za odważne słowo w obliczu miasta upiorów.

Irena odstawiła herbatę na stolik. Wcześniej piła tylko z grzeczności.

– Więc czemu sam pan nie uczynił się jednym z tych nieśmiertelnych?

Malczewski uśmiechnął się jeszcze szerzej, z próżnością człowieka ubóstwianego. Jakby tylko czekał na to pytanie.

Następnie zrobił coś, czego nie powinna się spodziewać żadna dobrze wychowana młoda dama – rozpiął koszulę. Zanim jednak Irena zdążyła zaprotestować, jego pierś otworzyła się nagle niczym sejf, a dziewczyna podziwiać mogła wirujące wnętrze.

Zrozumiała wtedy, że wszyscy pozostali mechaniczni ludzie są zaledwie parodią oryginału. Ich wnętrza były powolne i niezdarne w porównaniu z pędzącymi drobinkami w piersi Mistrza. Bo gdy ich ciała wykonywały mozolną pracę, jego płynęło bez wysiłku, tak bezgłośnie, jakby tryby obracały się w powietrzu. W dodatku lśniły przy tym złotem i srebrem niczym lustro w pogodny dzień.

A na samym środku biło potężne mechaniczne serce.

Irenę hipnotyzowały jego pospieszne skurcze. Jak metal może poruszać się w taki sposób? Miała ochotę to sprawdzić, sięgnąć do wnętrza Mechanicznego Człowieka i zbadać własnymi palcami jego tajemnice. A jednak zanim zdążyła się odważyć – całe szczęście – Malczewski zamknął drzwiczki i zapiął z powrotem koszulę.

– Pozory mylą, nieprawdaż?

Gdzie Mechaniczny Człowiek spędził ostatnie dni, jak wielu ludzi nieświadomych skrywanego przezeń sekretu minęło go, nawet nie patrząc? A może nawet – jak wiele kul odbiło się od metalowej piersi w tej wojennej zawierusze?

A czy ty spoglądałeś kiedyś na tłum, poszukując wśród przechodniów Mechanicznego Człowieka? Może powinieneś, drogi czytelniku.

– Prawdaż – odparła Irena. Pewność siebie Malczewskiego zaczęła ją już irytować. – Ale proszę się nie obnażać, jeśli można.

Jej głos miał fakturę papieru ściernego i była z niego szczerze dumna.

– Och, ależ tu wszyscy chodzą w pewnym sensie obnażeni, panno Rosenberg. Jeśliby chciała pani tutaj zostać, a zgaduję, że chciałaby, będzie się musiała pani przyzwyczaić.

– A gdybym nie chciała? – spytała wyzywająco.

Twarz Malczewskiego spoważniała.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Słucham?

– Łódź ma zasady, których wszyscy zobowiązaliśmy się przestrzegać. Jedna z najważniejszych głosi, że kto raz wejdzie do miasta, ten nie może go już opuścić. Dla bezpieczeństwa.

Irena poczuła, jak wszystko w niej drętwieje.

– Musiała pani o tym wiedzieć – stwierdził. – Musiała pani wiedzieć, że nikt nigdy nie wraca. Na ogół ginie, ale myślę, że mógłbym zrobić dla pani wyjątek. Dla Rozalii.

Wiedziała, a jednak…

Wieczność w Łodzi. W tym mieście czarnego dymu przesłaniającego świat, pozbawionym zieleni i życia, pośród wciąż tych samych martwych twarzy. Tyle razy rozmawiali z rodzicami, jak po wojnie zamieszkają w nowym, lepszym świecie, a tymczasem ich już nie było i czas po wojnie nigdy miał nie nadejść. Bo co znaczy wojna dla miasta, które zawsze pozostanie od niej z dala?

– Oczywiście nie może pani zostać w takim stanie.

– Jakim stanie?

– Cóż, my jesteśmy mechanicznymi ludźmi, a pani… – Zawiesił głos. Znów nie patrzył na nią. Obracał filiżankę w dłoniach. – Jeśli chce pani pozostać wśród nas, musi pani stać się jedną z nas.

– Po co?

Jej słowa cięły powietrze. Zerwała się z miejsca. Dziki gniew ogarniał ją nie na groźbę, nie na przymus, już nawet nie na posępną wieczność. Dziki gniew ogarniał ją na bezcelowość, na nienawiść – znowu nienawiść chwytająca ją w kleszcze.

– Żeby dochowała pani wierności.

– Nie.

– Usiądź, Ireno.

– Nie!

Mierzyli się wzrokiem.

Zabijesz mnie, człowieku z maszyny?

Irena usiadła. Malczewski sięgnął ku jej dłoni. Chciała mu się wyrwać, lecz stalowy uścisk był nieubłagany.

– To nie będzie bolało, Ireno – powiedział niemal szeptem.

– Proszę tak do mnie nie mówić – zażądała. – Nic już nigdy nie będzie bolało, prawda? – dodała po krótkiej chwili.

– Nic nigdy.

Irena dumnie uniosła podbródek.

– Więc proszę uznać, że pragnę bólu.

– Ire… – zaczął, lecz poprawił się zaraz pod jej złym spojrzeniem. – Droga pani, jeśli pani odmówi, będę musiał powierzyć pani los w ręce moich przyjaciół. A oni, jak się pani przekonała, nie lubią obcych.

– Więc niech pan tak zrobi.

A ty wybrałbyś życie, drogi czytelniku? Oto jest wybór człowieka, któremu nie będzie dane poczuć dotyku zimnego noża oddzielającego mięśnie od kości i nie będzie po wieki zdany na łaskę bądź niełaskę Mechanicznego Człowieka.

– Myślę, że dam pani jeszcze czas do namysłu.

***

Mistrz zaproponował jej pokój, lecz Irena, wciąż jeszcze w złości, odmówiła.

– Nigdzie się stąd nie ruszam.

Gorzki był smak tej gwałtowności. Irena krążyła wzdłuż regałów, oglądając grzbiety książek, czasem z ciekawości zaglądając do wnętrza. Raz po raz, gdy przyszedł jej do głowy jakiś tytuł, sprawdzała, czy on również jest w posiadaniu Mechanicznego Człowieka. Był prawie zawsze – po polsku, francusku, angielsku lub włosku. Z rzadka po niemiecku. Widząc podkreślone wyrazy i pootwierane

słowniki, Irena domyślała się, że Malczewski jest dopiero w trakcie nauki.

Albo nie należał do optymistów, albo to właśnie był jego optymizm.

W końcu znudziły jej się książki i opadła zmęczona na fotel. Próbując ułożyć się wygodnie, raz jeszcze pomyślała z tęsknotą o łóżku. Może by tak położyć się na podłodze? Nie będzie przyjemnie, ale ledwie pamiętała, co to jest przyjemność. A że dziwactwo? Malczewski mógł się rozbierać, więc i ona mogła robić, co chciała.

Zasnęła, nim zdążyła pomyśleć, że jeszcze nie pora. Wieczorem obudziły ją kroki.

– Proszę mi wybaczyć, ale wobec takiego widoku jestem zmuszony ponowić swoją propozycję.

W głowie wciąż majaczyły Irenie resztki snu. Widziała w nim Mistrza rozkazującego Stalowej Armii aresztować Führera.

– Uważa się pan za potężnego? – spytała, ignorując jego słowa. Oplatające umysł zaspanie dodawało jej odwagi. – Łodzian za potężnych?

Zaskoczony Mistrz namyślał się nad odpowiedzią, a Irena zaczęła zbierać się z ziemi. Owszem, kilka godzin temu wygodnie było się kłaść, teraz jednak całe ciało miała obolałe.

– Tak. Tak uważam.

– Więc czemu kryją się w mieście, zamiast pokazać światu swoją siłę? Lubi pan Führera? Jego żądze są niezaspokojone, prędzej czy później ruszy na miasto. Mógłby go pan wyprzedzić. Zgnieść, zanim się zorientuje. Ale pan czeka, aż porwie pana nurt zdarzeń.

Malczewski potrząsnął głową.

– Jesteśmy potężni, ale nie niezwyciężeni. Świat w końcu wyciągnąłby po nas swoje macki, zaraziłby nas swoją ideologią – wypowiedział ostatnie słowo ze wstrętem.

Podał rękę grzebiącej się z ziemi Irenie, ale dziewczyna chwyciła mocno za fotel i podniosła się sama.

– Myślałam, że pan jest socjalistą. Socjalizm to przecież też ideologia.

Malczewski, uznając najwyraźniej, że dyskusja nie skończy się prędko, zajął miejsce w fotelu. Pomieszczeniem zdążył już zawładnąć półmrok, więc widziała tylko zarys jego sylwetki.

– Tak, byłem socjalistą. Dla socjalistów dokonałem rewolucji, ale oni widzieli nas tylko jako narzędzie w swoich rękach. Niczego nas to jednak nie nauczyło, skoro potem zawierzyliśmy Piłsudskiemu. I co za to dostaliśmy? Nic, kolejną próbę narzucenia kajdan! Dlatego dzisiaj już w nic nie wierzymy.

Z Malczewskiego biła urażona wyniosłość, lecz w tamtej chwili Irena zobaczyła w nim kogoś innego.

Kogoś, kto został oszukany.

– Wie pan? Pan jest w głębi serca dobrym człowiekiem.

– Słucham?

Irena usiadła naprzeciwko niego tak samo jak rankiem.

– Pan walczył dla uciśnionych, przejmował się pan ich losem. A przecież nie musiał pan. Nie musi pan wracać na to pustkowie. Nie musi pan ich słuchać. A jednak robi to pan, bo jest pan dobrym, lojalnym człowiekiem.

Milczał długo. Światło księżyca zdradziło jego zaciskające się w wąską linię usta.

– Pani mnie nie zna – zaprotestował.

– Jest pan też tchórzem – ciągnęła. – Stał się nim pan po latach pokoju. Świat się zmienia, pańskie maszyny się starzeją, a pan myśli, że może się pan ukryć w swoim mieście i wszyscy o panu zapomną. Ale ja panu mówię, że może być pan albo częścią tej zmiany, albo w ogóle pana nie będzie.

Malczewski uśmiechnął się pobłażliwie.

– I moją zmianą ma być wpuszczenie do miasta ludzi? – Potrząsnął głową. – Nie, Ireno, nikt nie oszczędzi Łodzi ze względu na jej pokojowe zamiary. Wręcz przeciwnie, powinienem wzmocnić

obronę. A ty, jeśli zamierzasz pozostać w swojej ludzkiej powłoce, nie pomożesz mi w tym.

– Powinien pan wziąć udział w wojnie. – Wcale nie myślała o tym wcześniej. Słowa pojawiły się razem z przekonaniem. – Zniszczyłby pan zagrożenie i stałby się pan bohaterem.

– Już raz byłem bohaterem i nie przyniosło mi to nic dobrego. A zagrożenie może tutaj przyjść i spróbować mnie dosięgnąć.

Irena straciła cierpliwość.

– Jak pan może się tak niczym nie przejmować?! Siedzi pan tutaj i po prostu przygląda się rzezi! Kto pana zwolnił z bycia człowiekiem? Ja nie pozwolę zwolnić, te – wskazała na pierś Mistrza – pana nie zwalniają. Pan jest ludobójcą!

Mechaniczny Człowiek milczał nieubłaganie, przemowa Ireny zdawała się nie pozostawiać ani jednej rysy na jego stalowej skorupie. Dziewczyna wstała i szybkim krokiem zaczęła przechadzać się po pokoju. Jej myśli pędziły, rozbijając się o siebie nawzajem.

– Panno Rosenberg, niech pani pozwoli, że odprowadzę panią do gościnnej sypialni.

– Nie.

– Panno Rosenberg. Obawiam się, że będę nalegał.

***

– Moja decyzja nie uległa zmianie – oświadczyła Irena Malczewskiemu, gdy po trzech dniach spytał ją, czy poszła po rozum do głowy.

Tamte trzy dni minęły im na kłótniach o to, co jest powinnością, a co nią nie jest. O to, kim Malczewski jest naprawdę i co powinien brać od życia. Wreszcie nawet o to, czy jeśli władcy są panami rzeczy, to czy nie powinni być także władcami ludzi. Powietrze grzmiało od wielkich i elektryzujących słów.

Ale kłócili się za dnia. Wieczorami, gdy cienie kryją twarz i łatwiej jest mówić szczerze, Malczewski szukał dłonią jej dłoni i mówił

słowami nagrzanymi od emocji, których znaczenie wiło się gdzieś między jednym zdaniem a drugim.

Możesz się dziwić Mistrzowi i jego słabości do ludzkiej kobiety, ale pomyśl, czym jest jeden płomień wśród wiecznego mroku.

– Nie musisz oddawać całego ciała, Ireno – powiedział jej ostatniego wieczora, jego nieustępliwa postawa zmiękła. – Wystarczy tylko kawałek.

– A może niczego nie muszę oddawać?

Potrząsnął głową.

– Nie złamię dla ciebie swojej powinności.

– Najwyraźniej nie jestem tego warta.

Na moment zamknęła mu usta, zgubił się w zakłopotaniu, ale zaraz jego oblicze zmącił gniew. Gniew to uczucie pełne ognia, a mimo to Irena poczuła, jak między nimi wzbiera lód.

– Słodka Ireno, byłabyś może warta wszystkiego, gdyby nie upór.

Następnego dnia Mechaniczny Człowiek zjawił się w sypialni dziewczyny o świcie. Ledwie dała radę wygonić go, żeby móc się ubrać, tak wielce był rozgorączkowany, unosił głos i szarpał ją, ponaglając, aby poszła za nim. Nietrudno się było Irenie domyślić, że ma względem niej plany; wkładała koszulę tak zlodowaciałymi dłońmi, aż guziki uciekały jej spod palców.

Pozwoliła Malczewskiemu zaprowadzić się do wejścia, które już znała, a potem jeszcze dalej w dół – mechanizm poruszył się, formując stopnie w głąb czarnej pustki. Irena chwiała się, krocząc po tych ruchomych schodach, ale Mechaniczny Człowiek przyciskał ją do siebie z taką siłą, że równie dobrze mógłby ją znieść.

Ich droga skończyła się w wielkiej komorze, tętniącej od zgiełku maszynerii, bijącej niczym tajemne podziemne serce miasta. Ale samo jej centrum milczało. W gotowości czekały rozpięte na żelaznych ramionach ostrza, szczypce i elementy stalowego korpusu – jeszcze martwe, ale gotowe, aby przyjąć swojego lokatora.

Albo lokatorkę.

Irena stanęła, zapierając się ze wszystkich sił. W mechaniczne objęcia prowadziło jeszcze kilka, tym razem kamiennych stopni, ale choć Mechaniczny Człowiek dysponował siłą zdolną bez trudu poderwać ją z ziemi, Irena zaklinała się w duchu, że mu na to nie pozwoli, choćby miała wpijać się zębami w jego stalową krtań.

– Idź, Ireno. – Mistrz wskazał jej drogę prowadzącą ku nowemu żywotowi.

– Nie.

– Jeśli zamierzasz szarpać się ze mną, nie ręczę, że uda ci się wyjść z mojego warsztatu żywą. Jestem w stanie podjąć to ryzyko; pytanie, czy ty jesteś na to gotowa, Ireno.

Dziewczyna odetchnęła w duchu – wciąż miał nadzieję na zmianę zdania. Na jej twarzy najpierw pojawił się słaby uśmiech, potem coraz szerszy, aż wreszcie Irena po prostu się roześmiała.

Zaczynało się.

Rewolucja.

– O co chodzi?

Gniew Malczewskiego ostygł nieco, zastąpiony przez zaskoczenie.

– Jesteś maszyną, Urbanie – zwróciła się do niego po imieniu pierwszy raz, słowa jednak przeszły jej przez gardło z zadziwiającą łatwością. – Maszyny nie słyną z przenikliwości. W końcu konstruuje się je, by powtarzały w kółko te same zadania.

– O co chodzi? – powtórzył.

Irena nie odpowiadała, rozpoczął się między nimi kolejny pojedynek na spojrzenia, ale tym razem to spojrzenie dziewczyny było bezlitosne, kipiące i pełne wyzwania, którego Malczewski nie potrafił odrzucić, ale nie potrafił też go zignorować i zapakować ją po prostu do swojej maszynerii, nie doczekawszy odpowiedzi.

I co teraz? Zgnieciesz mnie, człowieku z maszyny?

Maszyno z człowieka?

– Wiesz, dlaczego Rozalia dała mi symbol? Dlaczego miałaby mi go oddawać? Z początku też nie wiedziałam, ale rzuciłeś na to wiele światła, Urbanie.

Malczewski niepewnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Cała maszyneria stanęła na moment i to wystarczyło, aby usłyszeć dotąd zagłuszany przezeń hałas – jeszcze jakaś inna, obca moc grzmiała w trzewiach miasta.

Mechaniczny Człowiek spojrzał w ziemię i odkrył, że stoi po kostki w wodzie.

– Bo ten symbol należy się władczyni rzek, Urbanie.

***

Ta historia nie ma nic wspólnego z pozostałymi historiami tamtej wojny. Bo tamte historie się kończą, a ta będzie trwać.

W tamtej zgubnej dla Mistrza chwili wszystkie łódzkie cieki wodne, wszystkie te marne parodie Wisły przygniecione ciężarem miasta, zawrzały we wnętrzu swojego więzienia i tym razem Irena nie obawiała się ich bezlitosnej potęgi. Rozsadziły mury, zaatakowały ulice, wdarły się do wnętrza mieszkań i fabryk, próbowały swoich lodowatych sił nawet z gorącym gniewem kotłów, po raz pierwszy od dziesiątek lat wstrzymując na moment pracę maszynerii.

Stalowa armia nie miała szans w tej walce, bo niczym są, drogi czytelniku, owoce ludzkiej pracy, kiedy przychodzi żywiołom upomnieć się o swą dziedzinę. Łodzianie mogli tylko zaprzeć się całym swym ciężarem, usiłując przetrwać powódź, lecz czasem wzburzona rzeka, spieniwszy się usilnie, wyrywała z korzeniami nawet tych największych i unosiła ich w sobie tylko znanym kierunku.

Jedynie Mistrz widział, jaki był tego dnia los Ireny, lecz ja wiem, drogi czytelniku, że to właśnie wtedy łódzkie rzeki zawinęły się wokół swojej pani i zabrały ją do swojego podziemnego królestwa.

Wierz lub nie, ale Irena do dziś żyje pod murami Łodzi, tuląc do snu swój ukochany żywioł i śpiewając odbijające się po kanałach

echem pieśni o słońcu i dawno minionych dniach. Nie wiem, czy jest szczęśliwa. Wiem, że raz po raz każe rzekom wzbierać i podmywać dziedzinę Mistrza, chłodzić kotły w elektrowniach, a maszyny doprowadzać do rdzewienia. Jest gorsza od wszystkich rewolucji, które znasz – nie da się jej aresztować ani przekupić obietnicami. Wciąż podsyca wojnę, w której nie ma rozejmu, a tym bardziej pokoju, żadne układy nie zaspokoją jej roszczeń.

Za jej to sprawą miasto do niedawna martwe ożywać musi wciąż i wciąż, aby przeciwstawiać się tej niszczycielskiej sile, w odwecie usiłować zmienić bieg przeklętej wody, na zawsze zapieczętować ją pod ziemią, wysuszyć do cna. Oto wszystkie trybiki w łódzkich głowach kręcą się tylko po to, aby wiedzieć, jak zapobiec kolejnemu przypływowi. Albowiem ktoś podważa łódzki porządek, ktoś zmusza łodzian, aby bez końca udowadniali własną wartość.

A im mocniej mechaniczni ludzie starają się zapobiec katastrofie, tym bardziej niesamowite są konstrukcje, które wznoszą. I im mocniej Irena próbuje je zburzyć, tym prądy rzek są silniejsze, a ich koryta sprytniejsze, wkradające się w najwęższe szczeliny i zmuszające obrońców do wciąż nowego wysiłku. Kiedy zaś obcy zbliży się do miasta, porywają go, aby się skrył w podziemnym królestwie przed czujnym wzrokiem Malczewskiego.

Mistrz i Irena działają zgodnie tylko wówczas, gdy do nieustannej bitwy włącza się siła obca. Tak było, gdy w mieście zjawiła się Rzesza Niemiecka – rzeki i maszyny poruszały się wówczas w jednym rytmie, a ich potęga była większa niż kiedykolwiek, bo żadna z rzek nie miała dotąd za sobą tylu zdobytych twierdz, a żadna maszyna nie stoczyła dotychczas tylu bitew.

A jednak, kiedy tylko Niemcy uciekli w trwodze z łódzkich przedpoli, nieustanna wojna rozpoczęła się na nowo, aby trwać po dziś dzień.

Czasem jest tak, że Mistrz schodzi do podziemi i prosi Irenę, żeby do niego wróciła. Obiecuje jej bezpieczne życie u swego boku,

lecz ona zawsze odprawia go z niczym. Czasem jest zła, że Urban nie może ustąpić i pozwolić rzekom znów popłynąć ich dawnym korytem – wtedy cała Łódź trzęsie się i wilgotnieje jak po długiej ulewie. Czasem też Irena jest wzruszona staraniami Mistrza i przyjmuje go w swojej podziemnej siedzibie, z uśmiechem, ale tylko otaczająca ich woda dowiedzieć się może, o czym wówczas rozmawiają.

Nie wiem, drogi czytelniku, co by było, gdyby Mistrz któregoś razu wyciągnął Irenę z podziemi albo gdyby ona porwała go do swej sekretnej dziedziny. Wydaje mi się, że żadne z nich nie jest na tyle potężne, aby ten pojedynek się skończył. Jeśli już w ogóle ma się kończyć, niech się skończy kolejnym przymierzem przeciwko każdemu, kto by tej łódzkiej krainie próbował przerwać jej szczęśliwy żywot.

Dobrze czytasz, drogi czytelniku – Łódź jest szczęśliwa w swoje podszyte lękiem bezsenne noce. Musi być gotowa, a więc prawdziwe życie zastąpiło w końcu żywot udawany.

A ty? Jesteś gotowy, drogi czytelniku?

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Anna Dudało
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Magdalena Romańczyk, Michał Chrobok, Beata Sagan-Szendzielorz
Weryfikacja: Aleks Gapski, Magda Kowalewicz, Patrycja Pancerz
Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Patrycja Smaga

KURORT MAKABRA

Barbara Zosiuk

I

Michaił Suworow miał na przedramieniu wytatuowaną swastykę. Widziałam ją w całej okazałości, bo przedramię spoczywało pod brodą Alicji. Drugą łapą, wolną od tatuaży, zbir obejmował dziewczynę w talii. Jej nieruchoma twarz przypominała maskę, a z oczu wyzierało przerażenie zwierzęcia nierozumiejącego, dlaczego ktoś zadaje mu ból.

Miszka dysponował IQ dmuchanego materaca, więc apelowanie do jego sumienia było czystą stratą energii. Równie dobrze mogłabym przemawiać do gnoju pod moimi stopami. To, że tej małpie w ogóle udało się nas zaskoczyć, wyjaśniała obecność Karwasza, który obserwował zajście, rozsiadłszy się wygodnie na odwróconym wiadrze. Ten był aż nadto bystry i organizowanie mięska dla bandy Siergieja Iwanowa podobno stanowiło jego ulubiony sport. Diabli wiedzieli, dlaczego tym razem zasadził się na nas – chudość Alicji nie miała w sobie niczego pociągającego, a mnie również nikt nie nazwałby pięknością.

– Puść ją, głąbie – powiedziałam do Miszki, starając się nie piszczeć jak spanikowany królik. – Zanim wbiję ci to w bebechy.

Z całej siły zaciskałam dłonie na trzonku wideł. Na szczycie wielkiej pryzmy gówna byłam stosunkowo bezpieczna, ale w każdej chwili mogło się to zmienić.

– Paszła won – odburknął, po czym wyrzucił z siebie potok rosyjskich bluzgów.

Większości nie załapałam, jednak nawet zrozumiała mniejszość nie wróżyła niczego dobrego.

Karwasz wstał. Jeśli chciał mnie dosięgnąć, najpierw musiał wspiąć się na gówniany bastion, co naraziłoby go na bliski kontakt z widłami. Żeby mu to uświadomić, zmieniłam pozycję i wymownie wycelowałam zębami w jego gardło. Co w sumie było efektownym, lecz pustym gestem. Gdyby zaatakowali jednocześnie, nie miałabym szans. Być może dałabym radę dźgnąć jednego, ale potem zostałabym dosłownie wdeptana w gówno.

Patową sytuację przerwał Abalam. Wyłonił się raptem zza obory i żwawym krokiem ruszył w naszą stronę, wrzeszcząc coś tym swoim okropnym, skrzekliwym głosem. Na szczęście Miszka zareagował tak, jak należało się tego spodziewać, czyli odepchnął Alicję i dał drapaka w lebiodę i osty, bujnie porastające przesmyk pomiędzy oborą a stajnią anielskich wierzchowców. Karwasz ulotnił się jeszcze prędzej. Wątpię, by nadzorca w ogóle go dostrzegł.

Zabawna rzecz. Abalam nie kiwnąłby palcem, gdyby zobaczył, jak ktoś nas uprowadza, gwałci i uśmierca. Byłyśmy mu równie obojętne jak zeszłoroczny śnieg, upadła cywilizacja i wszyscy ludzie, którzy zniknęli w przejściach do Edenu lub umarli za nowy porządek. Najwyraźniej ani Iwanow, ani jego pomagierzy nie znali zbyt dobrze tutejszych stosunków.

To wcale nie znaczyło, że odpuszczą. Mogli nie znać Abalama, ale ja znałam ich. A teraz oni znali mnie i z całą pewnością nie zapomną, że ośmieliłam się postraszyć widłami największych gierojów w obozie.

***

Tej nocy z nadmiaru wrażeń doznałam chwilowego zaćmienia umysłu. Znaczy… zapomniałam o szprycy. W ponaddwuletniej karierze mieszkanki Kurortu Makabra nie zażyłam jej tylko raz – chciałam po prostu sprawdzić, co się stanie, jeśli tego nie zrobię. Eksperymentu nigdy nie powtórzyłam. Horror obozowego życia wydawał się bajką w porównaniu z tym, co płatał człowiekowi umysł rzucony na pastwę wspomnień. Nic dziwnego, że prawie nikt stąd nie uciekał. No dobra, fakt, że na uciekinierów polowano aż do skutku, z ziemi i z powietrza, a potem spektakularnie uśmiercano na oczach wszystkich, też miał pewne znaczenie.

Kiedy w końcu zdołałam się obudzić, byłam zlana potem. Bez narkotyku mogłam jedynie wić się i wrzeszczeć, podczas gdy wydarzenia z przeszłości przelatywały mi przez głowę jak film nakręcony ręką pijanego wariata.

Sensacyjne doniesienia o Drugim Przyjściu. Pogłoski, plotki, filmiki na YouTubie i coraz głośniejsze wezwania do krucjat przeciw każdemu, kto utrudniłby triumfalny powrót Mesjasza. Święte wojny między przedstawicielami różnych wyznań ogarniające Europę jak pożar. Głosy rozsądku najpierw zagłuszane łagodną perswazją, a potem – brutalną siłą. Męczennicy nowego ładu: ateiści, Żydzi i geje, którym jak zwykle obrywało się po równo od każdej ze stron. Jeżeli ktokolwiek jeszcze rozróżniał jakieś strony.

– Nie! – wrzeszczę.

Rozpaczliwie próbuję zmusić ciało do ruchu; zyskuję tyle, że wpada w niekontrolowany dygot.

Dziury w materii wszechświata i piękni heroldzi apokalipsy na skrzydlatych bestiach. Nieprzeliczone tłumy wiernych wlewające się w świetliste portale do raju. „Kto dokona tego aktu prawdziwej wiary, zostanie zbawiony. Reszta spłonie w deszczu ognia i siarki. Co jesteście gotowi uczynić dla Chrystusa?"

– Nieee!

Żołnierze Jezusa wloką mnie po śniegu, a w tle z trzaskiem pali się dom z trupami rodziców i brata, porzuconymi wśród zniszczonych sprzętów. Zimno. Zimno i ból, obrzydliwy dotyk rąk na nagiej skórze, szarpanina w ciemności i niekończąca się agonia.

– Połknij!

Drżący głos Alicji, gorzki smak szprycy na języku.

Pstryknięcie zapalniczki i nagła jasność.

Przeszłość z nieznośną powolnością odpływa w mrok, wraca „tu i teraz". „Tu i teraz", które jest w pewnym sensie równie okropne jak tamto, ale koszmar nie przekracza granic psychicznej wytrzymałości. Lekarstwo aniołów gdzieś w głębi umysłu zamyka obrzydliwe wspomnienia. Wystarczy tam nie zaglądać i da się jakoś żyć.

Nie wiem po co. Ale się da.

***

Aniele Boży, stróżu mój. Ty zawsze przy mnie stój.

Ponieważ nie pamiętałam reszty, mechanicznie obracałam w myślach tę jedną, kretyńską frazę, patrząc, jak Orias, anielski wierzchowiec, zniża lot. Poszybował nad oborami, a potem z wdziękiem wylądował przed stajnią, podrywając z ziemi tuman kurzu. Zmrużyłam oczy. Alicja osłoniła twarz przedramieniem. Poły jej obszernej koszuli załopotały niczym peleryna Batmana.

Powrót Tarshisha kompletnie nas zaskoczył, przez co znalazłyśmy się w pułapce. Żaden z aniołów nie grzeszył miłosierdziem, lecz ten był chyba najgorszy (nie licząc Nafriela, ale on w dziedzinie skurwysyństwa pozostawał poza wszelką konkurencją). Nic więc dziwnego, że tkwiłyśmy przed stajnią jak sparaliżowane i usiłowałyśmy zrobić się możliwie najmniejsze – ja z rękami zaciśniętymi na uchwytach taczki do wywożenia gnoju, Alicja z wiadrem do połowy wypełnionym brudną wodą.

Anioł zeskoczył z wierzchowca. Spokojnie zdjął rękawice, zatknął je za pas i… odszedł, niczym nie dając do zrozumienia, że w ogóle zauważył nasze istnienie. W pierwszej chwili nie potrafiłam uwierzyć w swoje szczęście, bo zignorowanie było chyba najlepszą rzeczą, jaka mogła z jego strony spotkać dziewczynę. Alicja prawdopodobnie pomyślała o tym samym, gdyż na jej twarzy odmalowała się ulga. Potem spojrzała na Oriasa i ulga prysła.

– O Boże – jęknęła, gdy potwór zwrócił smukły pysk w jej stronę. Apostrofa wyrwała się biedaczce siłą przyzwyczajenia, od dawna wiedziałyśmy, że Boga nie interesuje los resztek, które nie załapały się na ostatni rejs do raju.

To zabawne, ale kiedy pierwszy raz zobaczyłam z bliska aniołów na ich dziwacznych pegazach, omyłkowo wzięłam za bestie tylko te ostatnie. Heroldzi Armagedonu budzili zachwyt, podczas gdy ich rumaki… No cóż, nie budziły. Przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Prawdopodobnie dlatego, że groza i zachwyt zwykle nie idą w parze. Orias był co najmniej dwa razy większy od konia, zaś sylwetką nieco przypominał charta – miał taką samą, szeroką klatkę piersiową i wklęsły brzuch. Jednak długa szyja i mała głowa oraz cztery szponiaste łapy nie budziły już skojarzeń z sympatycznym psem: miały w sobie coś gadziego, podobnie jak cienki ogon i para skórzastych skrzydeł. Całość przerażała. I słusznie. Te stworzenia były szybkie, piekielnie inteligentne i mięsożerne.

A my byliśmy mięsem.

Zacisnęłam zęby. Zafajdani jeźdźcy apokalipsy zazwyczaj sami odprowadzali swoje wierzchowce, by uniknąć ciągłej rotacji pracowników, rozdzieranych na strzępy przez niezadowolonych pupilów. Bestie bardzo źle znosiły zmiany opiekunów. W sumie wszystko znosiły bardzo źle. Zanim zyskałam akceptację Oriasa, kilka razy omal nie straciłam różnych części ciała. I chociaż teraz mnie lubił – jeżeli zaprzestanie prób oderwania głowy oznaczało

sympatię – jeszcze nigdy nie miałam okazji zajmować się nim poza stajnią.

Odetchnęłam głęboko i powoli ruszyłam naprzód. Alicja patrzyła na moje poczynania ze strachem i podziwem jednocześnie. Ona i Malkira pracowali w stajni dopiero od kilku tygodni i wielkie skrzydlate bestie śmiertelnie ich przerażały. Cóż, mnie też. Tylko kompletny debil nie odczuwałby strachu na widok czegoś, co wyglądało jak ożywiona grafika fantasy z DeviantArt. Coś takiego nie powinno latać. Ani w ogóle istnieć.

Tyle że istniało. I było piękne – straszliwą urodą nie z tego świata.

Ta ostatnia myśl pojawiła się nieproszona, gdy wierzchowiec z wdziękiem wygiął szyję i obserwował odchodzącego pana.

– Cześć, bestio – powiedziałam, by zaskoczony nie zrobił ze mnie miazgi.

Orias błyskawicznie odwrócił łeb i błysnął kłami, przypominającymi garnitur ostrych sztyletów. Byłam przygotowana i w porę cofnęłam dłoń. Prawdopodobnie się drażnił, ale pewności nie miałam.

– Przysięgam, nie mam zamiaru cię klepać – mruknęłam. Ze strachu zaschło mi w ustach.

W odpowiedzi położył ostro zakończone uszy i złowrogo łypnął ślepiami.

– Błagam, pośpiesz się – zaszemrała Alicja, ruchem podbródka wskazując popękane połacie asfaltu: ślad dawnej drogi powiatowej, gdzie najwidoczniej zauważyła coś niepokojącego.

Chwyciła miotłę i gorączkowymi ruchami zaczęła zamiatać plac, z którego znów podniósł się kurz.

Przez kilka cennych sekund bezmyślnie gapiłam się na jej chude ręce.

– Na litość, ruszże się wreszcie! – popędziła mnie.

– Łatwo mówić. No, chodź, przyniosę ci marchewkę – wymamrotałam do bestii i znów sięgnęłam po uzdę.

Tym razem stał spokojnie. Oczywiście nie z powodu marchewki. Anielskie wierzchowce nie jadały marchewek.

Ujęłam wodze tuż przy pysku, jakby był zwykłym koniem, choć bardziej przypominał skrzydlatego *each-uisge* z koszmaru jakiegoś psychotycznego Celta. Idąc obok niego, nie mogłam wyrzucić z głowy myśli, że gdyby zapragnął, wyrwałby się i rozdarł mnie na strzępy, zanim zdołałabym powiedzieć: „Armagedon".

Na szczęście miał chyba dobry humor, ponieważ potulnie poszedł do wrót, a potem dalej korytarzem, wzdłuż którego ciągnęły się rzędy boksów okratowanych niemal po sklepienie. Większość stała pusta, jedynie z czterech największych błyskały na nas ogniste ślepia. Idąc, w myślach wymieniłam imiona: Dagon Gabutelona, Foras Gamaliela, Lilith Hadarmiela. Widok tej ostatniej przetransferował na moment moje rozważania z odgryzionych kończyn i wyprutych flaków na zwykłe obozowe problemy.

Lilith przebywała tu od niedawna i mieliśmy z nią mnóstwo kłopotów, bo na nasze poczynania reagowała straszliwą agresją. Lecz o ile wierzchówka z piekła rodem zajmowała głównie nas, stajennych, o tyle jej jeździec stanowił przedmiot plotek i domysłów całego obozu.

Mówiło się, że miał zastąpić Nafriela. Kilka tygodni temu, ku głębokiej uldze wszystkich, naczelny sadysta znikł bowiem jak sen jaki złoty. Mijały jednak kolejne dni, Lilith z godziny na godzinę robiła się coraz wredniejsza, a anioł o pięknym imieniu się nie zjawiał. Alicja z ponurą miną przepowiadała, że jeśli usposobieniem choć trochę przypominał wierzchówkę, to jeszcze zatęsknimy do wybryków jego zaginionego pobratymca.

Zajęta niewesołymi myślami, przeoczyłam Malkirę, wyłaniającego się zza pojemników z mięsem niczym duch Banka, ale Orias go zauważył. Natychmiast położył uszy i wyszczerzył kły, co stanowiło pierwszy sygnał zbliżających się kłopotów.

– Spieprzaj, idioto! – wrzasnęłam.

Demon, posłuszny mojemu poleceniu, rzucił się do ucieczki, ledwo unikając ciosu pazurzastą łapą. Rozwścieczony Orias szarpnął głową. Chciał chwycić go zębami, lecz nie uwzględnił przy tym mojego ciężaru i znów chybił o włos.

Korytarz stajni, mimo imponujących rozmiarów, okazał się za mały, by pomieścić skrzydła, których nie powstydziłby się szybowiec. Jedno zawadziło o boks Lilith i bestia wydała z siebie przeraźliwy wizg gniewu, drugie z rozmachem walnęło kogoś, kto właśnie stanął w bramie. Nowo przybyły zatoczył się, ale nie upadł, co zakrawało na cud. Nie miałam czasu lepiej przyjrzeć się owemu kuriozum; anielski wierzchowiec zadarł łeb i potrząsnął nim w próbie pozbycia się balastu uwieszonego u cugli.

Zatoczyłam się jak pijana, ale nie puszczałam, chociaż ramiona zatrzeszczały mi w stawach. Chyba chwilowo zgłupiał ze złości, bo przecież wystarczyłoby jedno kłapnięcie szczęk, by definitywnie wykluczyć mnie z zabawy. Zamiast tego stanął dęba i machnął skrzydłami.

Pojemniki z mięsem runęły na posadzkę, a ich zawartość pokryła beton niczym oślizgły dywan; w powietrzu zawirowały drobiny kurzu i źdźbła słomy. Jęknęłam i puściłam wodze, gdyż coś z impetem zdzieliło mnie w plecy. Poleciałam do przodu, wprost na stertę narzędzi ustawioną przy ścianie, uderzyłam głową o mur i upadłam, zaś grabie, łopaty i miotły z hałasem rozsypały się wokół.

Czoło piekło i szczypało, ale nie zwracałam na to uwagi. Plasterki na skaleczenia, ludzka godność i żel pod prysznic stanowiły tu towary deficytowe. Pośpiesznie wygrzebałam się spośród gratów, zobaczyłam, kto jest w stajni, i zastygłam w absolutnym bezruchu, nie licząc oczu, którymi natychmiast zaczęłam strzelać na boki w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Nie znalazłam żadnej, więc stałam i udawałam, że nie czuję krwi kapiącej z rozciętego czoła ani rozdzierającego bólu w prawej dłoni. Oczywiście Alicja i Malkira ulotnili się niczym żarcie z miski,

gdy się ją nieopatrznie zostawiło bez nadzoru. Nie miałam im tego za złe. W zaistniałej sytuacji zrobiłabym dokładnie to samo.

Nowo przybyły nie musiał rozpaczliwie czepiać się cugli. Wystarczył ostry rozkaz w tym ich dziwnym języku, by potwór zwinął skrzydła i przestał demolować stajnię. Nadal syczał i potrząsał łbem, ale wydawało się, że jakaś niewidzialna siła trzyma go w szachu.

Podczas gdy anioł zajmował się Oriasem, cichutko postąpiłam w stronę wyjścia. Gdybym ruszyła biegiem, może udałoby mi się gdzieś schować. Może…

Obejrzał się przez ramię w chwili, kiedy już niemal docierałam do bramy. Pod jego wzrokiem zamarłam jak królik w cieniu jastrzębia.

Nie wydawał się rozzłoszczony, ale wiedziałam, że nie omieszka zabawić się moim kosztem w myśl najlepszych anielskich zwyczajów. Skinął na mnie, a przez jego wargi przemknął wredny uśmieszek. Mimo wzbierającej paniki zarejestrowałam, że miał przeszywająco błękitne oczy, równocześnie piękne i odpychające.

Wejście z krwawiącą twarzą i w oparach strachu do boksu Oriasa nie było, mówiąc oględnie, najlepszym pomysłem. Mówiąc zaś wprost, było pomysłem całkiem gównianym, bo każdy drapieżnik, nawet najbardziej przyjazny, posiadał granice wytrzymałości.

Odniosłam wrażenie, że czas rozciąga się jak guma i wlokę się przez stajnię od wielu minut, jeśli nie godzin, jednak w końcu dotarłam do celu, a Orias natychmiast położył uszy i wyszczerzył kły. Nie potrafiłam oderwać wzroku od ręki anioła, myśli rwały się i plątały.

Boże, Boże, za chwilę ta urękawiczona dłoń rozluźni chwyt, skrzydlata bestia rzuci mi się do twarzy, wbije zęby, oderwie żuchwę. Widziałam to już, widziałam oczy wyduszone z czaszki jak piłeczki do ping-ponga, obrzydliwie połyskujące kłębowiska jelit…

– Nie stój tak. – Głos anioła wdarł się w ten chaos, przywołał mnie do rzeczywistości. Hadarmiel szarpnął zwierzę za pysk, by nie

pozwolić mu obrócić się w moją stronę. – Masz dwadzieścia sekund na zdjęcie siodła. Zamarudzisz, puszczę go i popatrzę, jak wypruwa ci flaki.

W ułamku chwili czas znów przyśpieszył, zanim mózg w pełni zarejestrował sens słów, ciało już było w ruchu. Nie zawracałam sobie głowy zabezpieczaniem strzemion, odpięłam oba popręgi, potężnym szarpnięciem zdjęłam rząd i natychmiast padłam na kolana pod potwornym ciężarem skóry i metalu. Zazwyczaj po prostu ciągnęłam anielskie siodła po ściółce aż do drzwi, gdzie pomagała mi Alicja. Teraz musiałam sobie radzić sama, a temu tutaj prawdopodobnie nie spodobałoby się, gdybym w jego obecności naraziła drogocenny sprzęt na kontakt z brudną słomą.

Z drugiej strony jaka, kurwa, różnica za co umrę?

Poderwałam się, mocno chwyciłam tybinkę i wypraktykowanym ruchem powlokłam siodło w kierunku wyjścia. Poruszałam się tyłem jak jakiś zidiociały rak, by nie tracić z oczu Hadarmiela i Oriasa. Co w sumie było głupie, bo tylko mnie spowalniało, ale po prostu nie byłam w stanie odwrócić się do nich plecami. Boksy były ogromne, w jednym swobodnie zmieściłoby się kilkanaście zwykłych koni.

Dotarłam mniej więcej do połowy drogi, kiedy piękne wargi przybysza wykrzywił grymas okrucieństwa. Demonstracyjnie, palec po palcu, rozluźnił chwyt, najwyraźniej napawając się chwilą. W następnej sekundzie zwierzę wystrzeliło ku mnie niczym bełt. Zamarłam, wtuliłam głowę w ramiona i zacisnęłam powieki.

Poczułam na twarzy podmuch oddechu. Bestia obwąchała skaleczenie na czole i omal nie zsikałam się ze strachu, kiedy szorstki jęzor zaczął zlizywać krew. Byłam pewna, że za chwilę dosłownie stracę twarz.

Do oczu nabiegły łzy, w gardle wezbrał wrzask. Sama nie wiem, jakim cudem zdołałam go stłumić do jęku.

W końcu Orias trącił mnie pyskiem w ramię. Czasem tak robił, gdy miał wyjątkowo dobry humor, co za każdym razem sprawiało, że zamierałam z przerażenia.

Uchyliłam powieki. Wierzchowiec gapił się jak ciekawski dzieciak. W głębi boksu anioł spokojnie zdejmował rękawice, na pozór nie poświęcając scenie krztyny uwagi.

Potwór znów trącił mnie nosem, tym razem mocniej. Zachwiałam się i nagle odzyskałam możliwość ruchu.

Delikatnie przełożyłam wodze przez smukłą głowę, sięgnęłam do tręzli, odpięłam sprzączki i zdjęłam ogłowie razem z munsztukiem o sadystycznie długich czankach. Później – gdzieś z tyłu głowy spanikowana świadomość wrzeszczała wniebogłosy, bym tego nie robiła – wyciągnęłam rękę i poklepałam bestię po łuskowatym karku.

– Zostaw – rzucił ostro anioł, gdy przewiesiłam sobie tręzlę przez ramię i schyliłam się po siodło.

Posłusznie znieruchomiałam. Nie myśl. Nie analizuj. Nie wahaj się. Wykonuj rozkazy.

Podszedł, podał mi rękawice i bez widocznego wysiłku podniósł cały ten potworny ciężar.

Wycofałam się, ani na chwilę nie tracąc z oczu bestii, wodzącej za mną parą lśniących ślepi. Kiedy zamykałam drzwi, Orias otworzył pysk i wydał z siebie dziwny dźwięk. Hadarmiel – to musiał być on – odwrócił się, przeciągle popatrzył na wierzchowca i po jego twarzy przemknęło coś na kształt zdumienia.

Po chwili cisnął siodło na betonową posadzkę. Cichutki głosik w głębi mojej głowy szepnął, że mógł, kurwi syn, przynajmniej odwiesić je na miejsce.

Zerknął z ukosa, zupełnie jakby czytał mi w myślach.

– Jak masz na imię?

Natychmiast uciekłam spojrzeniem w bok. Niedobrze, że pytał, bo teraz niechybnie mnie zapamięta. A zwrócenie uwagi kogoś z Twierdzy zawsze oznaczało przekichane łamane na przesrane.

– Ewa.

– A ten, co uciekł? Czyżby Adam? – W jego głosie zabrzmiała drwina.

– Nie wiem, o czym mówisz, Niebiański Panie – odparłam, nie podnosząc wzroku. Malkira był głupim kutafonem, ale nie chciałam podawać jego personaliów. No, chyba że zostałabym zmuszona. – Jestem sama.

Milczał długo. Tak długo, że musiałam zerknąć. Niestety pechowo wybrałam moment i nasze spojrzenia się zderzyły. Twarz miał nieruchomą, ale w oczach błyszczała ciekawość. Źle. Ciekawość aniołów przypominała zainteresowanie dzieci testujących wytrzymałość nowej zabawki.

– Jak chcesz – powiedział w końcu i wyciągnął rękę.

Popatrzyłam na nią bezmyślnie, a potem mnie olśniło: wciąż trzymałam jego rękawice. Podałam je szybko i ostrożnie. Za nic nie chciałam dotknąć tych długich, białych palców, kojarzących się zarówno z marmurowymi posągami, jak i śmiercią przez uduszenie. Podejrzewałam, że w dotyku okazałyby się zimne jak lód.

– Co to jest?

No właśnie, co?

Pośpiesznie popatrzyłam na własną dłoń, niespodziewany przedmiot zainteresowania samego Jeźdźca Apokalipsy. Dwa palce wyginały się pod dziwnym kątem, oba spuchły i podchodziły fioletem. Strach znieczulał do tego stopnia, że prawie nie bolało. Gdyby adrenalina tętniąca w moich żyłach mogła świecić, wyglądałabym pewnie jak latarnia morska.

Szybko schowałam rękę za plecami.

– Nic – bąknęłam.

Wzruszył ramionami i podążył w stronę wrót. Na chwilę przystanął przed boksem Lilith. Potem jakby zmienił zdanie i znów przyszpilił mnie spojrzeniem.

– Pokaż – powiedział.

Nie myśl. Słuchaj. Wykonuj rozkazy.

Jego dłonie, choć marmurowo blade, okazały się ciepłe, mimo to z trudem ukryłam wstręt. Anioł nie próbował poruszać opuchniętymi palcami, po prostu chwycił je i szarpnął. Wrzasnęłam i odruchowo usiłowałam wyrwać rękę, ale mi na to nie pozwolił. Po chwili ból osłabł, przygasł, aż w końcu przeszedł w słabe mrowienie. Hadarmiel rozluźnił chwyt, odwrócił się i odszedł, tym razem na dobre.

Zebrałam się na odwagę i podniosłam dłoń do oczu.

Po kontuzji nie został najmniejszy ślad. Znaczy, informacje o cudownych ozdrowieniach, jakimi chętnie karmiły się media sprzed apokalipsy, miały swoje uzasadnienie w rzeczywistości. Cholera, a już zaczynałam myśleć, że te wszystkie cuda to ściema, na którą ludzkość dała się nabrać jak egipscy chłopi na stary numer z zaćmieniem.

***

Chętnie pozamartwiałabym się ewentualnymi skutkami tego burzliwego przedpołudnia. Naprawdę. Najlepiej z mocnym drinkiem w dłoni i w wannie po brzegi wypełnionej ciepłą wodą i pianą.

Jednak nie dysponowałam ani kąpielą, ani drinkiem, miałam za to wyjątkowo zbydlęconego nadzorcę. Ledwie Hadarmiel zniknął, do stajni wpełzł Jego Pawianowatość we własnej osobie i na widok panującego wokół bałaganu wpadł w szał. Zanim zdążyłam cokolwiek wyjaśnić, posypał się na mnie grad uderzeń. Robiłam uniki, ale nie zdołałam się ustrzec podstępnego kopniaka w kolano. Straciłam równowagę, upadłam i zwinęłam się w kłębek, osłaniając rękami głowę. W tym momencie powietrzem wstrząsnął ryk Oriasa, od którego z powały dosłownie sypnęły się kurz i pająki.

– …leniwa ludzka kurewko! – Abalam dokończył litanię obelg i plugawych przekleństw, ale zerknął na boksy i zrezygnował z dalszego bicia.

W duchu obiecałam sobie, że po cichu dam Oriasowi podwójną porcję żarcia. Drugi raz uratował mi dziś skórę, należało mu się.

– Sprzątniesz to – stwierdził nadzorca. Z uciechą patrzył, jak niezdarnie gramolę się na nogi. – Sama. Stajnia to dzisiaj twój problem.

Bydlak. Rozkaz oznaczał, że wyśle Alicję i Malkirę do innych zajęć, tak że ich robota spadnie na mnie. Skończę późno w nocy i rano będę się czuła jak gówno.

Kiwnęłam głową. Awanturowanie się, czy chociażby okazanie niezadowolenia, oznaczało kolejne kopniaki. Dziękuję, postoję.

Jaszczurcze oczka Abalama lśniły złośliwą radością, a na wargach igrał uśmieszek, co nadawało mu wygląd starej, wrednej małpy. Na pierwszy rzut oka dało się stwierdzić, że nie pochodził z tego świata, chociaż jego inność nie uderzała aż tak bardzo jak w przypadku złocistoskórego Malkiry, Nafriela o oczach jak czarne tunele czy Amitiel z jej idealną twarzą.

W przypadku Abalama różnica nie była tak spektakularna. Chodziło raczej o detale. Odrobinę węższy niż u ludzi nos. Niesamowicie blady odcień skóry. Minimalnie dłuższe palce, włosy w niespotykanym odcieniu ochry. Te rzeczy w pojedynkę nie zwracałyby większej uwagi, ale zebrane razem krzyczały: „Obcy, inny, dziwny!".

Oficjalna wersja głosiła, że Abalam, Flauros, Gadriela i Ezrah, czyli nieświęta czwórca nadzorców obozowych sektorów, oraz kilkoro niewolników w rodzaju Malkiry to demony pokonane przez Pana Zastępów w odwiecznej walce dobra ze złem i zmuszone do pracy w służbie sprawiedliwości (czytaj: w charakterze straszaka dla mieszkańców obozu).

Tak, kurwa, sprawiedliwości! To mój ulubiony kawałek. Zaraz po tym, że jesteśmy odpadami, o których Bóg w swym miłosierdziu raczył zapomnieć.

Jak było naprawdę, nie wiedział nikt poza samymi zainteresowanymi, a oni nie śpieszyli się, by o tym rozpowiadać. W sumie wszyscy odznaczali się agresją, złośliwością i sadyzmem, więc wersja o ich piekielnej proweniencji nosiła wszelkie znamiona prawdopodobieństwa.

Mimo to zdrowy rozsądek szeptał cicho: „Coś jest nie tak, te demony za mocno przypominają ludzi". Przeczucie mówiło mi, że gdybym mogła zajrzeć takiemu Abalamowi do wnętrza – dosłownie, nie w przenośni – ujrzałabym organy przypominające moje własne. Czy demonia fizjologia nie powinna być nieco bardziej… demoniczna? Czy demony w ogóle powinny mieć fizjologię?

Idąc tym tropem, jaką i na ile zbliżoną do ludzkiej mieli aniołowie? I czy przypadkiem nie byli aniołami jedynie z nazwy? Brakowało im przecież skrzydeł, co z początku budziło szaloną konsternację wśród wiernych, niezadowolonych z zamiany tradycyjnych białych szat na awangardowe wierzchowce.

Pytania padały do momentu, gdy goście z zaświatów zaczęli uciszać burze, uzdrawiać chorych i organizować apokalipsę na pełnej kurwie. A potem było już za późno. Na cokolwiek.

Skopane kolano bolało jak diabli, co skutecznie oderwało moje myśli od rozważań na temat końca świata. Zacisnęłam zęby i pokuśtykałam do wideł. Nie tylko z powodu czekających mnie zadań. Wprawdzie od dawna nosiłam w kieszeni ostry kawałek blachy na czarną godzinę, ale cztery lśniące szpikulce, które można było wbić komuś w bebechy, stanowiły o wiele solidniejsze źródło pokrzepienia. Abalam jak dotąd nie próbował się do mnie dobierać, bo – jak twierdził – byłam dla niego zbyt chuda i brzydka, ale gdyby zwietrzył okazję, zrobiłby to, żeby mi pokazać, kto tu rządzi.

Nadzorca właściwie odczytał pełne lubości spojrzenie, jakie posłałam narzędziu, ponieważ odwrócił się na pięcie i wyszedł bez słowa, zupełnie jak wcześniej anioł. Zabrałam się do porządkowania syfu narobionego przez Oriasa w nadziei, że wysiłek pozwoli mi opanować nerwy.

Miałam ochotę wybuchnąć płaczem. Rozryczeć się w głos jak dziecko. Albo wrzeszczeć, dopóki nie ochrypnę. Sama już nie wiedziałam, czego się bać w pierwszej kolejności. Miszki Suworowa? Siergieja? Abalama? Czy może Hadarmiela, który najwyraźniej był pod wrażeniem mojej komitywy z jednym z anielskich wierzchowców? Doszedłszy do wniosku, że lęk przed czymś, na co nie mam wpływu, to strata czasu, z furią wbiłam widły w pierwszy ochłap mięsa.

***

Kiedy w porze obiadu wyszłam na zewnątrz, po raz tysięczny zakłuło mnie w sercu na widok sielankowego krajobrazu mającego się nijak do koszmarnej rzeczywistości. Z istniejącej tu kiedyś wsi zostały tylko resztki fundamentów oraz osypujące się kominy, tu i ówdzie sterczące pomiędzy młodymi drzewkami błyskawicznie zarastającymi dawne sady i ogrody. Jako nietutejsza nie bardzo orientowałam się, gdzie jestem.

Och, znałam nazwę miejscowości, ale owo Zalesie mówiło mi równie niewiele, co Psia Wólka czy inny Zadupków. Wiedziałam jedynie, że jakieś dwadzieścia kilometrów stąd leżał Zamość. Podobno zostały z niego gruzy po tym, jak Żołnierze Jezusa przez kilka tygodni napieprzali się tam z Obrońcami Maryi. Przynajmniej tak twierdziła Alicja. Widziała zagładę miasta na własne oczy i jakoś przetrwała walki zdziczałych fanatyków, chociaż nie bardzo chciała o tym mówić. A ja miałam dość rozumu, by nie drążyć tematu.

Centralny punkt obozu wyznaczała Anielska Twierdza. Dziesiątki smukłych wieżyczek przywodziły na myśl zamek Draculi z filmu Coppoli. A że Zamojszczyzna to nie Karpaty, budować trzeba z dużo większym rozmachem, by uzyskać podobny efekt. Nie do końca wiem, z czego i jak budowano, bo kiedy dwa lata temu trafiłam tu razem z setką innych nieszczęśników, forteca już stała. A nie byłam na tyle ciekawa, by wchodzić na górę i sprawdzać, czy czarny kamień, emitujący nocami upiorny, pomarańczowy poblask, to – jak mawiała Alicja – niebiańskie cegły. Taką samą, albo i mniejszą, ochotę miałam na zwiedzenie gmaszyska od wewnątrz. Wyglądało równie zachęcająco jak Dol Guldur z grafik Alana Lee.

Na kilku pagórkach pomiędzy Twierdzą a stajnią znajdowały się zabudowania obozu, wzniesione tradycyjnie, z ziemskich materiałów pozyskanych głównie drogą rabunku. Nie bez powodu okoliczne miejscowości zniknęły z powierzchni ziemi szybciej, niż mogła to uzasadnić zasada entropii. Teraz, dzięki cegłom wyłuskanym z domów i zabudowań gospodarczych, na ich miejscu panoszył się obóz, samowystarczalny rolniczy łagier dla prawie czterystu ludzi. Ludzi uprawiających zboże, utrzymujących inwentarz, ba, eksportujących nadwyżki. W niewiadomym kierunku i z niewiadomym skutkiem, ale zawsze!

Westchnęłam i ruszyłam naprzód. Rozpamiętywanie przeszłości było czynnością żałośnie bezproduktywną. Nie musiałam wracać myślą do starych, dobrych czasów, by dojść do wniosku, że mam przesrane. Maszerując raźno w stronę karmnika, nakazałam sobie skupić się na ważniejszych sprawach.

Przeżyciu do wieczora, na przykład.

My, niewolnicy, mieszkaliśmy w niedbale skleconych drewnianych barakach. Było ich tu ponad dziewięćdziesiąt, ustawionych w dwa duże kwadraty – jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet. W obozie nie przebywały dzieci. Zupełnie jakby szpryca nie pozwalała

nam się rozmnażać, mimo że niektórzy próbowali z częstotliwością godną lepszej sprawy.

W samym środku strefy mieszkalnej pysznił się wielki drewniany barak kuchenny, zwany powszechnie karmnikiem. Posiłki jadło się na dworze, co wiosną i latem bywało całkiem przyjemne, jesienią uciążliwe, a zimą wprost koszmarne. Karmiono nas znośnie; nie chciałam myśleć o tym, co by się tu działo, gdyby ludzie musieli walczyć ze sobą o każdy kęs. Podobnie rzecz się miała z ubraniami – sekcja zaopatrzenia dostarczała ich tyle, że nawet nie chodziliśmy szczególnie obszarpani.

Przez całą drogę zastanawiałam się, co będzie, jeżeli Karwasz czy Miszka Suworow zechcą odegrać się na mnie przy świadkach. Musiałam jednak jeść, a to oznaczało podejście do karmnika i zajęcie miejsca w kolejce, choćby nastąpiła przez to druga apokalipsa. Spuściłam głowę i stanęłam za wysokim, chudym facetem w wyblakłej koszulce z nadrukiem „#SPOKO" na plecach.

Jasne, kurwa.

Można by mniemać, że rzesza ludzi kłębiąca się tu w porze śniadań, obiadów i kolacji, będzie czyniła potworny hałas. A przynajmniej szmer informacyjny. Nic bardziej mylnego. Przeważnie panowała przygnębiająca cisza. Nie chcieliśmy ze sobą rozmawiać. Nie chcieliśmy nawiązywać przyjaźni. Na dłuższą metę każda znajomość zawarta w tym miejscu okazywała się gówno warta.

Monique, francuska kucharka, która przed apokalipsą przyjechała na wymianę studencką, by przeżyć koniec świata w najmniej nadającym się do tego miejscu, spojrzała z zaciekawieniem na guza na moim czole. Nie odezwała się jednak, za co chyba powinnam być jej wdzięczna, bo niedaleko, w otoczeniu swojej bandy, siedział Miszka. Odbierając z rąk koleżanki talerz z zupą i parujący kubek kawy, pochwyciłam jego wzrok. Także patrzył na guza, ale na pewno nie ze współczuciem. Prędzej z żalem, że ktoś go ubiegł.

Odeszłam z miską jak najdalej od wścibskich spojrzeń, usiadłam i oparłam się plecami o ścianę karmnika. Uprzywilejowani – znaczy najsilniejsi i najbardziej bezwzględni – jadali przy kilkunastu stołach zbitych z desek. Prawie jak ludzie. Reszta, w tym ja, siadała na gołej ziemi lub spożywała posiłki na stojąco. W grupie oborowych, w najdalszym kącie placu, dostrzegłam Alicję. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, szybko odwróciła głowę. Nic, czego nie należało się spodziewać, ale i tak zapiekło.

Zupa zachęcająco pachniała lubczykiem, jednak zaczęłam od kawy. Chociaż była kawą jedynie z nazwy i w rzeczywistości nie miałam pojęcia, z czego ją parzono, dawała się pić bez wstrętu. Ledwie zdołałam opróżnić kubek do połowy, a zobaczyłam, że Karwasz nachyla się do Siergieja Iwanowa i coś do niego mówi. Obydwaj popatrzyli na mnie, a Miszka wyszczerzył zęby.

Niedobrze.

Natychmiast spięłam się w gotowości do obrony lub – gdyby sprawy przybrały wyjątkowo paskudny obrót – ucieczki na złamanie karku.

Misza wstał, podniósł się również typ imieniem Arkadiusz, prawa ręka Siergieja. Herszt warknął coś do tego pierwszego i Suworow klapnął z powrotem na ławkę. W tej samej chwili też poderwałam się na nogi, nie chciałam dać się skopać jak idiotka. Nie wiałam ile sił w nogach tylko dlatego, że nawet Siergiej nie był tak pomylony, by zabić kogoś przy karmniku, gdzie często pojawiali się nadzorcy. Zabójstwa między pensjonariuszami się zdarzały, ale oficjalnie groziły za nie surowe kary.

Odstawiłam pusty kubek i siorbnęłam łyk zupy prosto z miski. Ponad brzegiem naczynia śledziłam pilnie ruchy Naczelnego Przydupasa zbliżającego się ze złośliwym grymasem na ustach. Miał zniekształcony, płaski nos boksera i ramiona trzy razy grubsze od moich. Jak oni wszyscy, sprawiał wrażenie, że mógłby bez wysiłku łamać gnaty niedźwiedziom.

– Ty – odezwał się z silnym rosyjskim akcentem. – Siergiej chce z tobą gadać.

Skinęłam głową. Jeśli istniał cień szansy na rozwiązanie sprawy gadaniem, należało iść i gadać. Poszłam więc za Arkadiuszem, nie wypuszczając miski z rąk. Była solidna, blaszana, w ostateczności dałoby się wybić nią zęby lub rozwalić łeb. No i nie skończyłam zupy, a ktoś spomiędzy współczujących towarzyszy niedoli z pewnością nie omieszkałby jej zeżreć.

Rozparty przy jednym z poszarzałych od deszczu i słońca stołów Siergiej Iwanow – import z Rosji, która podobnie jak cała reszta świata od trzech lat należała do Unii Wszechanielskiej – zmierzył mnie spojrzeniem od czubka głowy po brudne adidasy. Zatrzymał się odrobinę dłużej w okolicach klatki piersiowej.

Znałam te gierki. Nie chodziło o seks – ten dostawał na skinienie palca od kobiet ładniejszych ode mnie. To była zawoalowana groźba, komunikat typu: „Jesteś śmieciem i mogę z tobą zrobić, co zechcę".

Niemrawe rozmowy umilkły. Wszyscy wpatrywali się w nas z ciekawością zwierząt obserwujących z bezpiecznej odległości, jak drapieżnik morduje schwytaną ofiarę. Igor, Miszka Suworow, Aleksy i Karwasz – jedyny Polak w bandzie Siergieja – mieli na twarzach identyczny wyraz bezmyślnego okrucieństwa; tylko Weronika, kochanka Igora, patrzyła z lekkim politowaniem. Jej policzek zdobił imponujący siniak. Ładniejszy niż mój guz, a już na pewno bardziej fioletowy.

Miałam szczery zamiar okazać tyle pokory, ile będzie trzeba, jednak ta zimna, wręcz bezosobowa pogarda silnych wobec słabego sprawiła, że zatrzęsłam się z wściekłości. Anielską wyższość akceptowałam bezwiednie, poniekąd było to usprawiedliwione tysiącami lat bytowania w kulturze i micie, i żadne perswazje nie mogły przełamać tego uwarunkowania. Z kolei łysy dres rozwalony za stołem

rościł sobie prawo do mojego strachu tylko dlatego, że miał fiuta i szerokie bary.

I choć nie zdobyłam się na splunięcie Siergiejowi w twarz czy choćby błyskotliwą, dowcipną uwagę rodem z przedapokaliptycznych filmów akcji, uniosłam naczynie do ust i siorbnęłam głośno.

W tej samej chwili Arkadiusz zdzielił mnie otwartą dłonią w głowę. Oczekiwałam mniej więcej takiej reakcji, więc zasłoniłam się przedramieniem, upuściwszy przy tym miskę. Ta zatoczyła krótki łuk i z impetem trzasnęła w stół. Reszta zupy utworzyła na spłowiałym drewnie malownicze wzory i tłustym rzucikiem upstrzyła twarze oraz ubrania siedzących najbliżej. Zanim zdążyłam cokolwiek zrobić – krzyknąć, przeprosić, zakląć – Arkadiusz jedną ręką chwycił mnie za gardło i niemal uniósł w powietrze, podczas gdy drugą, zaciśniętą w pięść, zamierzył się do uderzenia, po którym pewnie nie zdołałabym wstać o własnych siłach.

Siergiej warknął coś po rosyjsku. Goryl powoli rozluźnił chwyt. Nadal odczuwałam znieczulające działanie wściekłości, więc zamiast pokornie schylić głowę, ostentacyjnie roztarłam szyję, przez cały czas utrzymując z Iwanowem kontakt wzrokowy.

– Jesteś głupia. – Rosjanin uśmiechnął się z pozorną łagodnością. – Głupia, Jewa – powtórzył, jakby się bał, że nie zrozumiałam za pierwszym razem.

Wreszcie się przemogłam i spuściłam wzrok.

– Wot, krasiwaja z ciebie dziewuszka.

Wytrzeszczyłam oczy w niemym przerażeniu.

Kurwa, nie taki był plan.

– Ty przyjdź dzisiaj wieczorem na plac. Nie pożałujesz.

Coś w jego głosie obudziło zamglone wspomnienie. Bólu. Krzyku. Mroku. Odepchnęłam je od siebie jak najprędzej w obawie, że przedrze się przez mur szprycy, zaleje umysł i utopi mnie w koszmarze.

– No, Jewa?

Z oczu Siergieja wyzierała ta sama ciemność, której wspomnienie pokutowało w zakamarkach mojej podświadomości. Nie był właściwie odpychający. Kto wie, gdyby zużył kilka kostek mydła, może nawet uznałabym go za atrakcyjnego, ale przespanie się z nim nie polepszyłoby mojej sytuacji nawet o jotę i oboje o tym wiedzieliśmy. Postawiłam się i musiałam ponieść karę. Ot, podstawowe prawo obozowego życia.

– Jasne – wykrztusiłam. – Jak sobie życzysz.

Po moim trupie, ty zwyrodniały skurwysynu.

Jego wargi wykrzywił uśmieszek triumfu, Arkadiusz i Misza zarechotali obleśnie, Karwasz splunął. Niemal fizycznie odczułam falę współczucia wymieszanego z obrzydzeniem płynącą od lokatorów sąsiedniego stołu, którzy bezwstydnie podsłuchiwali każde słowo.

Odwróciłam się i odeszłam, odprowadzana spojrzeniami i szeptami, a nogi i myśli ciążyły mi jak ołów. Złość wietrzała, pozostawiała po sobie pustkę i zapowiedź grozy. Jak, do cholery, zdołam unikać tego skunksa przez resztę życia w łagrze zajmującym ledwie kilka kilometrów kwadratowych?

II

W następnych dniach obozowe życie powróciło do swego naturalnego rytmu, wzbogacone o unikanie Siergieja Iwanowa. Sukinsyn okazał się nad podziw wytrwałym adoratorem.

Dwa razy ledwie uniknęłam złapania podczas wieczornego powrotu do baraku, przestałam więc tam wracać i sypiałam, gdzie popadło: w pustym boksie, na strychu, pod gołym niebem za stajnią, choć tam akurat i tak nie dało się zmrużyć oka z powodu komarów lęgnących się w wysokiej trawie, licznych jak hordy Czyngis Chana i równie złaknionych krwi. Bzyczące wampiry dosłownie pożerały mnie żywcem, więc zazwyczaj po godzinie czy dwóch wstawałam

i szłam do stajni, gdzie drzemałam, oparta plecami o ścianę któregoś z boksów, spięta i pełna obaw.

Dzięki intensywnemu trybowi życia schudłam jeszcze bardziej i traciłam siły, co nie wróżyło dobrze, jako że obóz wchodził w fazę gorączkowej aktywności cechującej porę letnią. Kto żyw, szedł na pola, żeby dokończyć sianokosy.

Dysponowaliśmy zaledwie jednym starym ciągnikiem C340, zabytkiem już w czasach, kiedy moi rodzice umawiali się na randki. Używało się go sporadycznie, bo ciągle brakowało paliwa, dlatego zaledwie niewielką część roboty załatwiała za nas myśl techniczna. Resztę wykonywaliśmy własnymi rękami, według najlepszych wzorców Boryny i Bogumiła Niechcica. Kosiliśmy kosami, przewracaliśmy siano widłami i zwoziliśmy je na wozach zaprzężonych w konie, by w stodołach dokonywać tradycyjnego wyładunku podaj – zabierz.

Co ciekawe, niemal nikogo nie trzeba było tego uczyć. Obserwując sprawność, z jaką nasi bracia ze wschodu wymachiwali kosami, można by mniemać, że to, co trzy lata temu wydawało się przypadkową łapanką niewolników, w istocie stanowiło przerażająco skuteczną selekcję i każdy z nas został tu przywleczony z określonego powodu. Jeśli jednak ktokolwiek czynił podobne spostrzeżenia, to się nimi nie dzielił. Sama również wolałam zbyt intensywnie się nad tą kwestią nie zastanawiać. Niosła ze sobą za wiele straszliwych implikacji. Lepiej myśleć, że obozowym życiem zarządzał zbieg okoliczności, wspierany przez ślepy traf, niż że działał tu jakiś dopracowany w szczegółach plan, gdzie od początku istnienia Ziemi figurowaliśmy pod hasłem „postapokaliptyczne bydło robocze".

– Rusz się!

Świst bata i palący ból brutalnie ściągnęły mnie z wyżyn metafizyki na ziemię: tę zwyczajną, pachnącą wysuszoną trawą i pisaną małą literą. Obok stał Ezrah, ogromny nadzorca upraw, bawiący się plecionką z rzemieni. Wokół gorączkowo uwijali się

ludzie w różnych stadiach rozngliżowania, znosząc i zagrabiając siano w podwójne wały, pomiędzy które inni wjeżdżali zaprzężonymi w konie wozami, by stosunkowo szybko i wygodnie załadować paszę i zwieźć ją do stodół. Co do mnie, na chwilkę wsparłam się na widłach i najwyraźniej przysnęłam, bo nie zauważyłam zbliżającego się niebezpieczeństwa. Z nieba lał się piekielny żar, a ja miałam za sobą kolejną nieprzespaną noc.

– Przepraszam – wymamrotałam i bezmyślnie podjęłam pracę, krzywiąc się z bólu, bo plecionka pozostawiła na plecach piekące ślady.

Mimo wszystko, pomyślałam, Ezrah nie jest taki zły. Abalam na jego miejscu urządziłby pokazówkę, która bolałaby o wiele bardziej.

***

Pod wieczór nad obozem rozszalała się burza. Wyładowania raz po raz trzaskały w okoliczne najwyższe punkty, ze szczególnym uwzględnieniem Anielskiej Twierdzy, ściągającej pioruny nie gorzej niż instalacja odgromowa. Deszcz tłukł o dachy i zamieniał nierówności terenu w błotniste sadzawki, a podmuchy wiatru ciskały fontanny kropel aż do miejsca, gdzie siedziałam, obserwując żywioł przez niedomknięte wrota.

Co jakiś czas odpływałam poza granice jawy – nawałnica cichła do niewyraźnych pomruków, zaś kontury wszechświata stawały się przyjemnie nieostre. Praca nad siły, połączona z długotrwałym brakiem snu, w końcu mnie złamała; coraz trudniej przychodziło otrząsanie się z otępienia i zmuszanie ciała do aktywności. Widywałam to już przedtem u innych. Człowiek popadał w apatię, z której nie dawały rady go wyrwać nawet razy bata.

Kolejny, wyjątkowo donośny grzmot na chwilę przywrócił mi świadomość. Beztroskie tkwienie na widoku, w porze gdy mogli się tu zjawić Abalam czy nawet anioł, było, delikatnie mówiąc,

nierozważne. Nie miałam jednak siły, aby wstać i poszukać sobie jakiejś kryjówki.

Siedziałam w ciemnościach na przewróconym wiadrze i jedynie resztki instynktu samozachowawczego nie pozwalały mi pogrążyć się w niebycie: przynajmniej tak sądziłam, dopóki ostry wizg z boksu Oriasa nie sprawił, że się wzdrygnęłam i otworzyłam oczy.

Musiałam przysnąć mimo głupiego przekonania o panowaniu nad sytuacją i spałam tak długo, że deszcz zdążył zupełnie ustać. Niebo wciąż szczelnie zakrywały chmury, ewentualnie Hati wreszcie pożarł księżyc, w każdym razie ciemność za drzwiami rozjaśniała jedynie nikła poświata Twierdzy. Nie dostrzegłam niczego dziwnego, ale anielski wierzchowiec nie odezwał się bez powodu. A cokolwiek go zaniepokoiło, powinno zaniepokoić również mnie.

I choć sen nie przyniósł zbyt wiele wytchnienia, oprzytomniałam na tyle, że zerwałam się na równe nogi, w duchu przeklinając swoją głupotę i zdrętwiałe mięśnie. Najciszej jak mogłam, krok za krokiem, wycofywałam się w głąb ogromnego pomieszczenia, badając ciemność wokół siebie wyciągniętymi rękami. Gdybym tym sposobem dotarła do kąta ze sprzętem, mogłabym przynajmniej się w coś uzbroić: widły, szpadel czy choćby miotłę. Cokolwiek.

W drzwiach zamajaczył cień człowieka – dostrzegłam go, ponieważ moje oczy przywykły do ciemności, a wąski prostokąt nieba widoczny z wnętrza stajni był odrobinę jaśniejszy od otoczenia. Przez jakąś sekundę próbowałam się pocieszać myślą, że to Alicja. Albo Abalam, diabelska jego mać. Nawet jego wolałabym od…

Skrzypnięcie buta zdradziło nadejście kolejnego gościa. Teraz już mogłam bez przeszkód poddać się panice, bo w stajni wybuchło pandemonium.

Dagon ryknął z wściekłością, kiedy przemykałam opodal, a Lilith i Foras natychmiast przyłączyły się do symfonii. Miałam nadzieję, że niespodziewani goście, wystraszeni piekielnym koncertem,

odwrócą się na pięcie i uciekną, ale Siergiej Iwanow najwyraźniej miał dość zabawy w kotka i myszkę serwowanej mu niemal od tygodnia. Przeze mnie tracił prestiż, a na to nie mógł sobie pozwolić. Usłyszałam rosyjskie przekleństwa, gdy ktoś z hałasem zrzucił pokrywę z pojemnika na mięso.

Starając się nie czynić najmniejszego szmeru, pomknęłam w przeciwnym kierunku. W tej samej sekundzie nie dalej niż o metr ode mnie błysnęło światło zapalniczki. Na chwilę zamarliśmy zaskoczeni – ja i anonimowy autor iluminacji, najwyraźniej niespodziewający się tego, że zwierzyna jest tak blisko. Ze zdumienia aż zdusił płomyk.

Oprzytomniałam odrobinę szybciej, bo adrenalina, już wcześniej buzująca we krwi, teraz runęła przez żyły falą czystego przerażenia. Obróciłam się i zerwałam do biegu, zdecydowana za wszelką cenę wydostać się ze stajni. Niemal w tej samej sekundzie zderzyłam się z kolejnym bandziorem, straciłam równowagę i wyrżnęłam o posadzkę z taką siłą, że przejechałam po betonie dobry kawałek, zostawiwszy na szorstkiej powierzchni sporo skóry. Przy upadku coś chrupnęło mi w kolanie, ale ślepa panika wypchnęła ból poza granice percepcji.

Poczułam dotknięcie na łydce, wierzgnęłam na oślep zdrową nogą i, o dziwo, trafiłam. Przy wtórze zduszonego „Ty kurwo!", co nieomylnie zdradziło Karwasza, odturlałam się poza zasięg jego rąk.

Znów błysnęła zapalniczka.

Spróbowałam wstać, ale coś niedobrego działo się z moim kolanem. Nie chciało współpracować, mimo że nadal nie bolało. Dysząc ciężko, popełzłam po posadzce na czworakach. Ktoś chwycił mnie za włosy i szarpnął. Wbrew woli spojrzałam w górę, prosto w twarz Siergieja Iwanowa, na której, o ile właściwie odczytałam jej wyraz w nikłym blasku ognia, malowało się pełne satysfakcji okrucieństwo.

– Spierdalajmy stąd – zaproponował nerwowo Karwasz, wykazując śladowe ilości pomyślunku.

Wszystkie cztery anielskie wierzchowce z rykiem obijały się o kraty i powodowały okropny zgiełk. Lada moment powinien się tu pojawić nocny patrol. Strażnicy zwykle nie reagowali na krzyki, ograniczali się do obchodzenia granic łagru i sprawdzania, czy jakiś desperat nie próbuje się oddalić, ale TO z pewnością musiało zwrócić ich uwagę.

Siergiej złapał mnie od tyłu za szyję, wcisnął przedramię pod brodę i jednym brutalnym szarpnięciem poderwał do pionu. Nie mogłam oprzeć ciężaru na uszkodzonym kolanie, więc aby uniknąć zadławienia podskakiwałam za oprychem na jednej nodze.

Wyjście ze stajni oznaczało paskudny koniec, dlatego udałam, że tracę równowagę, i całym ciężarem zawisłam na dławiącym łapsku. Iwanow warknął coś po rosyjsku do Karwasza, pewnie żeby złapał mnie za nogi.

Robiłam wszystko, by mu to utrudnić, a jednocześnie rozpaczliwie gmerałam ręką przy kieszeni bluzy, w której nosiłam zbawczy blaszany zadzior, dawno temu oderwany od starego siewnika. Ostre kanty pocięły mi palce, gdy wyszarpnęłam blaszkę i z całej siły wbiłam ją w podbrzusze Rosjanina. Nie mogła mieć więcej niż pięć centymetrów długości, ale była ostra jak nóż i weszła w ciało niczym w masło.

Iwanow wrzasnął i mnie odepchnął. Światło znowu zgasło.

Po raz drugi w ciągu tego obfitującego w przygody wieczoru wyrżnęłam o posadzkę, ale tym razem się tego spodziewałam i wykorzystałam impet, aby poturlać się po betonie w stronę boksów.

Ktoś bez powodzenia usiłował odpalić zapalniczkę: słyszałam trzask, ale urządzenie najwyraźniej wzięło moją stronę.

Zerwałam się i pokuśtykałam, przemocą zmuszając do współpracy dziwnie wiotką nogę. Ślepia anielskich wierzchowców jarzyły się w mroku jak oczy demonów, ale było mi już wszystko jedno.

Skoro tak czy owak miałam umrzeć, niechże skrzydlaty drapieżca stanie się moją Nemezis.

Dopadłam boksu, szarpnęłam rygiel i przylgnęłam do ściany. W tej samej chwili drzwi, pchnięte od środka przez rozwścieczoną bestię, odskoczyły i walnęły o mur z siłą, od której zadrżały ściany. Gdybym stanęła za nimi, dosłownie wgniotłyby mnie w spoiny.

W stajni wszczął się tumult: ktoś przeciągle wrzasnął, makabrycznie zagulgotał, a potem długą chwilę rzęził i charczał, zanim umilkł. Ktoś inny próbował salwować się ucieczką, usłyszałam szybkie kroki, najpierw wewnątrz, następnie za wrotami. Ułamek sekundy później przez jaśniejszy prostokąt bramy przemknął olbrzymi skrzydlaty cień, a ja poczułam słabe ukłucie satysfakcji.

Nawet najszybszy biegacz nie miał szans z polującym anielskim wierzchowcem.

Powoli osunęłam się na posadzkę, podciągnęłam zdrowe kolano pod brodę i oparłam na nim policzek, otaczając nogę ramionami. Postanowiłam nie zmieniać pozycji, cokolwiek by się nie działo.

Ryki i piski szalejącej w zamknięciu trójki potworów zagłuszały nieco wrzaski kompanów Siergieja mordowanych na placu, ale to, co docierało do moich uszu, aż nadto wystarczyło do zwizualizowania sobie scen rozgrywających się w ciemności. Potem krzyki ucichły, a w mroku rozległy się odgłosy ucztowania: chrupot miażdżonych kości i okropne mlaskanie.

Zaczęłam dygotać. Nie mogłam opanować szczękania zębami – dzwoniły tak głośno, że nagle uznałam to za zabawne. Z ust wyrwał mi się krótki chichot. Dźwięczał w nim obłęd.

No cóż, szaleństwo było dobre. Pozwalało człowiekowi uciec w głąb własnej głowy, gdzie nic, nawet apokalipsa, nie miało dostępu.

Niestety, pomimo usilnych starań nie potrafiłam przywołać oszołomienia, którym odgradzałam się od wszechobecnego horroru w dniach upadku cywilizacji. Bodźce z zewnątrz uparcie

docierały do świadomości. Nie umiałam ocenić mijającego czasu: mogły to być zarówno minuty, jak i całe godziny, ale w końcu hałas na zewnątrz zupełnie umilkł. Gdybym jeszcze była w stanie o cokolwiek się martwić, prawdopodobnie zatroskałabym się teraz o bezpieczeństwo śpiących ludzi. Orias mógł polecieć do baraków i powyciągać stamtąd, niczym sardynki z puszek, dowolną liczbę więźniów. Tylko wyjątkowo głupi nocny patrol zdecydowałby się na interwencję, gdy stwór grasował na wolności.

Czas płynął, a ja ciągle nie zmieniałam pozycji i nie podnosiłam głowy. Wbrew mojej woli, odrętwienie mijało, zaś stłuczenia i zadrapania zaczynały boleć. Poharatany policzek przykleił się do dżinsów, czułam wilgoć przesiąkającą przez materiał. W kolanie łupało w rytm uderzeń serca.

Nagle Dagon, Foras i Lilith ucichły w pół ryku, jakby ktoś wydał im rozkaz, by zamknęły mordy. Świadoma tego, co nadchodzi, mocniej zacisnęłam powieki. Usłyszałam powolne stąpanie, a w powietrzu rozniósł się charakterystyczny odór krwi i świeżo wyprutych wnętrzności. Potem nastała chwila ciszy.

Mimo szczerych chęci, żeby już do końca pozostać głuchą na wszystko, nie zdołałam się powstrzymać przed nieznacznym uniesieniem głowy.

W tym momencie noc wybuchła blaskiem; zamrugałam kompletnie oślepiona.

Ktoś krzyknął ostrym, nieprzyjemnym głosem. Skuliłam się, gdy rozpoznałam Tarshisha, i pożałowałam, że Orias nie skończył ze mną, kiedy miał okazję. W następnej chwili anioł złapał mnie za ramię i poderwał z ziemi; wrzasnęłam niczym potępiona dusza, gdy kolano przeszył potworny ból. Poprzez napływające do oczu łzy zobaczyłam twarz wykrzywioną furią i płonące zielone oczy. W bramie majaczyła wysoka sylwetka Hadarmiela, którego poznałam po srebrzystych włosach i długich, białych palcach, obejmujących uchwyt

halogenowej latarki. Drugą ręką przytrzymywał Oriasa za uzdę. Bestia stała nieruchomo jak posąg.

Tarshish potrząsał mną i przemawiał podniesionym głosem, ale jego słowa za nic nie chciały się ułożyć w sensowną całość. W końcu, skoro nie mógł doczekać się reakcji, odepchnął mnie i rzekł coś do Hadarmiela. Ten roześmiał się i skinął głową.

Ostrożnie oparłam się o ścianę boksu i powolutku próbowałam zgiąć kolano, ale okazało się to niewykonalne. Z bólu chciało mi się rzygać.

– Orias cię lubi – powiedział Tarshish.

Jakiś trybik w mojej głowie wskoczył na swoje miejsce, bo raptem znów zaczęłam rozumieć polską mowę. Anioł wyglądał na zdziwionego. Najwidoczniej nie mieściło mu się w głowie, że bydło robocze mogło wzbudzać jakiekolwiek pozytywne uczucia.

– One NIKOGO nie lubią – kontynuował.

– Przecież jestem nikim – wycharczałam i znów zachichotałam jak obłąkana.

Hadarmiel coś powiedział, a Tarshish wzruszył ramionami i odstąpił na bok. Białowłosy puścił bestię i wyciągnął rękę.

– Chodź.

– *Założyli się. Jeżeli pójdziesz bez sprzeciwu, Tarshish cię zabije.*

Myśl wydawała się oderwana od rzeczywistości, jakby w jakiś sposób została wtłoczona do mózgu razem z informacją, że nieposłuszeństwo uratuje mi życie. Stałam więc, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze, i gapiłam się na wymowne ciemne rozbryzgi tu i ówdzie znaczące łuski anielskiego wierzchowca.

Tarshish wydał rozkaz i stwór posłusznie podążył do boksu, mijając mnie na wyciągnięcie ręki.

– Dzięki – mruknęłam, zanim pojęłam absurd sytuacji.

Dziękowałam potworom za darcie bliźnich na szmaty. Życie chyba nie mogło przybrać bardziej surrealistycznego kształtu.

Hadarmiel poruszył lekko latarką i natychmiast skupiłam na nim uwagę. Zrozumiał chyba, że go nie posłucham. W ostrym świetle twarz anioła wydawała się trupio blada, a oczy przypominały czarne dziury.

Nagłe wrażenie spadania w te otchłanie zepchnęło na margines wszystkie inne odczucia, wyparło gniew i bunt, złagodziło grozę szybciej i skuteczniej niż szpryca. Słyszałam o tym już wcześniej, bo po obozie krążyły różne pogłoski, ale jak dotąd nie doświadczyłam osobiście działania anielskiego uroku, który odbierał wolę i łamał wszelki opór.

Mechanicznie postąpiłam krok, chociaż rozum podpowiadał, że na uszkodzonej nodze nie zajdę daleko. Rzeczywiście, niemal natychmiast runęłam na posadzkę i skurczyłam się wewnętrznie w oczekiwaniu na ból. I ból nadszedł, szarpnął wszystkimi nerwami, ale nie mogłam nic z tym zrobić. Nawet krzyk uwiązł mi w gardle.

Mózg analizował dane, lecz nie towarzyszyły temu emocje, a ciało robiło to, co kazał mu ów szalony lalkarz, który w tej chwili nie miał w sobie niczego anielskiego.

Podniosłam się i popełzłam na czworakach. Gdzieś w tle Tarshish zanosił się śmiechem, a skrzydlate wierzchowce niespokojnie krążyły w swoich boksach.

Poczułam pod lewą dłonią masę czegoś obrzydliwie splątanego, mokrego, lepkiego i śliskiego. Hadarmiel wciąż trzymał mój wzrok na mentalnej smyczy, nie byłam więc w stanie sprawdzić, co to takiego, ale umysł usłużnie podsunął obraz wyrwanych z brzucha trzewi. Chciałam przesunąć rękę dalej, jednak raptem jakby przyrosła do posadzki. Zacisnęłam zęby i targnęłam niewidzialnymi więzami. Pociłam się i dyszałam z wysiłku.

Nagle anioł przerwał połączenie. Świadomość obecności obcej woli zniknęła jak zdmuchnięta, a uczucia i wrażenia powróciły. Zalała mnie fala strachu i wstrętu. Wyrwałam rękę z kłębowiska jelit i przewróciłam się na bok, wrzeszcząc z bólu.

– Chodź – powtórzył takim samym, wypranym z emocji tonem.

Nie wiedziałam, czy okazałam się wystarczająco krnąbrna, by zachować życie, ale tym razem posłuchałam. Po chwili zrozumiałam, że nie dam rady się ruszyć, choćby stu aniołów postanowiło się ze mną bawić we władcę marionetek.

– Proszę – wydyszałam jękliwie. – Proszę…

Hadarmiel przez moment patrzył na moje wysiłki, a następnie zgasił latarkę i świat na powrót pogrążył się w ciemnościach.

Natychmiast wyciągnęłam się na brzuchu i przytuliłam policzek do betonowych płyt korytarza. Przemknęło mi przez myśl, że oprawcy, swoim zwyczajem, znudzili się, że niedługo wyjdą i zapomną o całej sprawie.

Posadzka była przeraźliwie zimna, co w pierwszej chwili przyjęłam z ulgą. Spływałam potem; bawełniana koszulka przylgnęła mi do pleców, serce waliło jak werbel. Poprzez szum w uszach usłyszałam kroki, któryś postawił stopę tuż obok mojej głowy i przez chwilę byłam pewna, że kopnie mnie w twarz. Zacisnęłam powieki.

Nikt mnie jednak nie uderzył i po kilku sekundach, długich jak wieczność, kroki oddaliły się w stronę bramy.

Nie wierząc w swoje szczęście, leżałam w absolutnym bezruchu tak długo, aż zimno zaczęło przesączać się przez mokre ubranie. Stopniowo ogarniało mnie odrętwienie i pomyślałam, że doprawdy nie byłby to najgorszy sposób na zejście z tego świata. W tym momencie napłynęła jeszcze jedna myśl, niechciana i nie moja, natrętna niczym komar i niemożliwa do zignorowania jak ból zęba.

– *Wytrzymaj.*

Brzmiała zgrzytliwie i obco, tworzyła oślepiająco jasny punkt w mroku wypełniającym mi głowę.

– *Bez ciebie… źle. Wytrzymaj. On mówi: nie jesteś słaba. Pomoże ci. Wytrzymaj! Wytrzymaj!*

Po raz kolejny tej upiornej nocy z gardła wyrwał mi się obłąkańczy chichot. Najpewniej miałam złamaną nogę, leżałam wśród ludzkich szczątków i było bardzo prawdopodobne, że jeżeli w ogóle dożyję rana, Abalam każe mnie dobić. Na domiar wszystkiego słyszałam w głowie skrzydlatego konia, który w dziwaczny i niejasny sposób usiłował mi dodać otuchy. Mimo wszystko, zanim straciłam przytomność, pomyślałam:

– *Zobaczymy, co da się zrobić, bestio.*

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Anna Baj
Weryfikacja przyredakcyjna: Patrycja Pancerz
Korekta: Aleksandra Buczyńska, Anna Skrzypek, Kaja Jaroszewska, Maria Bernaciak
Weryfikacja: Magda Kowalewicz, Michał Gola, Anna Maria Kottas, Aleksandra Krasińska
Kontrola weryfikacji: Mariusz Flejszar
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Marcin Sumiński

ERA WODNIKA

Magdalena Owczarek

Szare spirale estakad wiły się i pięły nad ruinami starych osiedli warstwowo niczym pokłady gleby. Na samym dole w pyle i zawiesinach ginęły te antyczne, asfaltowe, a nad nimi górowały kolejki i gładkie tunele, obłe i niemal organiczne z wyglądu. Widawie zawsze wydawało się, że oddychają.

To było złudzenie, oczywiście. Prawie nic tu już nie oddychało. Ulicami nic nie jeździło.

– Nie powinnaś sama chodzić drogą. To niebezpieczne. Możesz zamieszkać gdzieś bliżej, przecież znajdziemy ci coś w centrum. Miejsca wystarczy dla wszystkich.

Miejsca może tak.

Widawa przemierzała tę trasę codziennie przynajmniej dwukrotnie. Lubiła chodzić, chociaż Opiekunowie nie byli w stanie tego zrozumieć, a i inni mieszkańcy ciągle jej się dziwili. Mniej więcej w połowie wędrówki przekraczała opalizującą barierę biodomy. To wewnątrz niej żyła większość wrocławian i tylko Widawa upierała się, by pozostać poza jej granicami.

– Ale jeśli zasoby znowu się skurczą, będziemy musieli być stanowczy, Widawo. Nie możemy podejmować aż takiego ryzyka, nie chcemy, żeby groziło ci niebezpieczeństwo.

Widawa dopasowała paski mocujące ochronną maskę – miały tendencję do luzowania się w najmniej dogodnych momentach – i włączyła noktowizję. Ziarno posłuchało komendy, ciemność rozjarzyła się zielonkawym poblaskiem.

Mogłaby zamieszkać gdzieś bliżej. Miejsca wystarczy dla wszystkich. Nie powinna sama chodzić drogą.

Szła, a pod jej stopami niszczały zapomniane dziesięciolecia.

Spacer w takich warunkach zajmował jej zazwyczaj około godziny, powrotny – około półtorej. Dzięki temu miała z głowy całe sto pięćdziesiąt minut w ciągu dnia. Sto pięćdziesiąt minut, podczas których jej jedynym zadaniem było wybranie właściwego skrętu na estakadzie i niepotknięcie się na popękanym asfalcie. Przynajmniej przez ten czas miała co robić i o czym myśleć.

Czasu też starczy dla wszystkich.

– Widzę, że dołączysz do nas za niecały kwadrans – powiedziała Opiekunka, gdy zza ciężkich, tłustych mgieł zaczęły majaczyć zrujnowane wieże średniowiecznych kościołów. – Przygotuję dla ciebie posiłek.

– Co dzisiaj jest?

To był żart, ale taki, którego Opiekunka nie miała szans zrozumieć. Jej gatunek nie rozumiał niczego, co miało związek z gotowaniem, poza tym, że było ono ludziom niezbędne do przeżycia. Naturalnie odbijało się to na jakości potraw; Widawa wiedziała, że inni walczyli o możliwość przygotowywania sobie posiłków samodzielnie, ale zdaniem Opiekunów prowadziło to do marnowania żywności i przede wszystkim wody.

Tej jednej rzeczy, której nie starczy dla wszystkich.

– Fasola, jak w każdy wtorek – odparła Opiekunka. – Ale miło mi poinformować, że w szklarni dojrzał czosnek. Będziemy dodawać go do twojej diety.

Jadali więc kasze bez smaku i zmielone chrząszcze, a suplementy witaminowe popijali wodą pod czujnym spojrzeniem Opiekunów.

Skanery medyczne wykrywały każde, nawet najmniejsze odchylenie od normy – wahania temperatury, spadek ciśnienia, zbytnie napięcie mięśni.

Poważniejsze przypadki stawiały na baczność cały system. Kilka miesięcy wcześniej Dobromierz złamał nogę. Opowiadał potem Widawie, że drony znalazły go i zaaplikowały znieczulenie, zanim sam się zorientował, że coś jest nie tak. Te same drony, które na co dzień prowadziły niezliczone drobne naprawy i konserwacje Opiekunów, biodom i samych siebie. Zawsze pozostawały w ruchu, zawsze czujne – kiedy nie pracowały nad zadaniem, wisiały wysoko nad miastem, piekąc się w bezlitosnym słońcu. Okazało się, że ich długie, giętkie odnóża radziły sobie z połamanymi kośćmi równie łatwo, jak z odsłoniętymi kablami.

Nawet teraz, na trasie do centrum, Widawa była obserwowana, mierzona, monitorowana, mimo że najbliższa forma Opiekunów prawdopodobnie znajdowała się dopiero koło biodomy.

– Mogłabym pomóc w szklarniach.

– Już o tym rozmawiałyśmy, Widawo: to skomplikowany proces, wymagający dużej precyzji.

– Potrafię być precyzyjna.

– Ziemia jest źródłem wielu chorób zakaźnych i grzybów, które stanowią śmiertelne zagrożenie. Sam tężec zabijał rokrocznie miliony ludzi. W powolny, bolesny sposób, Widawo.

Prawdopodobnie żeby oszczędzić jej wstydu, Opiekunka nie mówiła tego, co Widawa sama wiedziała: że ślamazarne ruchy człowieka nie mogły się równać z wydajną pracą dronów, że sama jej obecność zaburzyłaby mikroklimat szklarni, że specjalnie dla niej SI musiałaby przeprogramować działające bezustannie systemy, by uwzględnić zewnętrzną ingerencję.

Że bardziej by zaszkodziła, niż pomogła.

Oczywiście gdyby się uparła, Opiekunowie nie mieliby innego wyjścia, jak tylko spełnić jej kaprys. To tkwiło w ich kodzie, w samym

jego rdzeniu – dobrobyt ludzi miał stanowić priorytet, a dobrobyt to było, ach, tak bardzo szerokie pojęcie. Opiekunka kochała Widawę, więc w końcu zgodziłaby się na wszystko, co nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia życia.

Widawa kochała Opiekunkę, więc nie żądała niczego, co zagroziłoby jej życiu.

– Mogę pomóc przy kopaniu nowej studni – zaproponowała cicho, bardziej z uporu niż naprawdę licząc na zgodę.

– Prace przy studni zostały chwilowo wstrzymane.

Widawa niemal zmyliła krok.

– Jak to? Myślałam, że to priorytetowy projekt?

– Zmienił się wiatr.

– Co? Co to ma do rzeczy?

– Może się okazać, że nie będzie potrzebna. Badamy w tej chwili inne opcje.

– Jakie mogą być inne opcje?

– Właśnie to badamy.

To mogło oznaczać cokolwiek, ale przede wszystkim jedno: że Opiekunka nic więcej Widawie nie powie.

***

Półprzejrzyste ściany wrocławskiej biodomy rozświetliły się, gdy Widawa się do nich zbliżyła. Błony zmętniały i zmiękły, a wtedy przecisnęła się przez wilgotną bramę odkażającą i w końcu odsłoniła twarz.

– Dobrze cię widzieć, Widawo – powiedziała Opiekunka, podleciawszy na jej powitanie w jednej ze swoich fizycznych form, niewielkiej, zwrotnej i kolorowej. – Akurat goszczą u nas również Dobromierz, Milicz i Barycz. Chcesz do nich dołączyć?

– Mogę z nimi zjeść?

– Na pewno się ucieszą. Pokój zielony.

Jej widok faktycznie ucieszył Dobromierza i resztę – w każdym razie bardziej niż obiad, który wjechał zaraz po niej. Wskazali Widawie miejsce dokładnie pośrodku, jak gościowi honorowemu. Wszyscy mieszkali wewnątrz biodomy, blisko centrum, a zatem spędzali razem dużo więcej czasu niż z nią.

Widawa mogła wymienić imiona, daty urodzin i cechy charakterystyczne każdego człowieka żyjącego w promieniu pięćdziesięciu kilometrów.

Pięćdziesięciu, stu, pięciuset. Nie miało to znaczenia. Nie było życia poza Wrocławiem. W każdym razie nie takiego, jakie siedziało teraz przy stole – organicznego, wszystkożernego, uzależnionego od kaprysów słońca i gleby.

– Co tam na wschodzie?

Skóra płatami schodziła z odsłoniętych rąk Baryczy; różowa, podrażniona, kruszejąca jak stara zaprawa. Dziewczyna siedziała w oddaleniu od pozostałych, zresztą żadne nie zbliżało się do pozostałych bliżej niż na metr. Przestrzeń to uzależnienie, którego ciężko się pozbyć.

Widawie programowano: kiedyś w mieście żyło tak wielu ludzi, że szybkie kolejki zabierały po całe setki naraz w jednym wagonie.

W wolne dni (koncept, którego przyswojenie zabrało jej dłuższą chwilę) ludzie zbierali się w specjalnie wyznaczonych do tego bazach w takiej liczbie, że brakowało dla nich miejsca.

Jeśli potrzebowali skanu medycznego lub pomocy sanitarnej, musieli czekać tygodniami, a nawet miesiącami na swoją kolej.

Widawa widziała nagrania. Czytała książki. Nie tylko ich najnowsze edycje – podczas którejś ze swoich eksploracji odkryli z Dobromierzem analogowe, rozpadające się wydania, niewątpliwie stworzone przez pokolenia przed antropogeddonem.

Masy. Sfory. Olbrzymie ludzkie hordy, teraz ciche i martwe, leżące gdzieś na najniższych poziomach, pod piętrami estakad,

w nagrobnym cieniu starych mieszkalnych bloków ściśniętych blisko siebie ponad wyobrażenie. Widawa widziała – Jagodno, Partynice, wszystkie te miejsca, gdzie sąsiedzi mieszkali okno w okno, niemal oddychali sobie w kark. Tylu ludzi; zostawili po sobie wyschnięte skorupy miast – i Opiekunów.

Dobromierz obserwował ją jakby uważniej niż zwykle, ale Widawa nie odbierała od niego żadnych alertów, żadnych wiadomości.

– Widziałam ostatnio szczura – zakomunikowała. – Spasiony był, ciekawe czym.

Wzbudziło to zainteresowanie, ale nieprzesadne. Szczury nie stanowiły tak rzadkiego widoku jak wiewiórki czy ptaki.

– Pewnie innymi szczurami – mruknął Milicz, skrobiąc bez zainteresowania widelcem po talerzu.

– Powinnaś zamieszkać tu przy nas. – Barycz puściła jej oko.

– Tak, Wi, chodź do nas.

– A może wy chodźcie do mnie.

– Żeby zasuwać codziennie taki kawał na obiad? Nie, dzięki.

Mówili to przy każdym spotkaniu. Nie mieli zbyt wielu innych tematów.

– Ktoś wie, co to za nowe plany? Te ważniejsze od kopania studni? – spytała Widawa.

Szansa, że ktokolwiek wiedział więcej od niej, była znikoma, ale i tak musiała spróbować.

– O czym ty mówisz? – Barycz przekrzywiła głowę na bok.

– Podobno zawiesili prace nad nową studnią. Dlaczego?

– Dowiecie się w odpowiednim czasie – wtrąciła aksamitnym głosem Opiekunka. Jej ciała nigdzie nie było; wszyscy odebrali komunikat bezpośrednio. – Kiedy skończymy analizy. Nie chcemy być gołosłowni.

To zamykało temat.

Rozmawiali potem jeszcze o tym, co się komu śniło, o nowych butach, które zamówiła u Opiekunów Barycz, i o pogodzie, a raczej jej

braku. Gdzieś pomiędzy nieśmiesznym żartem o fasoli a dokładką ryżu Dobromierz wcisnął Widawie w rękę mały świstek papieru – czego oczekiwała od momentu, kiedy dowiedziała się, że przyjaciel jest w centrum.

Przeczytała go dopiero podczas powrotnej wspinaczki na estakady.

Wiadomość wyglądała obiecująco.

***

Spotkali się niedaleko ruin Mostu Grunwaldzkiego, w miejscu, które oboje dobrze znali – Widawa z doświadczenia, a Dobromierz ze żmudnego oglądania archiwalnych nagrań.

Długie godziny wypełniał sobie wgrywaniem i oglądaniem starych materiałów, również tych nieruchomych i monochromatycznych. Nakładał stare dane geolokalizacyjne na trójwymiarową mapę projektowaną przez Opiekunów, a wszczepka wysyłała mu alerty za każdym razem, gdy mijał coś, co mogło być kiedyś piękne.

Czasem, gdy szli gdzieś razem, Widawa słyszała uprzejmego lektora. Wdrapywali się na ściany starego rzecznego koryta: „Tu kiedyś była biblioteka uniwersytecka". Szukali przejścia w labiryntach pogiętego metalu: „Sky Tower był najwyższym biurowcem w całym kraju". Próbowali odtworzyć szlak starej linii kolejowej: „Przechodzimy nad galerią handlową, której nazwa miała nawiązywać do promocyjnego hasła »Wroclove«".

No i woda. To się przewijało nieustannie: jesteśmy nad rzeką, tu była fosa, a tu wyspy, a tu most, most, most. Wyspa, na której powstało miasto; wyspa, na której się odpoczywało; wyspa z rzeźbą; trójkątna wyspa. Albo jeszcze – powodzie. Woda, która stała aż dotąd; woda, która rozlała się na całe dzielnice; woda, w której gniły śmieci.

Ze wszystkich obrazów ten ostatni zakodował się Widawie najdokładniej; zafascynowana, godzinami oglądała stare zdjęcia.

Opiekunowie lubili, gdy ich podopieczni badali historię, bo było to hobby mało obciążające, w miarę bezpieczne i wymagające niskich nakładów energii. Udostępniali im wszystkie odziedziczone archiwa, a na potrzeby organicznych mózgów stworzyli nawet poręczny system katalogowania. Oczywiście nie przewidzieli, że teoretyczne poznanie tematu naturalnie prowadzi do praktyki; w końcu sami nie mieli takiej potrzeby.

– Jesteś pewny, że możesz już iść? Z tą nogą? – zapytała Widawa zamiast powitania, gdy Dobromierz w końcu wyłonił się z żółtosinej mgły.

– Jeśli masz mnie tak dość, możesz mnie po prostu gdzieś zostawić po drodze – zażartował. – Na pewno cię nie dogonię.

– Ale ja mówię poważnie. To jest ostro w dół i potem znów ostro w górę, a ty jesteś ranny.

– Nie jestem ranny, byłem ranny. I tak mi mówią, że mam rozruszać tę nogę. Znasz mnie, dam radę.

– Wiem, wiem, nie marudź już.

– To ty kręcisz nosem.

– Dobra, chodźmy, musimy zdążyć do zoo, zanim całkiem zniknie światło.

Nie żeby robiło im to wielką różnicę; w dzień panował co prawda półmrok, w którym widoczność była odrobinę lepsza, ale tam, dokąd zmierzali, nic z tego nie miało znaczenia. Estakady i ruiny rzucały na wszystko cień, niezależnie od godziny czy pory roku.

Zeszli z głównej drogi na jedną z węższych, łączącą łagodnym łukiem niższe poziomy z główną aleją. Z góry trasa wyglądała na zawaloną, ale Widawa wiedziała, że znajduje się tam wyrwa, przez którą mogli – przy zachowaniu dużej ostrożności – przejść. Zerwane zbrojenia dało się również wykorzystać jako schody na

jeszcze niższy poziom, tam, skąd mogli dostrzec już pierwotne partery budynków.

A także trupy.

Nie dało się tego uniknąć. Opiekunowie przez długie lata robili wszystko, żeby zapewnić pochówek umarłym, ale na pewnym etapie nawet oni musieli zacząć priorytetyzować, na co wydadzą zasoby dostępnej energii. Sprzątanie trupów było zajęciem żmudnym i symbolicznym, drugoplanowym, zwłaszcza gdy ci, którzy przetrwali, potrzebowali jedzenia, wody, podstawowych środków do życia, sieci komunikacyjnej, organizacji. Opiekunowie musieli wybrać i zgodnie z dawno zaimplementowanymi protokołami – wybrali żywych.

Umarli nie bardzo wyglądają jak ludzie – myślała Widawa, gdy razem z Dobromierzem ostrożnie przeskakiwali między gruzami zawalonych przęseł. *Są nadzy. Nie – są obnażeni. Bez ziaren, barier, kombinezonów. Bez masek, filtrów, Opiekunów.*

Widawa poprawiła własne ochronne gogle. Dobromierz szedł za nią, a przez kom słyszała jego sapanie.

No trudno. Najwyżej w drodze powrotnej zrobią więcej przerw. To była stroma trasa, ale nie aż tak: powinien dać radę, jeśli tylko Widawa będzie dalej udawać, że niczego nie widzi ani nie słyszy.

Przystanęli przy jednym z jej ulubionych miejsc – pod złamanym wiaduktem, który kiedyś był Mostem Zwierzynieckim. Wisiał kilkanaście metrów nad ich głowami, ocalały w połowie, z metalowymi zębami zbrojeń wystającymi ze złamanej bieżni. Druga połowa mostu zawaliła się już dawno, tworząc wygodne, chociaż dość strome schody. Wiatr huczał wokół nich, rozpędzony podróżą przez wąwóz, który zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej rozszerzał się w szeroką nieckę.

– Jak tam, Dobromierz?

– W porządku, Wi – skłamał.

Widawa zdawała sobie sprawę z tego, że stali na dnie starego koryta rzeki, ale nie potrafiła sobie tego wyobrazić, mimo że ziarno usłużnie podsuwało jej zapamiętane archiwalne zdjęcia i nagrania. Wody wypełniającej całą tę przestrzeń; wody sięgającej aż podstaw mostu; wody przelewającej się przez Wrocław niestrudzenie, nieustannie, przez całe stulecia.

– Powinniśmy już ruszać.

– Tak, tak – odparła, jakby to ona ich spowalniała.

– Nie masz wrażenia, że ostatnio jakby wieje z innej strony?

– O czym ty mówisz?

– Czytałem gdzieś, że prądy morskie mogą wpłynąć na kierunek wiatru nawet w głębi lądu.

– Chciałabym kiedyś zobaczyć morze.

Wdrapali się po zawalonym moście wolno, dużo wolniej, niż Widawa zakładała. Wiatr napierał na nich ze znaczną siłą, huk zagłuszał jakąkolwiek niewspomaganą komunikację, a skruszały asfalt uciekał im spod stóp. Ale weszli, i to bez wypadków; na ostatnim progu Dobromierz ją podsadził, a ona pomogła mu się wciągnąć.

Siedzieli potem na ziemi dłuższą chwilę. Widawa wyłączyła mikrofon, żeby móc bezkarnie podyszeć i wyrównać tętno. Wiedziała, że jeśli coś zaniepokoi Opiekunów – nagła podwyższona aktywność nocyceptorów, zbyt gwałtowny wyrzut adrenaliny do systemu albo chociażby palpitacje serca – to zaraz będą mieli na głowie pięć dronów i zrzędzenie Opiekunki, proszącej, żeby wrócili do domu.

Gdyby tylko Opiekunowie mogli dyktować ludziom, co robić, Widawa, Dobromierz i wszyscy inni wiecznie siedzieliby w ochraniaczach i kaskach pod bezpiecznym cieniem biodomy.

– To tu?

– Gdzieś tutaj, tak.

– Szkoda, że nie mamy więcej czasu. Tu były same ciekawe rzeczy. Parki, ogrody…

– Z tych raczej dużo nie zostało.

– …ale też ogromna Hala, i wieża, i pergola…

– Co to jest pergola?

– Taka osłonięta ścieżka.

– I dokąd prowadziła?

– Dookoła.

– Dookoła czego?

– Po prostu dookoła. Jak nie chcesz, to nie pójdziemy.

– Sam mówisz, że nie mamy dużo czasu. Ale jeśli starczy, to tak, chcę. Oczywiście, że tak.

Chciała zobaczyć, wokół czego przechadzali się ludzie. I przed czym postawili osłonę. I Halę, naturalnie – nie sposób było jej nie kojarzyć, jeśli kiedykolwiek otworzyło się archiwum.

Ale najpierw Dobromierz znalazł wyrwę w zrujnowanym murze i oboje się przez nią przecisnęli – nie było to trudne, mimo że ceglane ogrodzenie przetrwało próbę czasu. Tu i ówdzie straszyły wysuszone kikuty drzew, a im bliżej muru się znajdowały, tym w lepszym stanie były. Przeszli na teren zoo, jakby przechodzili do innego świata – cichszego, starszego, ukrytego przed resztą cywilizacji.

Nawet w półmroku i noktowizji widok robił wrażenie: skamieniałe drzewa, osypujące się mury, skruszałe zęby starych ogrodzeń i bielejące szkielety zwierząt. Widawa przed wyprawą wgrała sobie tyle informacji o zoo, ile tylko mogła. Chwilę zajęło jej zrozumienie funkcji całego przybytku – zwłaszcza gdy okazało się, że wrocławski ogród ze zwierzętami nie tylko nie był jedynym na świecie, ale nawet nie jedynym w kraju. Ludzie podchodzili do klatek i patrzyli na zwierzęta, nawet takie, jakie na co dzień jedli. Potrafili spędzać tak całe dnie.

Było to dla niej niezrozumiałe, dopóki nie uświadomiła sobie, że codziennie przy obiedzie opowiada przyjaciołom o spotkaniach

ze szczurami, karaluchami i wronami. Że czasem nawet jakieś wymyśla i jest pewna, że inni robią tak samo.

– Jak myślisz, co to było? – Dobromierz poświecił w głąb wnęki, która kiedyś musiała być klatką zwierzęcia, mimo że jej rozmiary znacznie przekraczały oczekiwania Widawy. I rzeczywiście, pod stosem śmieci oraz nawianego pyłu bieliły się świetnie zachowane kości.

– Czekaj.

Ziarno wertowało bazy danych, aż w końcu wyświetliło potencjalne profile.

– Prawdopodobnie jakaś małpa człekokształtna. Może orangutan, może szympans.

– Bałem się, że człowiek.

– Nie różnili się tak bardzo, co?

– Ale miały dużo przestrzeni… Nie tak wyobrażałem sobie to miejsce.

– Nic dziwnego, że potrzebowali takiego dużego terenu na całe zoo, jeśli jedno zwierzę zajmowało tyle miejsca. Na mapach wyglądało to absurdalnie.

– Jak zaczynały skakać temperatury – Dobromierz mówił zafascynowanym, marzycielskim tonem, który Widawa słyszała często i nauczyła się kojarzyć z przydługimi wykładami – a nawet wcześniej, jeszcze przed antropogeddonem, różne zoo stały się takimi jakby ośrodkami badań i ochrony gatunków.

– I co?

– Co „co”?

– Ochronili coś?

Pożałowała tego pytania, ledwie przebrzmiało. Dobromierz milczał dłuższą chwilę, niby szukając drogi przez zrujnowane alejki.

– Podobno udało im się spowolnić wymieranie. Na trochę. Dla niektórych.

Miała odpowiedź na końcu języka – że dlaczego walczyli ze skutkiem, skoro mogli z przyczyną, oni, ci pustoocy ludzie z przeszłości, którzy mieli luksus codziennego przechadzania się nad płynącymi rzekami? – gdy jej pole widzenia rozpaliło się czerwienią automatycznego alarmu.

Minęła chwila, zanim się zorientowała, na co zareagowało ziarno, ale wtedy już ściskała Dobromierza i ciągnęła go za bezpieczny wyłom ogromnego wybiegu.

– Widziałeś?

Nie odpowiedział, chyba przepuszczał analizy, a to oznaczało, że nie zwidziało się jej: na południu, daleko za zerodowanymi murami zoo i wysuszonym kanionem, widniało światło. Tak jasne, że docierało do nich nawet przez wiecznie podniesiony kurz.

– Co to jest? – szepnęła Widawa, mimo że zniżanie głosu nie miało żadnego sensu. – Nie widzieliśmy tego wcześniej… Prawda?

Zobaczyła, jak Dobromierz kręci głową.

– Nigdy – odpowiedział po chwili, ostrożnie wychylając się za wyłom. – Nic… Nie wiem, co…

– Może to Opiekunowie?

Mruknął coś mało konkretnego w odpowiedzi, przytulił się do ściany wyłomu i wstał, wciąż pochylony, jakby światło mogło i zamierzało go zaatakować. Widawa dołączyła po chwili wahania, której się od razu zawstydziła.

– Dawno nie byliśmy w tej części miasta – powiedział w końcu.

– Nie widzielibyśmy tego z centrum? – upewniła się.

Jej ziarno nie radziło sobie z problemem; analizy rozbijały się o zakłócenia, o słabą widoczność, o brak zdefiniowanej odległości. Danych nie wystarczało, żeby pokazać na mapie, gdzie znajduje się źródło światła, i Dobromierz ewidentnie zmagał się z tymi samymi przeszkodami.

– Budynki by zasłaniały, tutaj masz właściwie otwartą przestrzeń.

– Czy ono się rusza?

– Nie, to przez wiatr, po prostu jest bardziej lub mniej przesłonięte pyłem. Ale tak wysoko…

– Góra? Wieża?

– Jaka góra, zwariowałaś?

– Przecież nie dron. Nie tak nieruchomo w tym wietrze.

– Myślę, ale…

Ale tu nic nie powinno ustać, nie na tym pustkowiu, nie poza zasięgiem Opiekunów.

Opiekunowie – przypomniała sobie Widawa. Musieli krążyć gdzieś blisko; czy widzieli to samo, co ona i Dobromierz? Powinni przecież sczytać dane z ich feedów, coś tak dziwnego algorytmy na pewno by wyłapały. Czy reagowali? Gdyby ludziom groziło niebezpieczeństwo, pojawiliby się od razu.

Ich nieobecność uspokajała, ale niczego nie wyjaśniała.

– Musimy im o tym powiedzieć.

Nie sprzeciwił się, nie zaprotestował, nawet specjalnie nie poruszył – po tym poznała, że już sam o tym myślał, ba, może już kodował raport dla Opiekunów. Oboje kochali swoje wyprawy i kochali udawać, że wierzą we własną samodzielność, ale wszystkie te autoiluzje rozsypywały się w nieruchomym świetle zza zasłony piachu.

– Już wiedzą, Wi.

Przełknęła ślinę. Raz, drugi, trzeci, aż w końcu odzyskała wiarę we własny głos.

– Dobrze.

***

Zdjęła maskę z twarzy, jeszcze przeciskając się przez miniaturową biodomę, którą Opiekunowie postawili wokół domu Widawy. Powietrze natychmiast rozpaliło jej policzki i wysuszyło pot na

skórze; burze musiały ostatnio się pogorszyć, skoro nawet filtry mieszkalne nie niwelowały ich efektów.

Może to przez ten wiatr, który niby się zmienił.

Ale oddychanie jedynie przez maskę też nie wchodziło w grę, nie na dłuższą metę. Co dwanaście godzin powinno się wprowadzać ręczny reset techniczny i przez co najmniej pół godziny oddychać wolno pod biodomą dla zdrowia ludzkich organizmów. Niektóre implanty wymagały też codziennej konserwacji. Dlatego przecież Opiekunowie nie lubili jej długich spacerów: zbyt wiele mogło się zdarzyć.

Na panelu kontrolnym licznik wody migał powoli pomarańczowym alertem. Widawa zaklęła głośno, chociaż przez wyschnięte gardło brzmiała raczej żałośnie nawet w swoich własnych uszach. Z mycia pozostało jej dzisiaj co najwyżej przetarcie się dezynfekującą ścierką – po swoim codziennym spacerze i dodatkowej wyprawie będzie musiała się powstrzymywać, by nie wypić całego zapasu na raz, a jakakolwiek kąpiel była poza dyskusją. Nawet – zwłaszcza – przy tym upale.

– Dobromierz dotarł bezpiecznie do siebie. – Widawa usłyszała kojący głos Opiekunki.

– Dzięki. – Nic nie pomagało na chrypę; miała wrażenie, że coś oblepiło jej gardło i nie mogła tego wykaszleć, bez względu na to, jak bardzo próbowała. – Wiecie już, co to było?

Opiekunka – tym razem bezcielesna, ukryta za holo panelu kontrolnego – nie zawahała się, bo nie mogła się zawahać, ale odpowiedziała później niż zazwyczaj.

– Wciąż przeprowadzamy analizy.

– Analizy? Nie możecie po prostu wysłać drona?

– Nasze siły są teraz bardzo rozciągnięte, Widawo.

– Dlaczego? Co się zmieniło?

To ta sprawa ze studnią; coś musiało się zmienić. Ale co? Co mogło być tak ważne, że nawet nowe, przerażające światło spoza biodomy nie niepokoiło Opiekunów?

„Czytałem gdzieś, że prądy morskie mogą wpłynąć na kierunek wiatru nawet w głębi lądu" – mówił Dobromierz.

– Musimy brać pod uwagę różne czynniki, Widawo. Nasza sieć jest zcentralizowana, a zasoby zawsze poświęcaliśmy na stabilizację waszych ośrodków. I nie bez przyczyny postawiliśmy dla was biodomy blisko naszych własnych pylonów zasilających. Nie mamy zbyt wielu dalekozasięgowych dronów.

– Czyli… Nie macie kogo tam posłać?

– Nie bez zagrożenia utratą łączności. Możemy zaryzykować i wysłać pojedynczą sondę, ale jeśli ją zgubimy, to szanse na ponowne połączenie spadają niemal do zera.

– Więc nic z tym nie zrobicie?

– Jeszcze nie wiemy.

– Wolne żarty. Zawsze podejmujecie decyzje w ułamkach sekund. Nie musicie się zastanawiać.

– Ale rachunki prawdopodobieństwa zmieniają się z minuty na minutę w zależności od ogromu czynników. Jednym z nich są prognozy pogody; w ciągu piętnastu godzin wichury mają się pogorszyć na ponad dobę. Z drugiej strony, nie wiemy, czy nie jest to zagrożenie wymagające szybkiej reakcji. Liczymy. Decyzje podjęte w oparciu o niejednoznaczne dane są bezzasadne. Więc zaczekamy.

– Ile?

– Dopóki nie uwidocznią się jednoznaczne trendy.

– A co, jeśli światło w tym czasie zgaśnie?

Na to Opiekunka nie odpowiedziała.

– Ja mogłabym pójść.

– Nie możemy tego pochwalić.

– To logiczne rozwiązanie – upierała się Widawa, a ziarno uspokajało jej tętno. – Nie potrzebuję połączenia, mogę improwizować i jako jedyna we Wrocławiu mam doświadczenie w terenie. I zdrowe obie nogi.

– Nie możemy tego pochwalić – powtórzyła Opiekunka.

– Dlaczego? Mogę pomóc.

– To my pomagamy wam. Nie narażamy was na niebezpieczeństwo. Nie takie jest nasze zadanie.

Opiekunka przerwała na moment – wystarczająco długi, by Widawa zdążyła wymienić filtry w masce. Stare lepiły jej się do palców; marzyła o kąpieli, dałaby wszystko za choćby pobieżne umycie się prawdziwą wodą.

– Nie narażaj się, Widawo. Od narażania się jesteśmy my.

***

Dwanaście godzin.

Dwanaście godzin to bardzo mało na cokolwiek, a już z całą pewnością na tę rzecz, której Widawa wcale nie zamierzała zrobić.

Po sześciu po prostu zawróci i tyle. Nawet przy bardzo słabej widoczności będzie w stanie kierować się bioluminescencyjną łuną głównej biodomy, a jeśli to także zawiedzie – pozostawał jeszcze prymitywny, wbudowany w kombinezon kompas, który wariował tylko przy naprawdę złej pogodzie.

A zła pogoda miała rozpocząć się dopiero za piętnaście godzin.

Nie potrafiła racjonalnie odpowiedzieć, dlaczego to robi – więc dobrze, że nikt jej o to nie pytał. Miało to coś wspólnego z ocienioną ścieżką koło zoo, która donikąd nie prowadziła, i złamaną nogą Dobromierza, i z Opiekunami, którzy nie mogli sobie pozwolić na stratę drona, i zapasem wody, który od tylu dni pozostawał na pomarańczowym poziomie.

Z wyprawami, na które się wymykała, i terabajtami archiwum, które ściągnęła do własnej pamięci, mimo że i bez tego miała do nich ciągły dostęp.

Zastanawiała się, czy Opiekunowie ją zatrzymają, i jeśli tak, to jak zareaguje. Nikt nigdy nie próbował uciekać, bo po co?

Opiekunowie nigdy nie robili niczego na szkodę ludzi. Przygotowywali posiłki, monitorowali zdrowie, budowali i konserwowali infrastrukturę. Jeśli pojawiały się konflikty i sprzeczne potrzeby – deeskalowali je i mediowali.

Nie pozwolili mi pomagać w szklarni – przypomniała sobie Widawa.

I jak niby miałaby się temu sprzeciwić? Wybić szyby, włamać się, pomagać na siłę – zabić wszystkie rośliny przez głupi kaprys?

Ale teraz to co innego.

Pierwszy raz w życiu miała na coś wpływ – ona i tylko ona. Jej autonomiczność jako istoty ludzkiej nagle zyskała sens. Oddzielenie od sieci i to, co do tej pory uważała za głupie biologiczne ograniczenia, z godziny na godzinę stały się zaletami.

Pierwszy raz w życiu mogła zrobić coś, czego Opiekunowie nie potrafili.

I zupełnie nie rozumiała, dlaczego ta myśl napawała ją takim lękiem.

Ruszyła tuż przed świtem; obliczyła, że zrobi się widno akurat, gdy wejdzie na nieznany szlak, a chciała złapać tyle dnia, ile tylko się dało. Idąc najwyższą wschodnią estakadą czuła bicie serce gdzieś w gardle i zamiast – jak zwykle – skręcić na niższy poziom, prowadzący do centrum, ruszyła dalej prosto, wzdłuż delikatnego łuku starej autostrady. W wiecznie ruchomym, targanym coraz mocniejszą wichurą piasku wydeptywała głębokie ślady, które znikały, zanim postawiła następny krok.

Światło, ciągle obecne i tak samo nieruchome jak poprzedniego dnia, wyznaczało jej drogę. Wędrówka nie była tak prosta, jak Widawa miała nadzieję, ale okazała się łatwiejsza, niż Widawa się obawiała. Szybko musiała zejść z estakady – miała do wyboru to albo próbować swojego szczęścia w skoku na dwanaście metrów, gdy okazało się, że część budowli zapadła się pod ciężarem lat. Cofnęła się do najbliższego bezpiecznego zejścia. Poprowadziło ją

w zupełnie odwrotnym kierunku, niż potrzebowała, ale ostatecznie okazało się to niewielkim problemem.

Wichury nabierały rozpędu na ogromnej, płaskiej równinie i z całą mocą waliły w południowe przedpola miasta. Budynki dawno się pozawalały, gruzy zwietrzały i uleciały; pozostały po nich jedynie powykręcane, rdzawe szkielety zbrojeń. Dawne ulice Widawa rozpoznawała tylko dzięki analizom ziarna, które na rumowisko nakładało stare mapy i prowadziło ją szlakiem tak bezpiecznym, jak to tylko było możliwe.

– Trochę jej pomagam, wiesz.

Głos Dobromierza zaskoczył ją, chociaż naprawdę nie powinien. Uspokoiła emocje ziarnem.

– Cześć. I tak, chyba wiem.

– Powoli wkraczasz na tereny, których Opiekunowie nie mapowali od dwudziestu lat. Powiedz, jeśli zobaczysz smoka.

– Dwudziestu lat?

Sama Widawa miała chyba niewiele więcej. Co oznaczałoby, że przez większość jej życia Opiekunowie nawet nie zaglądali poza Wrocław. Nie mogli? Nie potrafili? Zabraniały im protokoły czy zwyczajnie brakowało zasobów, by opuszczać miasto?

Co Opiekunka mówiła o pylonach?

– Wi?

– Jestem.

– Chciałbym z tobą zostać. Tak długo, jak to możliwe. Jeśli ci nie przeszkadzam.

– Nie zostawiaj mnie.

Tak długo, jak to możliwe. Co – Widawa miała pełną świadomość – wcale nie oznaczało długo.

Światło ciągnęło ją do siebie, a ona szła, powoli i niezgrabnie. Od czasu do czasu spoglądała na zegarek, na poziom zapasu wody i na odczyty ziarna – coraz mniej składne, coraz bardziej bełkotliwe.

Głos Dobromierza zaczynał ginąć w ryku wichury, zostawał w tyle jak samo miasto.

Ostatnie, co od niego słyszała, zanim interferencje całkowicie zjadły połączenie, to „pilnuj".

Nie była pewna, czego. Może wody. Może czasu. A może Wrocławia.

Po trzech godzinach zrobiła sobie pierwszą dłuższą przerwę. Ukryła się w wyłomie pod zawalonym blokiem mieszkalnym. Światło było bliżej, dużo bliżej, ale za to wędrówka robiła się trudniejsza; wiatr napierał z całą mocą, próbował przewracać, szarpał maską Widawy.

Żeby zawrócić, przyszło jej do głowy po raz pierwszy, gdy niefortunnie postawiony krok posłał ją twarzą w dół szerokiej rozpadliny. Wystający z gruzów pręt zerwał jej kaptur i – prawie – kable zasilające. Leżała potem w zagłębieniu, próbując kontrolować oddech, drżącymi rękami łatając przewody i mocniej zaciągając pasy mocujące maskę.

Jeśli tutaj umrze, nikt jej nigdy nie znajdzie.

Na takiej pustyni wystarczy kilka tygodni, by jej kości zaczęły wyglądać niemal tak jak te, które mijała po drodze.

Nie była w stanie wspiąć się z powrotem po ścianie rozpadliny, więc – chcąc nie chcąc – ruszyła jej dnem, modląc się o jakiś niewysoki uskok, na który mogłaby się wciągnąć. Tutaj przynajmniej nie szalał tak wiatr; jedynie piach osypywał się jej na głowę.

Marzyła, by kiedyś stanąć pod takim ostrzałem wody.

Ta kończyła się szybciej, niż Widawa początkowo zakładała. Zaczęła rzadziej sięgać do bukłaka i przed połknięciem dłużej trzymała każdy łyk w ustach.

Może powinnam była zawrócić – pomyślała o tym drugi raz, gdy zdołała wygrzebać się z rozpadliny i wiatr uderzył ze zdwojoną mocą, a trzymająca się na słowo honoru maska znowu zagroziła urwaniem.

Tyle że gdy oglądała się za siebie, nie widziała już bioluminescencyjnej łuny miasta. Za to białe światło znajdowało się niemal na wyciągnięcie ręki.

***

Zaczęła rozpoznawać kształty budynków po sześciu godzinach i siedemnastu minutach od rozpoczęcia marszu. Wszystkie mięśnie jej drżały, żołądek skręcił się w ciasny supeł, a wody zużyła o niemal dwadzieścia procent więcej, niż zamierzała.

Stała teraz, skryta za barykadą zardzewiałych wraków, i patrzyła na wysoką, wąską wieżę, na szczycie której płonęło ciągle białe, niewzruszone światło.

Nie wieżę. Komin.

Wiekowy komin elektrowni. Niedaleko znalazła starą blachę, na której – dzięki filtrom w ziarnie – odczytała kilka liter. „Siech" i nic więcej.

Widawa nie miała pojęcia, jakim cudem komin przetrwał. Według całej jej wiedzy, według wszystkiego, co zrozumiała na temat świata za Wrocławiem, to nie powinno być możliwe. Droga, którą dzisiaj przebyła, jedynie potęgowała poczucie surrealizmu; poza wrocławską biodomą wichury oraz słońce wysuszały wszystko i wszystko równały z ziemią.

Nie pozwoliła sobie na dłuższy postój ani rozmyślanie nad cudem, który nie miał prawa istnieć. Dzień powoli zmierzał ku końcowi; tak czy inaczej będzie musiała spędzić tu noc, więc lepiej, by do zmroku znalazła w miarę stabilne cztery ściany, zanim jej rozdygotane mięśnie zastygną w bolesnym skurczu.

Widawa ruszyła w stronę światła.

Zdążyła przejść dokładnie trzydzieści siedem kroków, zanim nieoczekiwanie zgasło – razem ze wszystkim dookoła.

***

Jeszcze zanim na dobre się przebudziła, wiedziała, że nie ma maski na twarzy. Panika rozpaliła wszystkie systemy na czerwono, od razu kazała Widawie rzucić się do biegu – ale zanim niezborne nogi jej posłuchały, coś uderzyło ją w twarz.

Odsłoniętą, piekącą twarz.

Ktoś mówił coś nad jej głową, ale minęła chwila, zanim skołowane ziarno przesterowało dźwięki tak, by złożyły się w zrozumiałe słowa. Hałas był obezwładniający: wycie wiatru, rozmowy dookoła, buczenie, którego nie rozpoznawała. Jej uszy nie radziły sobie z wyfiltrowaniem najważniejszych rzeczy bez wspomagania.

– …pewien? – mówił głos, chyba ludzki, i prawie na pewno nie do niej.

Widawa zamrugała, by jakoś pozbyć się pyłu z powiek.

– Obudziła się – stwierdził inny głos, wyższy, ostry.

– Ja pierdolę, widzisz jej oczy?! Co to, kurwa, jest?!

– Mówiłem wam! Mówiłem, że to jedna z nich! Zaczynają upodabniać się do nas!

Groza związała jej głos, ale nawet gdyby Widawa mogła mówić – nie wiedziałaby co. Siedziała na brudnej, lepkiej od jakiegoś dziwnie pachnącego tłuszczu ziemi, z ramionami wyciągniętymi nad głową i przywiązanymi do metalowego pałąka w ścianie.

I otaczali ją ludzie.

Przerażający, nieznajomi, odrażający – ale musieli być ludźmi, bo gdy otwierali pokancerowane usta, mówili w języku, który Widawa z grubsza rozumiała.

– To jedna z nich. – Ktoś do niej podszedł: zjawa z brudu i starych szmat, cuchnąca tak bardzo, że mimo odwodnienia Widawa od razu poczuła w gardle treść żołądka.

Widmo odsunęło z twarzy prymitywne gogle, ale to nie pomogło. Spośród blizn i brudu spoglądały na nią blade, puste, błyszczące oczy. Zupełnie jak u szczura.

– Z Wrocławia. Hej, dziwko, mam rację?

– Kim jesteście? – wychrypiała Widawa.

Przez powiadomienia, które ziarno wciskało jej przed oczy, naliczyła czternaście, może piętnaście sylwetek. Nigdy nie widziała tylu osób w jednym miejscu. Czyjaś para rąk obmacywała jej maskę, poruszając przewodami, grzebiąc w nakładkach. Chciała zaprotestować, ale z jej gardła wydobył się tylko żałosny jęk.

– Czekaj, Ada, tak niczego nie załatwimy. Daj mi.

Ten głos był spokojniejszy, głębszy. Jego właściciel podszedł bliżej i kucnął koło Widawy. Powoli odwinął z twarzy to, co u nich musiało uchodzić za osłonę. Pod nią były takie same blade, szczurze oczy osadzone w twarzy, którą ledwie można było uznać za ludzką. Między ropnymi pęcherzami i starymi zrostami majaczyła gdzieś resztka nosa oraz usta wąskie jak blizna.

Ten człowiek zrobił coś z twarzą – nagle rozciągnął usta na boki, by ukazać szpaler połamanych zębów.

Jak zwierzę broniące swojej nory.

– No już, nie ma potrzeby od razu zaczynać z wysokiego C. Jestem Paweł. A ty?

– W-W-Widawa.

Cała drżała. Nic nie mogła na to poradzić, ziarno nie dawało rady.

To wywołało jakieś poruszenie, ale Paweł ignorował swoich towarzyszy. Ciągle pokazywał jej zęby, ale Widawie przyszła do głowy myśl, że wcale nie wygląda przez to dużo groźniej.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie tutaj, Widawo.

– A j-j-ja was. Kim jesteście? Czy możecie mi oddać maskę? Duszę się bez niej.

Te słowa wywołały prawdziwą wrzawę; dopiero po chwili ziarno dostroiło się do takiej ilości dźwięku i Widawa zrozumiała, że to był śmiech. Huczący, bezlitosny śmiech, który zdołał na moment zagłuszyć nawet ryk wiatru.

– Nie, nie dusisz się. Zdjęliśmy ci ją prawie godzinę temu i ciągle żyjesz.

– Obczaj to w ogóle – powiedział ktoś za plecami Pawła, wskazując na jej zmaltretowaną maskę. – Skąd mają takie rzeczy?

– Skup się na mnie – powiedział Paweł i Widawa nie miała wyboru, jak tylko posłuchać. – Przyszłaś tu sama?

Że powinna zaprzeczyć, przyszło jej do głowy o wiele za późno.

– Dobrze. Z Wrocławia, tak?

– Zobaczyliśmy światło – wydyszała. – Nie potrafiliśmy tego wyjaśnić.

Blizny i pęcherze na twarzy Pawła znowu się poruszyły.

– Nie potrafiliście wyjaśnić – powtórzył po niej i uniósł dłoń, a za jego plecami zapadła całkowita cisza. – Powiedziałaś, że się nas tutaj nie spodziewałaś, tak?

Pokiwała głową.

– Macie wodę?

Paweł machnął ręką, ktoś coś zawołał, ktoś inny wzruszył ramionami i odszedł od grupy.

– Zaraz ci przyniesiemy. Znaleźliśmy przy tobie dwa litry. To była bardzo czysta woda. Dawno… Bardzo dawno takiej nie widziałem.

– Jest jej coraz mniej – wymamrotała Widawa. – Opiekunowie chcieli wykopać nową studnię… ale… ale…

Nie wiedziała, czego od niej chcą; nie była pewna, czy sama czegoś od nich chciała.

– To wy zapaliliście światło?

– Tak.

Ktoś podał Pawłowi brudną, rdzewiejącą menażkę, a ten przyłożył ją do ust Widawy, ostrożnie, by się nie zakrztusiła. Dało jej to chwilę na obserwację, ale nie pomogło uspokoić tętna ani uporządkować myśli.

To, co piła, w niczym nie przypominało wody, ale ziarno nie znalazło w tym żadnych oczywistych toksyn.

Więc Widawa piła.

– Jak? – Nie, to nie to pytanie. Nie tej informacji potrzebowała. – Po co?

– No cóż. Może faktycznie ci powiemy, ale wpierw musimy się chyba lepiej poznać. Ada, rozkuj ją, już wystarczy.

Ktoś się poruszył za plecami Widawy i ból w nadgarstkach zelżał. Ramiona opadły bezwładnie i potrzebowała chwili, by wszystkie mięśnie zaczęły jej na powrót słuchać. Paweł ciągle kucał obok, a gdy w końcu się pozbierała, pomógł jej wstać. Dźwignęła się na nogi i wokół rozległ się podekscytowany szmer.

– Co się dzieje? – spytała słabo.

Paweł trzymał jej ramię. Trochę za mocno.

– Niektórzy uważają, że jesteś jedną z nich.

– Z nich?

– Maszyną, dziecko. To przez twoje oczy. Chodź ze mną, musisz rozprostować nogi. Porozmawiamy w mniejszym gronie, tak?

Skinęła pokornie głową i zaraz tego pożałowała; miała wrażenie, że przez jej czaszkę biegnie rozpadlina zupełnie jak ta, do której wpadła zaledwie kilka godzin wcześniej. Ból pulsował przy każdym ruchu i zmiana pozycji wcale nie pomogła.

Oddychanie bez maski było torturą. Może i Paweł miał rację – nie dusiła się – ale miała wrażenie, że każdy wdech ściera jej płuca do krwi.

– Maszyną – powtórzyła. – Masz na myśli Opiekunów?

– To ci sami opiekunowie, którzy kopali studnię, tak?

A może spacer pomagał; myśli skraplały się w jeden ciąg, zamiast rozpraszać we wszystkie strony. Próbowała zignorować ból, kazała ziarnu przepchnąć go do procesów w tle. Trochę pomogło.

Tylko trochę.

– Skąd jesteście? Kim jesteście? Po co wam to… to światło?

Zostali teraz tylko ona, Paweł i Ada. Śmierdzieli tak bardzo, że gardło samo zatykało się jej w obronnym odruchu. Przy nich nie tylko czuła się czysta, ale wręcz wyszorowana, mimo że jej ostatnia kąpiel ograniczała się do przetarcia szmatą.

Oboje milczeli przez chwilę. Widawa nie potrafiła nic wyczytać z ich wyłupiastych, wilgotnych oczu, ale zdawała sobie sprawę, że wymieniają spojrzenia, przesyłają informacje, że nad jej głową toczy się całkowicie niezrozumiała dla niej rozmowa.

– Spotkałaś nas na końcu bardzo długiej, bardzo niebezpiecznej podróży, Widawo – powiedział w końcu Paweł z namysłem. – Wyruszyliśmy niedługo po Nowym Roku.

Nic to Widawie nie mówiło.

– Ale wyruszyliście skąd? Z innego miasta? Co się stało z waszymi Opiekunami?

– Byliśmy w górach. Twoi… Opiekunowie… nic ci o nas nie mówili, tak?

– Jakich górach?

– Odpowiedz nam na pytanie, dziecko.

– Nie, nie mówili. Powtarzam: nie wiedziałam, że was tu znajdę.

Ale nie o to pytał Paweł – zrozumiała, ledwo przebrzmiały jej słowa.

– I nic nie mówili o innych miastach – dodała. – Nie mogą utrzymywać łączności dalej niż kilkanaście kilometrów, może kilkadziesiąt przy bardzo dobrej pogodzie. Wrocław jest zamkniętym systemem.

A ja jestem od niego teraz odłączona.

Sama obecność tych ludzi, nie wspominając już o ich okaleczonych, ułomnych twarzach, kłóciła się ze wszystkim, co Widawa wiedziała. Nie potrafiła dostosować się do nowej sytuacji; nie miała pojęcia, co o tym myśleć ani do czego dążyć.

Dane były niejednoznaczne, a ziarno nie wiedziało, jak je filtrować.

– Paweł, czy ty jej słuchasz w ogóle? – odezwała się nagle Ada. – Jednak widać nas z Wrocławia.

– Tak, i jedyne, na co było ich stać, to przysłanie jej. Jednej osoby. Braliśmy to pod uwagę, zanim się rozdzieliliśmy.

– Ale przeszła tę trasę… przy tej pogodzie… w jeden dzień. Nie wiesz, na co jeszcze ją stać.

– Ada…

– Żeby cię tylko nie poniósł optymizm.

– Mój optymizm poniósł nas aż tutaj.

– Skoro ją wysłali w drogę, to będą jej szukać. Po prostu pamiętaj o tym.

Widawie starczyło rozsądku, by jej nie poprawiać; by nie mówić o tym, co mogli i czego nie mogli Opiekunowie, i że właściwie cała jej wyprawa była jedynie kaprysem wynikłym ze znudzenia oraz bliżej nieokreślonej obawy.

Nie była pewna, czy zrozumieliby pojęcie znudzenia.

– Chcecie dostać się do Wrocławia?

Czuła, jak palce Pawła zaciskają się mocniej na jej ramieniu, i była pewna, że on sam nie jest tego świadomy.

– Widawo – powiedział spokojnie, bardzo spokojnie, kiedy pod jego chwytem na jej ramieniu nabrzmiewał ból. – Wrocław to ostatnie żyjące miasto na południu. Wiesz o tym, prawda?

Milczała.

– Ja wiem… My o tym wiemy, bo od miesięcy podróżujemy. Zaczęliśmy… na wschodzie, w górach, o których pewnie nie słyszałaś. Widzieliśmy je wszystkie. Stare miasta, miasteczka, wsie. Zamość,

Kraków, Opole, Katowice. W niektórych były… Napotkaliśmy osady ludzi takich jak my, ale nie takich jak ty. Zostało nas już bardzo niewiele.

Chciała zaprzeczyć, zawołać, że przecież jest dokładnie taka jak oni, ale przecież doskonale wiedziała, że to nieprawda. Jej twarz nie przypominała karykatury, jej oczy nie były ślepe ani mokre, jej skóra nie broczyła ropą ani krwią.

– Są inne ośrodki takie jak Wrocław. Podobno. Spotykaliśmy podróżników, którzy rzekomo widzieli miasta-bańki pod morską wodą albo miasta ukryte za przezroczystym murem, który odpierał wichury, z kryształowymi wieżami sięgającymi słońca.

– To musiała być biodoma – powiedziała, zanim zdążyła się powstrzymać. – Opiekunowie stawiają je wokół centrów. Pod nią jest bezpiecznie, ale nie blokuje wszystkiego.

– A wieże?

Musieli mówić o pylonach Opiekunów. Widawa nie wiedziała, jak działają, poza tym, że zasilały całą infrastrukturę Wrocławia.

Na wszelki wypadek wzruszyła po prostu ramionami.

Ada zaklęła pod nosem. Widawa nie dosłyszała słów, ale intencji – oraz podziwu – w jej głosie nie dało się pomylić z niczym innym.

Paweł nie odpowiedział od razu, a gdy w końcu to zrobił, jego głos wydawał się inny niż poprzednio. Chrapliwy, złamany.

– Z technologią jak ta…

– Paweł, to jest to. Musimy być bardzo, bardzo ostrożni.

Ada teraz zupełnie ignorowała obecność Widawy. Część szmat opadła z jej twarzy; Widawa odwróciła wzrok, bo to, co kryło się pod nimi, w ogóle nie przypominało człowieka. Kątem oka zobaczyła coś białego wijącego się na skórze i więcej postanowiła nie dostrzegać.

– Przecież to oznacza…

– Ada! – syknął Paweł, już idąc, już odciągając towarzyszkę dalej od Widawy, za grupę ludzi, pod zrujnowane ściany, wystarczająco daleko, by ich rozmowa zginęła w huku wichury.

Ada odpowiedziała coś, czego Widawa nie wyłapała, ale co pozwoliło ziarnu się dostosować, wyfiltrować szum i oczyścić dźwięki.

– Myślisz, że nie wiem? – mówił Paweł. – Tak. Tak, bardzo ostrożni. Ale nie możemy po prostu zrezygnować… Przez ostatnie pół godziny dowiedzieliśmy się więcej niż przez ostatnie pół roku.

– A wykończą nas w piętnaście minut, jeśli zechcą.

Zrozumienie zalało Widawę, a razem z nim przyszły zaskoczenie i niedowierzanie.

– Mówicie o Opiekunach – powiedziała głośno, mimo że pewnie powinna milczeć, albo jeszcze lepiej: uciekać. Tyle że zmęczenie zamieniło jej nogi w słupy soli, a tłustym, cuchnącym powietrzem nie potrafiła oddychać. – Opiekunowie nigdy nikogo… Oni nas chronią.

Paweł szarpnął się i podszedł bliżej; gdzieś na marginesie świadomości zarejestrowała, że cała grupa się przed nim cofa. Cokolwiek wyrażała jego twarz, dla Widawy pozostawało niezrozumiałe.

Patrzyła na nich, pustookich, okaleczonych i śmierdzących, na ludzi, których nie powinno być, których nie było na mapach, którymi nikt się nie opiekował, którzy nie mieli swojego miejsca. Patrzyła na nich i myślała o Dobromierzu, jego złamanej nodze i niecałych pięciu minutach, które wystarczyły Opiekunom na uruchomienie procesów ratunkowych. O czosnku wyhodowanym specjalnie dla nich w strzeżonej szklarni.

– Tak, dziecko – powiedział Paweł poważnie. – Chronią was.

Jej ramię pulsowało bólem w miejscu, które wcześniej trzymał.

– Nas natomiast zabijali.

***

Woda.

Chodziło oczywiście o wodę.

Wrocław stał na pięciu rzekach. Po jednej z nich Widawa dostała zresztą imię – nie sposób było tego nie wiedzieć, żyjąc w małym świecie pomiędzy rozciągniętymi w nieskończoność dniami i nielimitowanym dostępem do archiwalnych nagrań. Miasto przez ponad millennium rosło na rzekach, dzięki rzekom i wokół rzek. A potem coś się zmieniło – globalnie, nie w samym mieście – i wody zaczęło spływać coraz mniej.

Wrocław nie był pod tym względem wyjątkowy.

O tym wszystkim Widawa doskonale wiedziała: o uchodźcach z północy zalanej przez słone morze i z wysuszonego na wiór południa, o bezlitosnym racjonowaniu wody pitnej i żywności, o wojnach o wodę, o tym, jak postępowało pustynnienie i jak zbawcza okazała się pomoc maszyn. Pierwotnym zadaniem Opiekunów była automatyzacja wszystkich procesów produkcji żywności, bo to w tym sektorze maszynowa precyzja była najpotrzebniejsza – ludzie nie mogli sobie pozwolić na stratę chociażby litra zdatnej do picia wody. Potem maszyny stopniowo przejmowały na siebie kolejne funkcje: ochrony zdrowia, konserwacji infrastruktury i w końcu – opieki nad tymi, którzy przetrwali. Zajmowali się tym wszystkim, co ludziom było niezbędne do przetrwania, bo sami przeżywali o słonecznym świetle i wietrze – tych samych rzeczach, przed którymi chronili swoich podopiecznych.

Antropogeddon nigdy tak naprawdę się nie zakończył, ale to dzięki Opiekunom mogli zapomnieć, że kiedykolwiek się zaczął.

– I nie widzisz w tym wszystkim luki? Przecież na nas patrzysz, Widawo. – Paweł mówił cicho, niskim, chropowatym głosem, który gubił się w nieustającym hałasie burzy piaskowej.

Ada siedziała trochę oddalona, pilnując tego, co uchodziło za drzwi.

– Widzisz, że różnimy się od ciebie tak, jak ty od nas. Te oczy – dotknął boku jej głowy szybkim ruchem, zanim zdążyła się odsunąć – to przecież prezent od tych twoich Opiekunów. Założę się, że dali ci więcej. Wspomaganie, którego my nawet nie potrafimy sobie wyobrazić.

Kark Widawy – miejsce, gdzie dawno temu zaimplementowano ziarno – zaswędział, ale zdusiła potrzebę podrapania się.

– Dali wam wszystko, co tylko mogli. Zmienili was, żeby było wam łatwiej, żebyście mieli jakiekolwiek szanse przeżycia w tym piekle. Żeby łatwiej im było opiekować się wami.

– Jeśli wszystko, co mówisz, jest prawdziwe – odezwała się Ada z przejścia – to możemy sobie zwinąć w tubkę i wsadzić w dupę wszystko, co myśleliśmy o buncie maszyn.

– Buncie…

– No właśnie.

– To nie był bunt, jeśli tylko wykonywały rozkazy – powiedział Paweł i w jego głosie pojawiło się coś nowego; coś gardłowego, dysharmonicznego. – Zawsze mówiłem, że za tym musiało stać coś więcej. Za dużo pracy włożono w budowę samodzielnej sztucznej inteligencji, żeby bunt, prawdziwy bunt, był prawdopodobny.

To były fragmenty cudzych rozmów, tyle Widawa wiedziała; Paweł i Ada ciągle odwoływali się do wątków, które niewątpliwie wielokrotnie poruszali wcześniej. Każde ich zdanie odkrywało przed nią całkiem nowy świat; był co prawda odstręczający, lepki i straszny, ale nowy.

I pełny.

– Ich nadrzędnym zadaniem jest ochrona ludzi – powiedziała Widawa cicho. – Nie wierzę w to. W wasze… waszą wersję. Opiekunowie pilnują, żebym się sama przez przypadek nie potknęła. Dbają o każdego człowieka we Wrocławiu.

– Ale my nie jesteśmy we Wrocławiu, prawda? – warknęła Ada, zanim Paweł zdążył uciszyć ją gestem. – Jaką masz pewność, że nie uznają ciebie za jedną z nas, gdy do nich wrócisz?

– Zajmowali się mną, od kiedy tylko pamiętam – powiedziała Widawa przez ściśnięte gardło. Mimo zimnych dreszczy na plecach wstała z kucek płynnym ruchem, którego nie była do końca świadoma. – Opiekunowie ginęli, żebyśmy my byli bezpieczni! Nie wyobrażasz sobie tego! Nie jesteś w stanie!

– Opiekunowie zabijali – odparła Ada, niewzruszona, ze swoimi pustymi oczami, które niczego nie mogły widzieć, nie tak, jak Widawa widziała. – Nas. Ludzi jak my. Żeby ochraniać takich jak ty. – Każde słowo Ada cedziła, jakby nie była pewna, czy Widawa zrozumie. – Tysiące. Miliony. Skazanych na śmierć przez jebane protokoły.

Powinna była uciekać – nie teraz, teraz to było niemożliwe, gdy Ada stała jej na drodze, a Paweł czaił się za plecami. Powinna była to zrobić wcześniej, dużo wcześniej, ledwo stanęła pod wysokim kominem starej elektrociepłowni – a może właśnie nigdy nie powinna była uciekać, tylko zostać we Wrocławiu i dać się ochraniać?

Ikona braku zasięgu migała w kącie pola jej widzenia, od kiedy tylko zeszła z wrocławskich estakad, ale dopiero teraz wydała się Widawie tak czerwona i jaskrawa.

– Ot, cała zagadka! – prychnęła Ada.

Była teraz bliżej, Widawa lepiej widziała jej karykaturalną twarz, ale nie potrafiłaby powiedzieć, kto się zbliżył, która z nich podeszła do której.

– Wyście te pierdolone maszyny zaprojektowali, by wam służyły – ciągnęła Ada. – I służyły, wyrzynając wszystkich innych. Dorosłych, dzieci, bez różnicy. Ci twoi Opiekunowie cięli wszystkich, którzy potrzebowali wody. Rozpoznawali DNA i chronili tylko

tych, których mieli chronić, a resztę do piachu, po kolei, maszynowo, jebana taśma produkcyjna. Broń ostateczna.

– Ja nigdy…

– Ty, ty, chuja mnie obchodzi, co ty! Głaszczą cię po główce i leją mleczko w spragniony pyszczek, więc ty! Może nie ty wpisałaś komendy w oprogramowanie tych skurwieli, ale to dla ciebie je napisano, żebyś mogła sobie teraz, dwieście lat po antropogeddonie, łazić wszędzie piękna i zdrowa!

Że cały czas się cofała, Widawa uświadomiła sobie dopiero, gdy plecami uderzyła o chropowatą ścianę.

– A my?! – Oddech Ady cuchnął ropą i czymś kwaśnym, potwornym, czego Widawa w ogóle nie potrafiła zaklasyfikować. – Co myśmy zawinili?! Tyle tylko, że te maszyny nie były nasze, tyle wystarczyło!

To nie tak, że Widawa nie spodziewała się tego uderzenia – po prostu nie wiedziała, jak się przed nim bronić. Cios wylądował na brzuchu, mocny, ale jedyny. Ada nie dokładała kolejnych, a Widawa przez czerwone błyski alertów nie widziała, czy to dlatego, że Paweł ją powstrzymał, czy przez coś innego.

– Prześpij się – powiedział zmęczonym głosem. – Dopilnuję, żeby nikt nie przychodził z tobą rozmawiać.

***

Paweł dotrzymał słowa: Widawa dostała osłonięty kąt i nawet trochę więcej tej cuchnącej wody, za to pozbawiono ją czyjegokolwiek towarzystwa. Nie odzyskała jednak maski, a o zaśnięciu mogła zapomnieć, chociaż wyczerpanie zredukowało jej mięśnie do drżącej galarety. Endogenne systemy działały mimo braku łączności i Widawa sczytała raport, z którego wynikało, że nie doznała żadnych nieodwracalnych obrażeń wewnętrznych. Stan zagrożenia był więc niski; powinna móc zasnąć.

Ale nie mogła.

Przez godzinę próbowała podłączyć się do archiwum – irracjonalnie, głupio, z pełną świadomością, że to nie ma sensu. Potem zrezygnowała i zaczęła przekopywać te artykuły oraz dane, które miała zachowane w pamięci podręcznej. Nie znalazła tam oczywiście niczego na temat wojen o wodę, oprócz tego, co już wiedziała: że były wyniszczające, że trwały całe dziesięciolecia i że były to wojny, których nikt nie wygrał.

Co – jeżeli Ada miała rację – było kłamstwem.

Jeśli Ada miała rację – to wygrała Widawa. Ona, Dobromierz, wszyscy, dla których Opiekunowie zostali stworzeni i których posłuszne swojemu kodowaniu maszyny chroniły przez całe pokolenia. Wygrał Wrocław.

Miasto wody. Miasto mostów. Miasto żyjące z rzek, dzięki rzekom i wokół rzek.

Z artykułów, które przeglądała w bezsennym zwidzie, wyłaniała się luka, dziura widoczna jak cień na asfalcie, przemilczany i ogołocony ze wspomnień etap ludzkości. Jak mogła tego wcześniej nie zauważyć? Jak mogła się nad tym w ogóle nie zastanawiać?

Przecież miała tyle czasu.

Aż do teraz.

Widawa nie mogła mieć pewności, co planowała grupa Pawła, ale powiedzieli dużo, pewnie więcej, niż zamierzali. Odtwarzała sobie ich wypowiedzi, zapętlała fragmenty rozmowy, dopóki przekonanie o ich zamiarach nie skrystalizowało się całkowicie – i nie opadło na dno jej żołądka.

Oczywiście zamierzali wejść do Wrocławia.

Oczywiście nienawidzili Opiekunów.

Widawa krótko rozważała, czy możliwe byłoby po prostu przyjęcie uchodźców w poczet wrocławian, i szybko odrzuciła tę opcję. Oczywiście, że nie. Wody zaczynało brakować nawet dla tych kilkuset osób, których Opiekunowie mieli pod swoją pieczą.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej nie pojmowała, jak mogła sama do tego wszystkiego nie dojść.

Jej ubrania już przesiąkły banickim smrodem. Nie dali jej jedzenia, ale nie zamierzała się uskarżać; cokolwiek jedli, z pewnością było gorsze od kilku godzin głodu.

Jaką masz pewność, że nie uznają ciebie za jedną z nas, gdy do nich wrócisz?

Olbrzymią. Stuprocentową. W tej jednej sprawie dane były jednoznaczne, rachunki prawdopodobieństwa – powalające. Może ludzie Pawła i Ady mieli rację, może faktycznie bliżej było jej do Opiekunów niż ludzi, ale jednego nie rozumieli – że to nie była zła rzecz.

Że może to było konieczne do przeżycia.

Że może to był po prostu krok niezbędny w rozwoju ludzkości.

Jeśli jej przodkowie postanowili zaatakować innych… Jeśli kazali maszynom ochraniać konkretną grupę ludzi, to musieli mieć przecież powód. Plan. Nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

Lepiej, żeby przeżyła część, niż żeby zginęli wszyscy.

Wystarczyło przecież spojrzeć na Pawła. Albo poczuć smród Ady.

Tak, różnili się od niej pod każdym możliwym względem. Ci tutaj, praktycznie rzecz biorąc, już nie byli ludźmi. Antropogeddon wytarł z nich całe człowieczeństwo, całe ucywilizowanie – została tylko dzicz.

Zebrała się ze swojego posłania i poczekała, aż wirowanie w głowie ustanie. W odrapanym korytarzu siedziała dwójka strażników – identycznych, nie do odróżnienia, czujnych jak zwierzęta.

– Muszę się wysikać – powiedziała Widawa słabo.

Oczekiwała, że każą jej załatwić potrzebę w ciasnej kanciapie, ale wzruszyli tylko ramionami.

– Pójdę z tobą – powiedział jeden i zaraz poczuła uścisk na ramieniu.

Pozwoliła się prowadzić, pozwoliła się szarpać, kiedy jej powłóczenie nogami stało się zbyt denerwujące dla strażnika. Używał tylko jednego ramienia; drugiego albo nie miał, albo było ranne, przy tylu warstwach szmat ciężko było ocenić.

Tak jak się spodziewała, nie wyprowadzono jej na otwarty plac; stamtąd zbyt łatwo byłoby jej uciec. Zamiast tego strażnik wskazał jej na wpół zrujnowane pomieszczenie, którego dwie ściany nie wytrzymały naporu czasu. Na niecałych dwunastu metrach kwadratowych wiatr nieustannie przewalał stosy piachu, ale przy dobrym wyborze miejsca dało się oddychać. Przez wyrwę w ścianie widziała podniszczony komin, na którym wciąż płonęło to samo białe światło, które ją tu przywiodło.

Strażnik oczywiście nie zostawił jej samej. Odwrócił głowę, a na oczach miał prymitywne przyciemniane gogle, ale mimo to Widawa czuła jego ciekawskie spojrzenie.

Wiedziała, jak smakuje przerażenie i że powinna je teraz czuć – ale nie czuła, bo oprogramowanie zgodnie z jej wolą tłumiło strach, optymalizowało adrenalinę, uspokajało drżące mięśnie. Podjęła decyzję, więc emocje przestały być potrzebne; rachunki prawdopodobieństwa zostały obliczone, a dane okazały się jednoznaczne.

Dobromierz powiedział jej: „pilnuj".

Jeśli Wrocław miał mieć jakąkolwiek szansę odparcia tych troglodytów, pozostawał jej tylko jeden możliwy kierunek działania.

Tak naprawdę sama nic nie zrobiła; nie byłaby w stanie zaplanować tego tak dobrze, jak algorytmy. Napisała ziarnu krótką komendę, program na podstawie zebranych informacji przeliczył, gdzie i kiedy najlepiej uderzyć, a ona w odpowiednim momencie kazała mu wykonać odpowiednie ruchy. Czuła skurcze i rozkurcze swoich mięśni – skok do strażnika, zaskakująco głośne uderzenie knykciami o jego skroń. Ból na chwilę ją oszołomił, ale ziarno już spychało go na drugi plan.

Nie czekała, żeby zobaczyć, jak skuteczny był jej atak – rzuciła się w stronę światła i nie odwracała za siebie.

To było gorsze, niż się spodziewała. Nic – ani zakazane podróże w zapomniane zakątki Wrocławia, ani całodzienna mordęga, ani kilkanaście godzin oddychania bez filtrów – nic nie przygotowało jej na wyjście w burzę bez maski. Ziarna piachu ostrzeliwały jej skórę, wchodziły pod powieki, do nosa, między zęby; dłonie i twarz zaczęły jej krwawić po pierwszych dwóch minutach. W biegu zrzuciła kurtę i zawinęła ją na głowie i chociaż zapłaciła za to dojmującym bólem całych ramion, to przynajmniej mogła widzieć. I oddychać – szybkimi, płytkimi wdechami.

Widziała mur przy budynku. Z rozbiegu skoczyła, złapała się krawędzi i z trudem podciągnęła. Płuca płonęły żywym ogniem, w głowie jej wirowało, ale teraz to już nie miało znaczenia.

Wyżej. Byle wyżej. To była jej ostatnia nadzieja.

Nie potrafiła ocenić, czy ktoś ją ściga, i jeśli tak, to jak bardzo pozostaje w tyle. Po prostu gnała przed siebie, w górę, po murze, po zadaszeniu, po wyszczerbionych pozostałościach starych ścian. Wiedziała, jak szukać drogi wśród ruin; wiedziała, jak na nich utrzymać równowagę.

Wiedziała, że ją złapią. Nie miało to znaczenia.

Zobaczyła to, gdy była już bardzo wysoko – wiatr i piach siekły ją już nie do krwi, ale do mięśni; z trudem utrzymywała równowagę w dziwnej, przykurczonej pozycji, na przedostatnim poziomie. Ziarno wciąż nie złapało zasięgu; istniało ryzyko, że w ogóle tego nie zrobi, ale Widawa i tak musiała spróbować, inaczej cała jej wyprawa pozostanie tylko głupim samobójstwem. Rozpaczliwie próbowała przekalibrować oprogramowanie – chyba mimo wiatru słyszała krzyki – i wtedy widoczność poprawiła się na jakieś piętnaście, może siedemnaście sekund.

Widawa zobaczyła światła.

Cztery. Takie same, jak to, które płonęło nad jej głową. Dwa mocniejsze – bliższe – i dwa oddalone, w tym jedno ledwie widoczne. Wszystkie nieruchome, oślepiające i znajdujące się na północ lub zachód od jej własnej pozycji.

Wokół Wrocławia.

Pięć świateł. Pięć stanowisk. Pięć grup takich jak ta, głodnych, podróżujących kto wie jak długo, spragnionych i gotowych na wszystko, przyczajonych i czekających.

To był sygnał. Zajęli pozycje. Byli gotowi.

Chcecie dostać się do Wrocławia?

Dreszcz, który przeszedł Widawie po plecach, nie miał nic wspólnego z urywanym oddechem ani zimnem wiecznej wichury; był natomiast ostatnim, co poczuła, zanim ból eksplodował jej w lewej łopatce.

Zanim zwaliła się bezwładnie na dół gruzów, nie zdążyła nawet zauważyć zielonego błysku uzyskanego połączenia, który ziarno wyświetliło jej tuż przed oczami.

***

Ból ją wyłączył i ból przywrócił jej świadomość.

W nodze. W płucach. W plecach, przede wszystkim w plecach. Coś rozrywało ją od środka, było jej zimno i gorąco jednocześnie – i była w ruchu.

Ktoś ją niósł.

– To była proca – powiedział Paweł smutnym tonem.

Widawa wisiała przerzucona przez czyjeś plecy jak worek, a za nimi szli ludzie. Nie wiedziała, kto ją niesie, ale po chwili rozpoznała po szmatach i głosie idącego za nimi Pawła. Na twarzy miał teraz jej maskę. To był upiorny widok; przez odwodnienie i ból głowy przez chwilę wydawało jej się, że patrzy w lustro, na siebie samą odzianą w brudne uchodźcze szmaty.

– Do tego nas zredukowaliście. Strzelanie do jeńców ze średniowiecznej broni.

Chciała coś powiedzieć, ale systemy odmówiły współpracy.

– Próbowałem cię ochronić – dodał, rozkładając ręce. Ten gest pewnie coś znaczył, ale Widawa nie wiedziała, co. – Myślałem, że może jest jakaś szansa. Że nawet jeśli się nie dogadamy, to będziesz naszą przepustką do miasta. W końcu maszyny mają cię chronić.

Świat się zatrząsł, a Widawa bezsilnie uderzyła o ziemię. Niestety nie pozbawiło jej to ponownie przytomności.

– Schrzaniły robotę, co?

Próbowała zignorować czerwone flary alertów, które ziarno bezmyślnie wpychało jej pod oczy, ale nie mogła; obrażenia były zbyt poważne, by system dopuszczał ich zlekceważenie. Przez to nie widziała, kto dokładnie ją chwycił pod ramiona – czuła tylko, że wloką ją po ziemi, miękkiej i delikatnej, która oblepiała jej buty i ubranie.

Światło, do którego tak uparcie szła z Wrocławia, widziała teraz doskonale. Oddalało się stopniowo; zamrugała mu na pożegnanie. Gdziekolwiek ją zabrali, było to daleko od starej elektrociepłowni, gdzie ich znalazła.

– Zaczynajcie.

Złapali ją za ramiona – przez moment czuła się tak lekko – i pchnęli w dół. Spodziewała się kolejnego uderzenia o ziemię, ale zamiast tego jej potylicy dotknęło coś miękkiego, zimnego i mokrego.

Woda.

A potem zanurzyli jej całą głowę.

Skąd tyle wody?

Trzymali z całych sił i nie puszczali, nawet gdy wierzgnęła pierwszy, drugi, trzeci raz, gdy szarpała się i wiła, byle wyswobodzić się z uścisku, byle wynurzyć głowę i zaczerpnąć oddechu.

Woda wdzierała jej się do gardła, żołądka, płuc.

Że umiera, uświadomiła sobie dopiero, gdy zgasł ostatni alert. Trwało to długie, długie minuty – czas rozciągnięty w nieskończoność między strachem a ekstazą. Ostatnie, co widziała, to twarz Pawła – swoją maskę – przefiltrowaną przez widziane od dołu zmarszczki na powierzchni rzeki.

Zmartwychwstałej, rwącej rzeki.

Wiatr się zmieniał.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Agata Bisiecka, Alicja Podkalicka
Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Agnieszka Kolenda
Weryfikacja: Renata Rabczewska
Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz
Recenzje: Agnieszka Chodkiewicz, Magdalena Piniak
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Marcin Sumiński

MUZEUM XX WIEKU

Tomasz Niziński

– Pamiętajmy, że mówimy tu o epoce, w której nadal stosowano powiedzenie „mylić się jest rzeczą ludzką" – perorowała Anna. – Możemy sobie tylko wyobrażać, jak niskie mniemanie o sobie miała cywilizacja, która za typową cechę własnego gatunku uważała bycie w błędzie. – Szturchnęła Liv łokciem i wskazała na ciała z przodu pojazdu. – Oho, budzą się.

Ta tylko wzruszyła ramionami. I tak jeszcze za wcześnie, by próbować do nich przemówić. Wyjątek stanowił przewodniczący Komitetu, który z miejsca raźno stanął na nogi, podczas gdy pozostali urzędnicy ledwo zaczęli odzyskiwać świadomość.

– Nie jestem specjalistą od dwudziestego pierwszego wieku – odezwał się przewodniczący Komitetu, zginając i prostując kolana jak podczas rozgrzewki – ale z tego, co pamiętam, ciała fizyczne były dla współczesnych dość istotne.

– Owszem – potwierdziła Liv.

– Nie mogę sobie jednak przypomnieć… Chodziło o ciała niebieskie?

– Nie, ich własne. Takie z rękami i nogami.

– Ach tak, oczywiście. Całkiem mi to umknęło, wszystko przez ten niezgrabny procesor.

– Mózg.

– No, i cały ten toporny sposób prezentowania rzeczywistości. Trzy wymiary i pięć zmysłów. Czy można sobie wyobrazić bardziej spłaszczoną wizję wszechświata? Tak, tak, wiem… Uproszczenia są konieczne, półtora kilograma tkanki pod czaszką nie zdoła przetworzyć większej ilości danych.

– W tym właśnie tkwi cały sens tej wyprawy. Macie spojrzeć na świat z perspektywy naszych przodków z dwudziestego pierwszego wieku, którzy przemierzali realny świat odziani w biologiczne ciała. Ale muszę zauważyć, że z adaptacją do tej formy radzisz sobie znacznie lepiej od pozostałych członków Komitetu.

– Cóż, mam od nich więcej doświadczenia, jeśli chodzi o przebywanie w przestrzeni fizycznej. Zdarzało mi się już nieraz przybierać ciało w celach, hm… rekreacyjnych.

Błędny wzrok i pozorne zagubienie kwalifikowały go raczej jako nowicjusza, ale właśnie przed tym ostrzegano Liv: nie daj się nabrać, jeśli będzie udawał rybę wyciągniętą z wody. Wszyscy ci przyjaciele Muzeum, którzy życzyli jej powodzenia, ale nie mieli do zaoferowania nic poza dobrymi radami, zgadzali się co do jednego: nigdy nie wolno ci uwierzyć, że lepiej od niego panujesz nad sytuacją. On uwielbia odgrywać role, gubić się w labiryntach i odbijać w krzywych zwierciadłach. Ale nigdy nie traci kontroli.

Liv rozumiała teraz, co mieli na myśli. Przewodniczący Komitetu ponarzekał na nienaturalne wejście w nieznajome ciało i zadał parę naiwnych pytań, ale od pierwszego zdania płynnie wypowiadał się w języku ojczystym dla tego miejsca i czasu. Nowicjusze zaś zawsze potrzebowali dłuższej chwili, by opanować nową mowę.

– Sprawdzę lepiej, co z nimi – mruknęła Liv.

Sześć postaci siedzących na przedzie pojazdu z wyglądu nie przypominało, co prawda, ludzkich dzieci, ale dokładnie tak się zachowywało. Liv czekała spokojnie, aż dojdą do siebie po pierwszym szoku. Na tym etapie próby uspokajania ich nie miały żadnego

sensu. Potrzebowali czasu, by przyzwyczaić się do natłoku nowych doznań. Dla nich były to przecież pierwsze narodziny. Żadne nie miało pojęcia, jak obchodzić się z fizycznym ciałem.

Odczekawszy, aż nieco się opanują, przecisnęła się między siedzeniami na przód pojazdu, odwróciła się do pasażerów i zamachała rękoma, by mieć pewność, że wszystkie zamglone spojrzenia skupią się na niej.

– Szanowni państwo! – przemówiła Liv, posługując się od razu językiem z epoki, by wymusić na nich szybszą adaptację. – Drodzy przedstawiciele Komitetu do spraw Zarządzania Obiektami Rzeczywistymi! Witajcie w dwudziestym pierwszym wieku! – Zatoczyła szeroki łuk ręką. – Oto jest tramwaj.

Jeden z urzędników powoli zbliżył do szyby rękę z wystawionym palcem wskazującym, a gdy dotknął szkła, wydał z siebie przeciągły, godny pterodaktyla wrzask. Liv nie zareagowała. Prowadziła już wiele takich wycieczek, choć nigdy wcześniej stawka nie była tak wysoka. Rozumiała jednak doskonale, jak musiał się czuć tamten osobnik. To był jego pierwszy kontakt z rzeczywistością. W dosłownym tego słowa znaczeniu.

Intensywność tego doznania nie dała się z niczym porównać. Wszyscy obecni w tym pojeździe napisali prace naukowe na temat rzeczywistości, spędzili ekwiwalent dziesiątek dwudziestopierwszowiecznych żywotów, debatując o optymalnych metodach zarządzania coraz mniejszą ilością fizycznych aktywów coraz bardziej cyfrowej cywilizacji. W swojej naturalnej, wirtualnej postaci mieli dostęp do całości współczesnej wiedzy naukowej. Ale żaden z nich nigdy nie poczuł, jak to jest uderzyć małym palcem u stopy w kant szafki nocnej.

Komitet Zarządzania Obiektami Rzeczywistymi pełnił niewdzięczną funkcję, będąc odpowiedzialnym za wierzchołek odwróconej piramidy, jaką była ludzka cywilizacja. Źródła energii, serwery, bazy danych – korzenie wirtualnego społeczeństwa – które ciągle

tkwiły w realnym świecie, uważano za zło konieczne i delegowano myślenie o nich na barki grupy urzędników. Z całej populacji tylko archeologom i historykom zdarzało się przybierać fizyczne ciała. Wszystkie te kategorie i terminy – „prawdziwy", „rzeczywisty", „wirtualny" – narzucał Liv toporny język sprzed wieków, którego archaiczna konstrukcja wyrastała z modelu komunikacji, gdzie słowa wciąż spisywano na papierze i wypowiadano na głos. Żaden z członków Komitetu nigdy nie posłużyłby się słowem „prawda", by odróżnić swój świat od wersji Ziemi z dwudziestego pierwszego wieku. Biały śnieg Tarskiego spoczywał na zakurzonej półce – przeznaczonej dla zapomnianych konceptów – razem z flogistonem, eterem i czterema humorami.

Liv obserwowała, jak nowo narodzeni powoli zaczynają odnajdywać się w swoich ciałach. Stopniowo przyzwyczajali się do nowego stanu, krępującego bycia-w-świecie; zakucia w kajdany jednego miejsca i czasu. Do posiadania „punktu widzenia" i do przyjmowania tylko wąskiego strumyczka informacji, jakich dostarczały zmysły. Do absurdalnego funkcjonowania jako byt, który może mieć coś poza polem widzenia i w dodatku musi się samodzielnie obrócić, żeby zobaczyć co.

Była to dla nich duża zmiana. Przywykli przecież do tego, że każdy element posiadanej przez ogół cywilizacji wiedzy jest dla nich nieustannie dostępny. Bieżące informacje docierały do nich natychmiastowo, a bazy danych i zasoby przeszłości przywoływano bez wysiłku czy oczekiwania. To właśnie stanowiło pierwszy szok ucieleśnienia – nagła utrata dostępu do kolosalnych złóż, dzielonych przez całą społeczność. Drugi szok wynikał z pierwszego poruszenia ciałem. Bo nawet jeśli wcześniej posiadłeś całą dostępną wiedzę, nic z tego nie mogło przygotować cię na wstrząs wywołany zetknięciem się twojego cielesnego palca z realną, szklaną szybą.

Kolejny członek Komitetu wydał z siebie dźwięk, tym razem brzmiący jak beczenie kozła.

– Raczcie jeno wytłumaczyć mi, waćpanno… – odezwał się ktoś inny, zdoławszy wreszcie aktywować funkcję mowy.

– Modulator językowy.

– Rzekliście. Acz nie pojmuję…

– Pozwala na dopasowanie stylu wypowiedzi do epoki. Dla doświadczonego historyka konfiguruje się automatycznie na podstawie zapisanych preferencji, ale w waszym przypadku, przynajmniej na początek, trzeba go ustawić manualnie. Na pierwszą połowę dwudziestego pierwszego wieku.

– Dziękuję, towarzyszko. Wykonaliście pierwszorzędną…

– Jeszcze o jakieś pięćdziesiąt lat do przodu.

Temu przynajmniej mimika od razu dobrze się skonfigurowała. Gdy Liv się odwróciła, w jej kierunku zmierzała już inna kobieta, z twarzą wykrzywioną wściekłym grymasem i prawym okiem zamykającym się i otwierającym raz po raz.

– Daj, ać ja pobruszę… – charczała w kółko.

Liv westchnęła i pomogła jej poprawnie ustawić interfejs.

– Pozostałe elementy konfiguracji możecie już sami doprecyzować. To zresztą dobra okazja, żeby oswoić się z waszą nową cielesnością oraz zaadaptować się do miejscowej technologii. Jak dotąd pozwalałam wam korzystać z systemu zintegrowanego z waszymi połączeniami neuronowymi, ale to było tylko na początek, żeby złagodzić szok pierwszego ucieleśnienia. Odtąd wszystko będziemy robić tak, jak to było w dwudziestym pierwszym wieku.

– Co to jest? – spytał ktoś, wpatrując się w płaski przedmiot wciśnięty mu w niezgrabne ręce.

– Tablet. Doskonała replika autentycznego eksponatu z roku dwa tysiące osiemnastego. Otwarty jest na programie, który pozwoli wam skonfigurować własne ciała. Samo oprogramowanie jest oczywiście całkowicie ahistoryczne, ale i tak musimy to zrobić, żebyście nie potykali się o własne nogi, więc równie dobrze może się to dziać na narzędziu z epoki.

Kobieta wpatrywała się usilnie w tablet, a mięśnie jej twarzy zdradzały wielkie napięcie.

– Nie, nie, to tak nie zadziała. – Liv pospieszyła z pomocą. – Musisz dotknąć palcem opcji, którą chcesz wybrać.

Tamta zwróciła na nią głęboko wstrząśnięte spojrzenie. Liv rozumiała, o co chodzi. Dla tej kobiety narzędzie nie tyle było prymitywne, co absolutnie niepojęte. Stało w całkowitej sprzeczności do wszystkich paradygmatów, w jakich przywykła pojmować technologię informacyjną. Myśli i bajty stanowiły dla niej jedno i to samo: jednostki informacji przepływające swobodnie między bazami danych. To, że jakiś program został stworzony, by włączać do tego zaklętego kręgu bodźce ze świata zewnętrznego, stanowiło dla niej kompletny absurd. A tutaj było to wręcz wymagane! Ba, wszystko wskazywało na to, że jedyny sposób połączenia z tym koszmarnym narzędziem to interakcja za pomocą podłużnego kawałka mięsa! Jak to możliwe, żeby fizyczny palec stanowił ogniwo w łańcuchu transmisji bezcielesnych danych?

– Gdzie jesteśmy? – spytał jeden z członków Komitetu, który jeszcze nie doszedł do siebie.

– Na Ziemi, tej oryginalnej – wyjaśniła Anna, stając obok Liv. – W Rezerwacie Autentyczności, gdzie odtworzono z maksymalną wiernością miasto Warszawę z początku dwudziestego pierwszego wieku.

– W tramwaju – dodał Stefan, trzeci z przewodników, i niepotrzebnie wszystko skomplikował.

– Co to „tramwaj"? – Ktoś wyraźnie zostawał w tyle.

– Środek transportu.

– Ach, sposób na przemieszczanie się do innego miejsca i czasu?

– No, może nie czasu…

– Tak, racja, oczywiście, oni przecież nie potrafili podróżować w czasie. Czyli wsiadasz w jednym miejscu, wysiadasz w drugim, tylko czas jest ciągle ten sam?

– Nie do końca. Ich stopień pojmowania relacji miejsca i czasu był nieco… uproszczony. Pomijając stan ówczesnej wiedzy naukowej, która reprezentowała nieco bardziej zniuansowane ujęcie tematu, dla zwykłego człowieka czas stanowił niejako walutę, jaką trzeba było zapłacić za możliwość przemieszczenia się z jednego miejsca w drugie. „Żeby pokonać dwieście kilometrów, muszę poświęcić dwie godziny". Mniej więcej w ten sposób kalkulowali, planując swoje podróże.

Mężczyzna z Komitetu przez chwilę wpatrywał się w niego wielkimi oczami, a potem bardzo powoli osunął się z krzesła na podłogę, a następnie zwinął w kulkę i zaczął cicho skomleć.

– Poczekajmy może z dalszymi pytaniami – stwierdziła Liv, czując, że jej plan już na wstępie zbacza z ustalonej trajektorii. – Zanim zaczniemy dalsze zwiedzanie, musicie nadać sobie jakieś imiona. Żebyśmy wszyscy wiedzieli, jak się zwracać do siebie nawzajem.

Wywołało to zrozumiałą konsternację i Liv musiała poświęcić nieco czasu, by wyjaśnić im koncept imienia. Wytłumaczyć, że w czasach, gdy budowa mózgu dramatycznie ograniczała ludzką zdolność przetwarzania informacji, człowiek nie mógł utrzymać w pamięci operacyjnej całości drugiej jednostki wraz ze wszystkimi jej cechami i dokonaniami oraz swoimi opiniami na jej temat. Gdy ktoś z epoki chciał się odnieść do kogoś, kogo znał, to nie mógł zawrzeć w komunikacie totalności wszystkiego, co dawało się pomyśleć o tej osobie, lecz musiał posłużyć się jej imieniem – symbolem, który pozwalał zidentyfikować daną jednostkę, ale sam w sobie nie niósł żadnych informacji i wymagał uzupełnienia przez odbiorcę komunikatu.

Liv posługiwała się tym samym imieniem, odkąd zaczęła oprowadzać wycieczki po muzeum. Zawsze przybierała też kobiecą płeć. Obu wyborów dokonała całkiem losowo podczas pierwszej wyprawy, ale była z nich zadowolona. Wydawały się do niej

pasować. Nie mogła jednak być pewna, czy rzeczywiście istniała jakaś symetria między cechami jej osobowości a płcią i imieniem, które przypadły jej w udziale, czy może samo przyzwyczajenie sprawiło, że taki stan rzeczy wydawał jej się naturalny i właściwy. Podejrzewała, że ten dylemat mógł być nieobcy również jej antycznym przodkom.

Niektórzy członkowie Komitetu wybrali swoje imiona natychmiastowo, najwyraźniej w drodze losowania i bez zastanowienia. Inni potrzebowali trochę więcej czasu, by przeanalizować udostępnione im opcje, choć trudno sobie wyobrazić, jakimi kryteriami mogli się kierować przy wyborze, skoro nadal nie rozumieli otoczenia, w którym się znaleźli. Wyjątek stanowił jeden mężczyzna, który ciągle nie mógł podjąć decyzji, ponieważ wahał się między kilkunastoma możliwościami. Wreszcie zdecydował się na „Asmodeusz" i Liv uznała, że ma już wystarczająco wiele informacji, by go znienawidzić.

Było to wspaniałe uczucie i jeden z najlepszych aspektów jej pracy. W abstrakcyjnym wirtualnym świecie, gdzie procesy decyzyjne nie podlegały zniekształceniu przez błędy poznawcze, gdzie uwarunkowania biologiczne nie powodowały wahań nastrojów ani gwałtownych emocji, niczego takiego nie dało się doświadczyć. Negatywna ocena drugiego człowieka była po prostu tym, czym była – jednostką informacji, która wpływała na decyzję o kooperacji w poszczególnych przedsięwzięciach. Przyodzianie tego ciała, sztucznego co prawda, ale doskonale odwzorowującego antyczny, biologiczny pierwowzór, pozwalało natychmiast oddać się we władzę wszystkich sił, które miażdżyły ludzki intelekt. Już pierwsze chwile, gdy miało się przecież tylko szczątkowe dane o uczestnikach wyprawy, wystarczały, by wyrobić sobie na ich temat skrajne opinie i poddać się intensywnym doznaniom.

Wszyscy przedstawili się wybranymi imionami, a Liv, zgodnie z duchem epoki, czym prędzej zapomniała połowę z nich. Podzieliła

uczestników wyprawy na dwie grupy: jedna miała poruszać się po mieście z nią i Stefanem, drugą miała się zaopiekować Anna. Liv zadbała, by Asmodeusz wraz Bianką i Jackiem znaleźli się u Anny. Ona z kolei miała zająć się Janem, Barakiem i Hanną. Przewodniczący Komitetu, który kazał się nazywać Odynem, również dołączył do grupy Liv.

Nie chciała przekazywać im zbyt wielu informacji na wstępie. Zamierzała rzucić ich w ten obcy, niepojęty świat, by na własnej skórze doświadczyli jego niezwykłości. Musieli zrozumieć, że – choćby dla tego niepowtarzalnego doświadczenia radykalnego zderzenia kultur – warto było zachować to miejsce. Tylko jeśli uda się wywrzeć na nich odpowiednio mocne wrażenie, zostanie zatrzymana biurokratyczna machina, która nie widziała sensu w utrzymywaniu kolosalnego muzeum na powierzchni ojczystej planety homo sapiens.

Liv nie mogła znieść myśli, że wszystkie te legendarne zabytki mogłyby zostać zniszczone. Egipskie piramidy, Wielki Mur, Kreml, Zakazane Miasto, antyczne blokowiska Nowej Huty. Kolosalne, doskonale odtworzone repliki miast, zapełnione androidami wiernie odgrywającymi role ówczesnych ludzi: Nowy Jork w dwudziestym trzecim wieku, dziewiętnastowieczny Londyn, Rzym z czasów Cezara, Warszawa zamrożona w dwudziestym pierwszym wieku i wiele innych – epoki zatrzymane w czasie, nadal dostępne dla potomków, gdyby tylko chcieli choćby na moment wyrwać się ze swojej ojczystej wirtualnej przestrzeni i postawić fizyczną stopę na rzeczywistej ulicy w dowolnym okresie historii.

Wysiedli z tramwaju na Alejach Jerozolimskich i natychmiast zanurzyli się w tłumie.

Kto tutaj był mniej realny? – zastanawiała się Liv. *My, wirtualne, abstrakcyjne istoty, przybierające fizyczne ciała niczym kostiumy z epoki, czy oni, otaczające nas zewsząd nieświadome maszyny,*

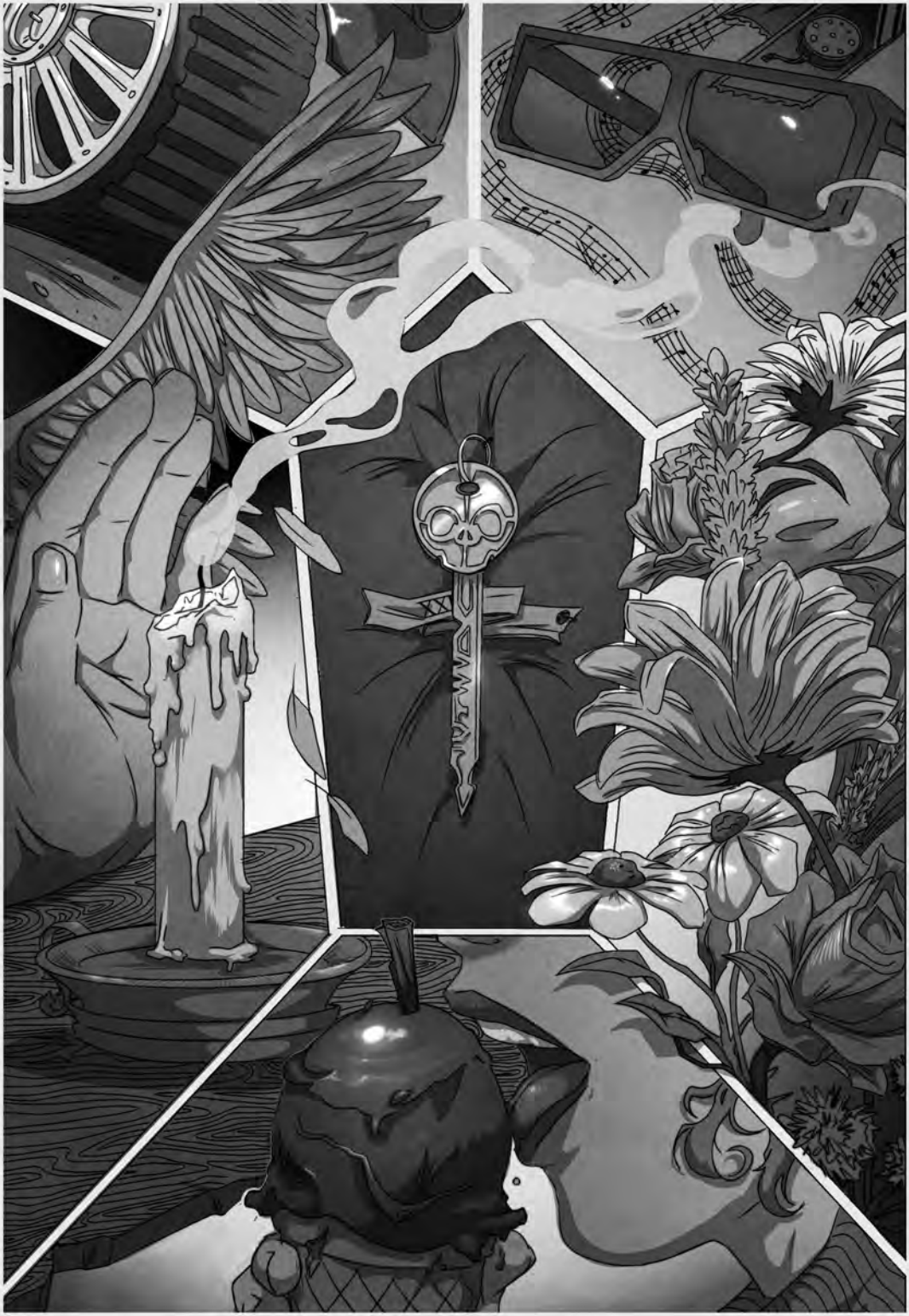

odgrywające role naszych przodków, byśmy mogli się poczuć, jakbyśmy naprawdę weszli do minionego świata?

Co by powiedzieli ci dawni ludzie, gdyby wiedzieli, że tak właśnie wygląda przyszłość ich gatunku? Że zamiast wyobrażeń o podboju kosmosu, laserów i podróży z prędkością światła, ich potomkowie będą się kurczyć, zwracać ku swojemu wnętrzu; że będą stawali się coraz mądrzejsi, ale i coraz mniej obecni w namacalnym świecie? Że tylko niewielki, fizyczny fundament będzie podtrzymywał nową ludzkość, skrytą w cyfrowej nieskończoności?

Rozejrzała się za Anną, ale ona i jej grupa przepadli już gdzieś w tłumie.

***

Jack: A to co?

Anna: Budka fotograficzna. Można sobie tutaj zrobić zdjęcie.

Jack: Ehe?

Anna: Tworzy wizerunek ciebie. Trwałe ujęcie twojej osoby.

Asmodeusz: Wow! Dlaczego nie ma przed tym ogromnej kolejki?

Jack: Ale jak to możliwe? Przy tak prymitywnej technologii, by uchwycić totalność wszystkich cech jednostki, zawrzeć w jednym miejscu wszystkie informacje na jej temat…

Anna: Nie, nie, nic z tych rzeczy. To rejestruje jedynie wygląd zewnętrzny, a właściwie tylko zarys waszych twarzy.

Jack: Aha.

Asmodeusz: I tak spoko. Wchodzę.

Jack: Hej! Ja byłem tu pierwszy!

Asmodeusz: I co z tego? Ja wcześniej zdecydowałem, że chcę wejść! To się liczy!

Bianka: Jeśli dobrze zrozumiałam kontekst, to z magazynu, który czytałam rano, wynikałoby, że takie dylematy rozstrzygano

podówczas na podstawie statusu społecznego, którego wyznacznikiem był rozmiar członka.

Anna: Będziemy chyba musieli zapoznać was z konceptem ironii.

Bianka: Powinniście załatwić to jak mężczyźni dwudziestego pierwszego wieku. Wyciągnijcie penisy, by niezależny, certyfikowany sędzia mógł je zmierzyć, i ten, kto ma dłuższego, może pierwszy zrobić sobie zdjęcie. Natomiast ten drugi musi dokonać rytualnego oczyszczenia, polegającego na zakupie przesadnie dużego samochodu, a następnie podkręcania jego silnika do wysokich obrotów podczas stania na czerwonym świetle.

Jack: To brzmi tak, jakby istniało bezpośrednie powiązanie między męskimi genitaliami a stopniem zużycia paliw kopalnych.

***

Jan: Tamten mężczyzna do nas macha.

Liv: Który?

Jan: Ten, o tam, na skraju parku, pośród krzaków.

Hanna: On jest nagi? Oprócz dużej papierowej torby, która służy mu… jako zbroja?

Liv: Chodźmy stąd.

Barak: O, ma też miecz z kartonu!

Liv: No, chodźcie.

Hanna: Ale teraz jednak zdejmuje zbroję?

Liv: Już!

Jan: Nie bardzo rozumiem ten gest. Czy to powitanie?

***

Stefan: Cóż, motywacja, która kierowała twórcami internetu, nie jest nam do końca znana. Dwie główne, konkurujące hipotezy

głoszą, że był on rozwijany albo w celach militarnych, albo z zamiarem stworzenia globalnej, scentralizowanej bazy danych gromadzącej wszystkie dostępne wizerunki kotów.

Odyn: Które stanowiły podówczas obiekt kultu religijnego?

Stefan: Eee…

Liv: To skomplikowane.

Odyn: Dziwne uczucie musieć zadawać pytania… Dopiero teraz uświadamiam sobie, jak kolosalna jest różnica poznawcza między nami a naszymi przodkami. Wiedza kapała do ich umysłów pojedynczymi kropelkami, w tempie zbyt wolnym, by całkowicie pojąć dane zagadnienie, choćby zgłębiało się je przez całe życie.

Liv: To jeden z kluczowych elementów tego doświadczenia – spojrzenie na świat oczami antycznych ludzi. Nie możemy nawet zbliżyć się do zrozumienia ich, dopóki nie uświadomimy sobie, jak dramatycznie ograniczone były ich możliwości poznawcze. To tak, jakbyśmy chcieli przyjrzeć się każdemu przedmiotowi w wielkim magazynie, korzystając jedynie ze słabej latarki, jeśli wybaczycie archaiczną metaforę. Możemy jednak tylko wyobrażać sobie strach, w jakim żył antyczny człowiek, przemierzając niepojęty, ogromny i ciemny świat, posługując się jedynie wątłym promykiem światła.

Stefan: O, tam na płocie! To właśnie jest kot.

Odyn: Oooch…

***

Asmodeusz: AAA!!!

Anna: Co się dzieje?

Asmodeusz: Chyba umarłem!

Anna: Że co?

Asmodeusz: Przez chwilę! Zamknąłem oczy i jakby… odpłynąłem. Straciłem wszelką więź z otoczeniem, świadomość własnego

ciała i właściwie czegokolwiek… Taka mała śmierć. Jakbym został na moment wyłączony ze świata.

Anna: Nie na moment. Na półtorej godziny.

Asmodeusz: To trwało półtorej godziny?! I nie zrobiłaś nic, żeby mi pomóc?!

Anna: Spałeś. Antyczni ludzie robili to dość często.

Asmodeusz: Popełniali tymczasowe samobójstwo? Dlaczego nas przed tym nie ostrzegłaś?! To powinny być twoje pierwsze słowa do nas! „Pamiętajcie, jeśli przyjmiecie komfortową pozycję i pozostaniecie bez ruchu z zamkniętymi oczami, to otrzecie się o śmierć!".

Anna: Pieprzony histeryk.

Asmodeusz: Słucham? Coś mówiłaś?

Anna: Nie.

Asmodeusz: Twoje usta się poruszyły. Coś mówiłaś. Czy to była jakaś złośliwość pod moim adresem?

Anna: Nie.

Asmodeusz: Czy powiedziałabyś mi prawdę, gdyby było inaczej?

Anna: Nie.

Asmodeusz: Więc nie mogę ci wierzyć! A jeśli ciągle wygłaszasz za moimi plecami nieuprzejme uwagi? Jak mogę…

Anna: Patrz, kot.

Asmodeusz: Gdzie?

***

Asmodeusz: Jestem królem jaszczurek! Mogę wszystko!

Anna: Zejdź z dachu.

Asmodeusz: Usłyszcie mnie, tramwaje i łabędzie! Przybywajcie na moje wezwanie!

Liv: Miałam zapytać, dlaczego mnie wzywałaś, ale chyba już wszystko jasne.

Anna: Mhm.

Liv: Ostrzegałam, żeby trzymać ich z dala od alkoholu, szczególnie w ciągu pierwszych dni.

Anna: Ostrzegałaś. Ale wiesz, jak ciężko upilnować „króla jaszczurek".

Asmodeusz: Niech się dzieje wola nieba! Teraz zakąski mi potrzeba!

Stefan: Skąd mu się wzięły te cytaty? Zatrzasnęłaś go w czytelni?

Liv: Jakiś pomysł, jak go stamtąd ściągnąć?

Asmodeusz: Jestem bogiem!

Odyn: Ekhem…

Anna: Mogłabym rzucić w niego kamieniem.

Stefan: W jaki sposób miałoby to pomóc?

Anna: Nie wiem. Ale mam na to straszną ochotę.

Liv: Jakieś inne pomysły?

Stefan: Nie.

Anna: Nie.

Liv: No to rzucaj.

***

Minęły dni obfitujące w intensywne doświadczenia, konfundujące interakcje i niedowierzające pytania. Członkowie Komitetu zachłannie, choć nie bez trudu, przyswajali sobie nową wiedzę, ciągle domagając się szczegółowych opisów i dodatkowych wyjaśnień. Drążyli równie uporczywie kwestie trywialne, co te absolutnie kluczowe. Liv, Stefan i Anna musieli odpowiadać na dziesiątki pytań.

O gesty powitalne – „Czy jest jakiś rozsądny powód, dla którego mamy się witać rękami, a nie nogami?". O internet – „Wpisałem w wyszukiwarkę to hasło, ale w rezultacie otrzymałem jedynie kilkadziesiąt tysięcy obrazów, wszystkie przedstawiały męskie genitalia. Czy to urządzenie na pewno dobrze działa?". O klaunów – „Rozrywka?!

Dla dzieci?!". O papierosy – „Ale jeśli wszyscy wiedzieli, że to jednoznacznie i uniwersalnie szkodliwe, to dlaczego…". O globalne ocieplenie – „Ale jeśli wszyscy wiedzieli, że to jednoznacznie i uniwersalnie szkodliwe, to dlaczego…". O „Taniec z gwiazdami" – „Ale jeśli wszyscy wiedzieli, że… Nieważne".

Przed wyjściem na miasto nadal dzielili się na grupy, by łatwiej było zapanować nad ogarniętymi dziecięcą ciekawością członkami Komitetu, ale składy za każdym razem podlegały przemieszaniu – po części po to, by goście mogli dobrze się poznać ze wszystkimi przewodnikami, ale głównie dlatego, że po pierwszym dniu Anna kategorycznie odmówiła codziennego użerania się z Asmodeuszem i zagroziła, że porzuci całe przedsięwzięcie, jeśli nie zostanie wprowadzona regularna rotacja.

Nie dało się nie zauważyć, że wszyscy się zmieniali. Zaczęli jako czyste karty, ale od tej pory ich ścieżki coraz bardziej się rozchodziły. Wyrabiali sobie opinie, style poznawcze i style bycia, ulubione powiedzenia i zainteresowania. Jednych lubiło się bardziej, innych mniej. Asmodeusza nie lubiło się wcale.

Nieograniczone, niezdefiniowane, bezbłędne istoty, jakimi byli wcześniej, zostały wciśnięte w wąskie ramy ciał. Niczym gazom wtłoczonym do naczyń nagle narzucono im kształty. Zaczęli dostrzegać w sobie preferencje i przyzwyczajenia, które nie miały żadnego racjonalnego uzasadnienia, a mimo to niejednokrotnie zajmowały priorytetowe miejsce w procesie decyzyjnym, zepchnąwszy rozsądek na dalszy plan.

Janowi spodobał się nagle kolor zielony, choć za żadne skarby nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego ten właśnie. Hanna lubiła sok pomarańczowy, ale mandarynkowy uznawała za obrzydliwy. Asmodeusz ogłosił wszem i wobec, że bardzo lubi bywać w filharmonii, zanim jeszcze wyjaśniono mu, co to właściwie jest. Decyzję uzasadnił tym, że już sama nazwa brzmi bardzo dostojnie i to mu wystarczy. W dyskusji, która potem nastąpiła, wszyscy członkowie

Komitetu zgodzili się, że, ogólnie rzecz biorąc, obecność dostojeństwa jest lepsza niż jego brak, ale nikt nie zdołał przytoczyć żadnych argumentów na poparcie tego poglądu.

Miejsca, przedmioty i osoby z otaczającego ich świata nieustannie były w ich mózgach łączone z różnymi skojarzeniami i doznaniami, zyskując pozytywne lub negatywne nacechowanie. Czasami przebiegało to w zrozumiały i w pełni uzasadniony sposób, jak wtedy, gdy Jack spróbował wspiąć się na drabinę i spadł z niej, po czym już zawsze unikał drabin i nic nie mogło go nakłonić do dotknięcia stopą szczebla.

Równie często ich preferencje zdawały się kształtować w sposób całkiem arbitralny i przypadkowy. Jan zobaczył kiedyś plakat przedstawiający atrakcyjną kobietę pijącą piwo imbirowe i od tej pory zawsze domagał się tego napoju przy posiłkach. Gdy Liv wytłumaczyła mu koncept reklamy jako budowania pozytywnych skojarzeń z produktami, oświadczył, że doskonale rozumie, i przyznał jej zupełną rację, pozostał jednak wielkim miłośnikiem piwa imbirowego.

Nie spełniły się natomiast obawy Liv co do relacji członków Komitetu z atrapami „zaludniającymi" teren muzeum. Wdawali się z nimi w dyskusje, kłócili się lub flirtowali (mniej lub bardziej świadomi tego, co robią). Trójka przewodników próbowała zaszczepić w zwiedzających muzeum szacunek do tego świata – mieli się w nim poruszać, doświadczać go i poznawać, ale nie była to ich prywatna piaskownica. Jeśli się dało, należało dążyć do zachowania środowiska w jego pierwotnym kształcie.

Prawidła dotyczące drabin i piwa imbirowego działały też oczywiście w odniesieniu do przechodniów. Członkowie Komitetu nierzadko nagle i irracjonalnie obdarzali sympatią maszyny mijane na ulicach, spotykane w restauracjach, a w kilku przypadkach również potrącone samochodem przez Asmodeusza. Czasami twarz migająca w tłumie rozpalała napędzaną biochemicznie wyobraźnię

kogoś z grupy. Innym razem krzywy uśmiech androida po drugiej stronie ulicy prowokował wybuch irracjonalnej złości. Albo też napotkana imitacja profesora filozofii powodowała, że ktoś zaczął kwestionować wszystko, co wiedział o swoim otoczeniu. Lub atrakcyjny mężczyzna oparty o przystanek autobusowy sprawiał, że Jack i Hanna przestawali kwestionować cokolwiek.

Wszystko na tym świecie i w ich przybranych ciałach było dla tych z Komitetu całkiem nowe, więc zwyczajowa hierarchia intensywności doświadczeń nie miała w ich przypadku uzasadnienia. Seks, gra w bilard, uliczna bójka i stąpanie po chodniku tak, żeby nie deptać po pękniętych płytach, dostarczały im dokładnie takiej samej stymulacji. Przewodnicy nie musieli się więc nadmiernie wysilać, wiedząc, że absolutnie wszystko, włącznie z łuszczącą się farbą i szumem wody w rurach, stanowiło dla zwiedzających atrakcję. Jedynym, co zdawało się nudzić ich ponad wszelkie wyobrażenie, była polityka. Zapewne dlatego, że nie stanowiła dla nich żadnej nowości.

***

– Nie podoba mi się to, że chcemy ich skłonić do podjęcia decyzji tutaj – oświadczyła Anna, krzyżując ramiona.

Członkowie Komitetu byli zajęci sprawdzaniem, kto odważy się najbardziej zbliżyć palec do płomyka świecy, podczas gdy Odyn zerkał jednym okiem i od niechcenia rozstrzygał spory o to, komu należało się zwycięstwo. Przewodnicy mieli dzięki temu jedną z nielicznych okazji, by porozmawiać tylko w trójkę. Szukanie ustronnego miejsca byłoby absurdem. Stali więc na środku zatłoczonej ulicy, całkowicie ignorując otaczające ich androidy, które od czasu do czasu wyrażały całkiem realistyczną dezaprobatę wobec tak nieuważnego blokowania przejścia, i to w godzinie szczytu.

– Dlaczego nie? – spytała Liv, pokazując środkowy palec staruszce, która omijała ich demonstracyjnie, fukając na „bezczelnych imigrantów". – Losy tego świata powinny się rozstrzygnąć w jego granicach. Chcą zamknąć muzeum? Zlikwidować autentyczne obiekty z poprzednich epok i doskonale odtworzone, żywe repliki miast z przeszłości naszej cywilizacji? Wygasić Ziemię niczym niepotrzebną żarówkę, bo pochłania energię, którą lepiej byłoby poświęcić na tworzenie nowych, wirtualnych światów? Proszę bardzo! Ale niech mają odwagę zdecydować o tym tutaj, gdzie dokona się dzieło zniszczenia.

– Mam wrażenie, że to manipulacja.

– Sama poparłaś ten plan – wtrącił Stefan.

– Wcześniej, zanim tu przybyliśmy. Teraz jednak widzę, jak bardzo się zmienili przez te ciała… Jak my się zmieniliśmy. Nie jestem już pewna, czy dobrze robimy.

– Powinniśmy się trzymać wcześniejszych ustaleń. Wtedy myśleliśmy jasno. Teraz mogą nami kierować…

– Co? Emocje? Błędy poznawcze? Tak jak członkami Komitetu, których chcemy skłonić do głosowania, gdy działają na nich te same skrzywienia zaburzające optymalny proces decyzyjny?

– Czy to w ogóle byłoby wiążące? – zawahał się nagle Stefan.

– Dlaczego by nie? – zirytowała się Liv. – Dlaczego decyzja wydana w rzeczywistym świecie miałaby być mniej ważna niż ta podjęta w świecie wirtualnym?

– Nie sądzę, żeby rozpatrywanie procedur Komitetu w kategoriach zdrowego rozsądku miało nas gdziekolwiek zaprowadzić. – Anna wzruszyła ramionami. – Tym niemniej zdziwiłabym się, gdyby w ich statucie znalazł się zakaz obradowania w przestrzeni fizycznej. Nikomu taka możliwość zapewne nie przyszła na myśl. Co nie znaczy, że powinniśmy wykorzystywać tę lukę…

– Sądziłam, że jesteśmy w zgodzie co do tego, że uważamy ten świat za wart zachowania. – Liv zatoczyła się, gdy jakiś dzieciak

zapatrzony w ekran smartfona zderzył się z jej plecami, ale zaraz kontynuowała. – Pomijając to miasto i inne repliki, które zbudowaliśmy, a nawet autentyczne zabytki, o których wiemy już wszystko… Czy nie ma jakiejś wartości w tym, że grunt pod naszymi nogami to ten sam, na którym rodziła się nasza cywilizacja? Nawet jeśli ta planeta nie jest nam już do niczego potrzebna i nadaje się jedynie na muzeum, to czy nie powinniśmy jej zachować jako łącznika z przeszłością?

– Nikt się z tym nie kłóci – mruknął Stefan.

– Anna?

– Dobrze, róbmy, jak chcesz. Rozumiem jednak również perspektywę Komitetu. Zastąpienie rzeczywistego muzeum symulacją ma pewne…

– Ależ drodzy państwo! My przecież żyjemy w symulacji!

Między nich wmieszał się nagle brodaty android, w którego oczach płonął proroczy zapał.

– Wszystko, co widzicie wokół siebie, z innymi ludźmi włącznie, to tylko komputerowo wygenerowane obrazy! Nic z tego nie jest rzeczywiste!

– To po co się do nas odzywasz? – odcięła się Liv, której rezerwy cierpliwości zostały już wyczerpane przez Asmodeusza.

– I dlaczego mielibyśmy wierzyć, że akurat ty jesteś rzeczywisty? – dodał refleksyjnie Stefan.

– Ha! Doskonałe pytania. Podoba mi się, jak myślicie! Znacie państwo na pewno argument Bostroma, prawda?

– Nie – warknęła Liv, aby pozbyć się natręta.

– Jeśli przyjmujemy, że kiedykolwiek w przyszłości powstaną dojrzałe technologicznie cywilizacje, będą one zdolne do tworzenia ogromnych liczb symulowanych bytów przy małym wydatku energetycznym. O ile więc będą miały chociaż minimalne zainteresowanie tworzeniem symulacji przodków, liczba symulacji będzie

nieproporcjonalnie większa niż nie-symulacji, a zatem bardziej prawdopodobne jest, że żyjemy w symulacji, niż że nie.

Liv poczuła napływ niepohamowanej, irracjonalnej wrogości.

– A co ty o tym możesz wiedzieć, nędzna imitacjo człowieka?

Tamten stropił się nieco, ale zaraz odpowiedział ze wznowionym entuzjazmem:

– To właściwe podejście! Widzę, że szybko się pani uczy!

– Zejdź mi z oczu, bezmyślna maszyno.

– No, to już nie jest całkiem prawidłowe rozumowanie. Uważam za prawdopodobne to, że jestem wirtualnym bytem, a nic wokół mnie nie istnieje w rzeczywistości, ale to nie znaczy, że nie posiadam zdolności do samodzielnego myślenia albo że moje subiektywne przekonanie o posiadaniu wolnej woli jest fałszywe. Cogito ergo sum, nawet jeśli tylko cyfrowe sum.

Liv odwróciła się gwałtownie i zaczęła szybko iść w przeciwnym kierunku. Nie mogła uwierzyć, że straciła nad sobą panowanie do tego stopnia, że zaczęła kłócić się z robotem. Wszystko przez to przeklęte, antyczne ciało i jego emocjonalne, nieadekwatne reakcje.

Mimo to doznała kolejnej fali chemicznej satysfakcji, gdy na odchodnym zawołała jeszcze do brodacza:

– To, że przeszedłeś test Turinga, nie znaczy jeszcze, że jesteś samoświadomy, ty krzemowa małpo!

***

Liv trafiła na przewodniczącego Komitetu, gdy ten siedział na ławce nad brzegiem rzeki, karmiąc kruki okruchami chleba.

– Muszę przyznać, że jest to fascynujące doświadczenie – powiedział, gdy usiadła obok. – Zanurzanie się tak głęboko w konkretną epokę, by zrozumieć ją w najdrobniejszych szczegółach… To przysporzyło mi wrażeń, których zabrakło podczas moich wcześniejszych eksperymentów z cielesnością.

– Czy to znaczy, że Komitet przychyli się do mojego wniosku?

– Zajmowanie definitywnego stanowiska, zanim wszyscy członkowie ostatecznie zabiorą głos, a sprawa zostanie poddana odpowiedniemu procesowi, byłoby wysoce niewłaściwe i całkowicie niezgodne z naszymi zasadami postępowania.

– Ale…?

– Moje prywatne stanowisko, i chciałbym podkreślić, że w tej chwili nie wypowiadam się jako przewodniczący Komitetu, jest takie, że nasza wyprawa to bardzo cenne doświadczenie, które powinno być kultywowane. Może nawet powinniśmy przedłożyć w odpowiednich strukturach wniosek kampanii propagującej podjęcie takiego zanurzenia w dowolnej przeszłej epoce przynajmniej raz przez każdą autonomiczną jednostkę. Nie widzę jednak powodu, by odbywało się to, że tak powiem, na lokacji.

Jeden z kruków przysiadł na oparciu ławki, przyglądając się Liv badawczo jednym okiem.

– Nie bardzo rozumiem – zwróciła się do przewodniczącego.

– Utrzymywanie realnego muzeum o rozmiarze całej planety to znaczny wydatek energetyczny, a wiadomo, jak kierownictwo zapatruje się na siły i środki alokowane na obiekty fizyczne. Ich zdaniem powinniśmy przeznaczać na te cele tylko niezbędne minimum. Tymczasem moglibyśmy takie same efekty jak tutaj osiągnąć w postaci symulacji bez żadnych kosztów.

– Istotą wartości tego doświadczenia nie jest rekonstrukcja świata z epoki, lecz zanurzenie się w nim poprzez przybranie antycznej postaci, realnego ciała.

– Rozumiem to doskonale. Moglibyśmy jednak to wszystko wytworzyć wirtualnie.

– Nie mo…

– Wszystko. Nie tylko formę prezentacji, to znaczy wąskie spektrum informacji dostarczanych przez zmysły, ale również sam wpływ ograniczenia zdolności poznawczych przez suboptymalną

konstrukcję mózgu. A także chwiejne emocje, hormony, zaburzenia pamięci, wahania nastrojów… Cały ten cielesny, biochemiczny koktajl, który wypacza zdolność do poznawania świata, napędza irracjonalne akcje, motywuje do działania, skłania do sympatii i antypatii…

– To nie będzie to samo.

– Według jakiej miary? Mówimy przecież o doświadczeniu, przeżyciu, o tym, co jest dane naszej świadomości. Skoro jesteśmy w stanie odtworzyć w symulacji wszystkie wrażenia, jakie wiążą się z cielesnością, to na czym miałaby polegać wyższość odczuwania tego samego w realnym świecie?

– Chodzi o rzeczywistość, o postrzeganie rzeczy takimi, jakimi są, o bezpośrednią interakcję.

– Ludzka percepcja niczego nie pokazuje takim, jakim jest naprawdę. Liście tego drzewa wcale nie są zielone same z siebie. Zieloność to konstrukt, który powstaje w moim układzie nerwowym. Zmysły to narzędzia do przetwarzania informacji z zewnątrz, a nie poznawania ich takimi, jakimi są w swej istocie. Bo i czym miałaby ta istota być? Korą drzewa czy atomami, z którego się składa? Czy dopiero na poziomie kwarków rzeczy są tym, czym są naprawdę?

Najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi, bo wstał, gdy tylko to powiedział, i zaczął energicznie otrzepywać ubranie z okruszków. Kruki kręciły się dookoła, popatrując na Liv, jakby pytały: „A ty, co dla nas masz?”.

– Spędziłaś dużo czasu w Muzeum – powiedział Odyn na odchodnym. – Tak długie przebywanie w fizycznym ciele zmienia perspektywę, sprawia, że zacierają się granice. Zapominasz o tym, co w naturalnym środowisku byłoby dla ciebie oczywiste. Chciałaś nam pokazać to miejsce, by czegoś nas nauczyć. Może jednak ty również znajdziesz tutaj jakąś lekcję.

Zostawił ją na ławce, otoczoną krukami.

***

Liv: Nie dotykaj.

Asmodeusz: Ale ja bardzo chcę!

Liv: Nie dotykaj.

Asmodeusz: Nie możesz mi rozkazywać!

Liv: Nie dotykaj.

Asmodeusz: AAA!

Liv: Mówiłam.

Asmodeusz: Auuuaaa!

Stefan: Przybiegłem, jak tylko… Co mu się stało?!

Asmodeusz: AAA! Pomooocy!

Liv: Kupił koszulę ze zbyt krótkim rękawem i postanowił skrócić sobie rękę, żeby lepiej pasowała.

Stefan: Naprawdę?

Liv: Nie. Skaleczył tylko palec wskazujący.

Asmodeusz: AAA!

***

Liv przyłożyła dłoń do czoła.

– Żelki?

– Tak – potwierdził Stefan, zachowując kamienną twarz.

– Pobili się o żelki?

– Tak. Ale teraz już wszystko w porządku. Pogodzili się.

– Co teraz robią?

– Anna pokazała im „Gwiezdne wojny" i Asmodeusz stwierdził, że postać Jar Jar Binksa stanowi szczytowe osiągnięcie kinematografii tej epoki. Teraz pozostali członkowie Komitetu ganiają go po mieście z imitacjami mieczy świetlnych. Anna pilnuje, żeby nic sobie przy tym nie zrobili. I żeby Asmodeusz oberwał odpowiednio mocno.

– Chciałeś o czymś porozmawiać.

– Ten wypadek z ręką Asmodeusza nasunął mi pewien pomysł.

– Jak odpowiedzieć na plan Odyna? Z przeniesieniem całego muzeum do sfery wirtualnej?

– Tak. Jest jeden argument, którego możemy użyć.

– Słucham.

– Ostatni bastion rzeczywistości. Śmierć.

Milczała, czekając na ciąg dalszy.

– Tylko tego nie można zreplikować w symulacji – podjął Stefan. – Ostatecznej konsekwencji. Wyznacznikiem rzeczywistości nie jest intensywność doznania uderzenia dużym palcem stopy o kant szafy, lecz nieodwracalność wszystkiego, co się dzieje, i stałej obecności możliwości, że wszystko zakończy się raz na zawsze. Rzeczywiste istnienie to istnienie w obliczu śmierci. O tym musimy im przypomnieć. Dotąd to wszystko było dla nich zabawą, wycieczką w nowe miejsce. Ale ciągle są tylko turystami w tym świecie, nie podlegają jego prawom. Nie czują strachu przed śmiercią tak, jak czuli go ci, którzy kiedyś zamieszkiwali tę planetę.

– Pamiętasz chyba, że śmierć tutaj nie będzie dla nich oznaczać realnego końca istnienia? Ich cyfrowe byty są znacznie rozleglejsze niż ich lokalne wcielenia. Tak naprawdę nic im nie grozi.

– Oni jednak chyba o tym nie wiedzą?

Rozważyła jego słowa.

– Może tak, a może nie. To bez znaczenia – przyznała. – Nawet jeśli rozumieją, że nic im nie grozi, to tylko na abstrakcyjnym, intelektualnym poziomie. W sytuacji zagrożenia ich ciała i tak będą wrzeszczeć i generować adrenalinę. Nawet jeśli ktoś jest przekonany, że po śmierci przeniesie się tylko do innego, lepszego miejsca, w kluczowym momencie i tak jego ciało zmusi go do walki o życie. Masz rację. To jest to, czego potrzebujemy. Tej chwili, gdy wszystko wisi na cienkiej nitce. Damy im coś, co unaoczni im, że nie wszystko można odtworzyć w symulacji. Pokażemy im ciężar rzeczywistości.

***

Miała oczywiście plan. Nie mogła liczyć na Annę, więc została pozbawiona dodatkowego wsparcia. Musiała być cierpliwa i dokładna. Czekać na właściwą okazję.

Wszystko to przestało mieć znaczenie w jednym, niewytłumaczalnym momencie. Stali na Alejach Jerozolimskich, obserwując nadjeżdżający tramwaj. Trudno powiedzieć, co się właściwie stało. Jakiś nieuważny przechodzień ją popchnął, ktoś z Komitetu powiedział coś irytująco głupiego, wszędzie wokoło panował tłok, aż nie dało się oddychać. Fala gniewu przetoczyła się przez jej ciało i zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi, klęczała już na plecach Jana, przyciskając go do ziemi, a jego głowę do szyn, na drodze nadjeżdżającego tramwaju. Jan wiercił się i wrzeszczał, niezdolny zrzucić jej z siebie, a kilku przechodniów wydało z siebie bardzo przekonujące i całkiem realistyczne okrzyki.

– Czy teraz rozumiesz? – wrzasnęła leżącemu prosto do ucha, a żelazne koła zbliżały się coraz bardziej. – Czy teraz wiesz, kim jesteś? Dlaczego potrzebujemy tego świata, ostatniego łącznika z tym, czym kiedyś byliśmy? Czy teraz wreszcie czujesz się w pełni człowiekiem?!

– Obawiam się, że na to może już być za późno – zabrzmiał z tyłu głęboki głos Odyna. – Dla nas wszystkich.

Rozpędzony tramwaj zatrzymał się nagle tuż przed nimi bez żadnej drogi hamowania. Otworzyły się drzwi i wysiadł motorniczy. Skłonił się teatralnie Odynowi, a potem zamigotał w chmurze błyszczących pikseli i zniknął.

Stefan ciężko opadł na kolana. Liv nadal przyciskała twarz Jana do szyny, niezdolna zareagować w jakikolwiek sposób.

– Na tym zakończymy tę wycieczkę po projekcie nowej, symulowanej instalacji Muzeum Dwudziestego Pierwszego wieku – oświadczył przewodniczący Komitetu, stając tuż przed nią. – Mam

nadzieję, że posłużyła za wystarczającą demonstrację naszych możliwości. Cieszę się, że mogłem być twoim przewodnikiem.

Poderwała się nagle i zatoczyła, przyciskając dłonie do głowy w bezradnym, rozpaczliwym geście. Odyn powoli uniósł rękę i demonstracyjnie pstryknął palcami. Pałac Kultury i Nauki się rozpłynął. Została po nim ogromna wyrwa w krajobrazie miasta.

– Nie! – wrzasnęła.

Przewodniczący Komitetu uśmiechnął się do niej łagodnie, a potem ponownie pstryknął palcami. Przesadna teatralność tego gestu rozwścieczyła ją bardziej niż jego implikacje. Zniknął jeden z sięgających nieba biurowców.

Uderzyła pięścią w ścianę przystanku, ale ta wyparowała w momencie kontaktu z jej ciałem. Odyn, najwyraźniej z czystej złośliwości, jaka przysługiwała wszechmocnym, pozbawił ją nawet prymitywnej satysfakcji zderzenia z czymś twardym, stawiającym opór.

Połowa ulicy odpadła nagle, jakby ucięta nożem, zabierając ze sobą wszystkie budynki, samochody, a nawet niebo. Czarna, nieprzenikniona ściana wyrosła nagle w połowie Alei Jerozolimskich. Przechodnie nadal poruszali się w tym samym, bezmyślnym rytmie i dopiero gdy pospieszne kroki niosły ich poza przepaść, spadali w mrok, krzycząc rozpaczliwie.

– Decyzja została podjęta już dawno – oświadczył Odyn i rozpłynął się, a wraz z nim pozostali członkowie Komitetu.

Liv została sama pośród dezintegrującego się świata, który nigdy nie był tym, za co był brany.

Jej niezgrabne, ograniczające w swej irytującej, nieustannej obecności ciało gdzieś zniknęło. Przepadły obrazy, dźwięki i zapachy dostarczane przez zmysły. Zabrakło nagle strachu, gniewu, nadziei. Ponownie była już tylko myśl, bezbłędna i wszechogarniająca. Ona, która już nie potrzebowała imienia, wiedziała teraz wszystko.

Ale nie czuła nic.

Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Michał Gola
Kontrola redakcji: Anna Dudało
Korekta: Patrycja Kurczewska, Aleksandra Janiszewska, Kaja Jaroszewska, Beata Sagan-Szendzielorz
Weryfikacja: Magda Kowalewicz, Patrycja Pancerz, Anna Twarowska, Karolina Rogala
Kontrola weryfikacji: Dawid Wiktorski
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Vivi Ekhart

DŁUGOŚĆ DŹWIĘKU PRZECIĘTNOŚCI

Krzysztof Matkowski

Najbliższych ludzi znał tylko z widzenia. Czasem do nich mówił: dzień dobry, ładna pogoda, nie ma to jak spacer z psem, prawda? Nigdy nie odpowiadali – przez lornetkę obserwował ich zaciśnięte usta.

Czasem więc jedynie patrzył. Z co najmniej trzystu metrów, maksymalnie czterdzieści minut dziennie. Bał się bliżej, bał się dłużej, a przede wszystkim bał się, że w końcu ulegnie pokusie: pójdzie do miasta i zniknie tak jak ci, których kiedyś znał.

Tego dnia, gdy zjawił się obcy człowiek z brzydką piosenką na ustach, chłopak podglądał najbliższą z najbliższych. Leżał na skraju lasu, w stercie żółtoczerwonych liści, które chroniły nieco przed październikowym chłodem, i przyciskał lornetkę do oczu tak, że aż bolało.

Dziewczyna spacerowała samotnie. Krok miała ten sam, co inni mieszkańcy Opola: nie za szybki, nie za wolny. Włosy czesała zwyczajnie, po tutejszemu – najczęściej miała je rozpuszczone, a w wietrzne lub ciepłe dni wiązała prosty warkocz – jednak Kevin

pamiętał, że na początku, kiedy ją poznał, były różowe. I krótsze. Teraz odrosły, farbę zastąpił naturalny blond.

Kochał dziewczynę – chyba – za wspomnienie tych dawnych włosów, za jej gładką twarz, kobiecą sylwetkę (niegdyś szczuplejszą), bo nie miał nic innego, za co mógłby kochać.

– Cześć, Nika – przywitał ją zmyślonym imieniem. – Znowu się zrobi zimno, nie?

Nie odpowiedziała. Szła ścieżką biegnącą wzdłuż obwodnicy, po której prawie nikt nie jeździł. Szła nijakim krokiem, z rękami w kieszeniach szarego płaszcza, z szyją otuloną pomarańczowym szalikiem. Szła, bo inni też tak chadzali.

– Co byś zrobiła, gdybyś dowiedziała się, że tu jestem? – zapytał, po czym ciszej dodał: – Co byście zrobili?

Dziewczyna milczała. Miasto milczało. Kevin był skazany na to, co zawsze: drzewa szumiały po swojemu, ptaki śpiewały po staremu – niby różnorodnie, ale ta różnorodność melodii lasu zlewała się w jeden, długi dźwięk, dźwięk trwający już ponad dwadzieścia miesięcy, dźwięk, który skończył się tego dnia.

Brzydka piosenka wypełzła z szelestu opadających liści.

Kevin zastygł – na ucieczkę za późno, jednak istniała szansa, że nadchodzący z głębi lasu intruz go nie zauważy. Wsłuchał się w słowa.

Było coś o Karolince i Gogolinie, ale też o kurwach i chujach. Wulgarność przeróbki zdawała się kruszyć świat chłopaka. Pamiętał przecież: tata uczył go tej piosenki, nie zmieniał „flaszeczki wina" na coś bardziej odpowiedniego dla dziecka.

Lata później kazał synowi pójść do lasu, za miasto, przeczekać, a jeśli ktoś szedłby za nim, to albo uciec, albo zabić.

Teraz ktoś go w końcu dogonił.

Kevin obrócił się na plecy, chwycił wiatrówkę i wycelował w zarośla.

Młody mężczyzna, który się z nich wyłonił, nie miał broni, plecaka ani prawego ucha. W jednej ręce trzymał borowika, drugą ukrywał w kieszeni wojskowego munduru. Na widok chłopaka przestał śpiewać. Wyprostował się, uśmiechnął.

Kevin odbezpieczył wiatrówkę, położył palec na spuście i zamarł. Po raz pierwszy od dwóch lat znalazł się tak blisko innego człowieka. Słyszał oddech tamtego, czuł bijący od niego zapach potu i dymu. Widział wyraźnie brud za paznokciami, szczerbę między zębami, kępkę włosów pod jedynym uchem, ominiętą podczas porannego golenia. Mógł policzyć dziury w wojskowej kurtce i przetarcia na spodniach moro. Jedno nie ulegało wątpliwości: obcy nie był z Opola.

Mężczyzna też przyglądał się Kevinowi, wciąż leżącemu w liściach. Ocenił wiatrówkę, dostrzegł zawieszoną na szyi lornetkę, w końcu uniósł wzrok – zauważył spacerującą w oddali postać i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nie chciałem przeszkadzać… – powiedział chropawym głosem.

Kevin milczał. W końcu wypuścił powietrze, ale nie zdjął palca ze spustu. Ręce drętwiały od niewygodnej pozycji.

– Nie bój się, młody, nic ci nie zrobię. Ty też mi nic nie zrobisz. Na pewno nie tą pukawką na kuropatwy. Chcesz grzybka?

Chłopak pokręcił głową. Mężczyzna wzruszył ramionami i wyrzucił borowika. Przykucnął. Kevin opuścił broń.

– Proszę.

– Hę? Co tam mamroczesz, młody?

– Niech pan odejdzie.

– Pan? Kurwa mać, dawno mnie tak nikt nie nazywał. Wiesz, jak zazwyczaj na mnie mówią?

Kevin nie reagował. Tylko patrzył.

Tamten machnął ręką.

– Nieważne. Możesz mówić na mnie… – Spojrzał w stronę obwodnicy, za którą znajdowało się miasto. – Roch. Pasuje?

– W ogóle nie chcę do ciebie mówić.

– Oho, ktoś tu zdziczał. Nie jesteś z miasta, prawda, chłopaku?

– Jestem.

– Ale tam nie mieszkasz. Teraz jesteś wyrzutkiem, samotnikiem, zbokiem, który tęskni za innymi ludźmi, więc przygląda się im z daleka i wali konia do co ładniejszych dupeczek. Spotkałem już takich… Ej, ej, ej, dokąd to?

Kevin zerwał się z ziemi i ruszył szybkim krokiem w głąb lasu. Wiedział, że nie starczy mu odwagi, by zrobić krzywdę obcemu człowiekowi.

Roch go dogonił. Dopiero teraz, gdy szli obok siebie, było widać, że jest wyższy od Kevina o głowę.

– Zaczekaj, pogadajmy, nie bądź chujem.

– Nie.

– Czemu?

– Nie gadam z ludźmi. A skoro podróżujesz, to dobrze wiesz czemu.

– Młody, kurwa, bystry jesteś, pomyśl. Podróżuję, więc wiem co nieco, widziałem co nieco. Nie chcesz się dowiedzieć, co słychać w wielkim świecie? Odrobina towarzystwa ci nie zaszkodzi.

– Zaszkodzi.

– Spotkałem już takich, którzy unikali kontaktu z innymi ludźmi. – Roch podrapał się po bliźnie z boku głowy. – Czasem rzeczywiście byli sami, ale często towarzyszyły im kruki. Dziobały ich dyndające na drzewach ciała.

– Yhm.

– Wiesz, do czego zmierzam? Każdy prędzej czy później oszaleje, jeśli z nikim nie pogada. Każdy. Zjedzmy kolację, a potem…

Kevin zaczął uciekać. Ścigał go tylko chropawy głos, fałszujący refren starej piosenki: „…a kiedyś cię znajdę, jestem coraz bliżej”.

***

Do domu wracał głównie z powodu telewizora.

Tej nocy, gdy pierwszy raz uciekał przed Rochem, także się tam udał, choć znał bezpieczniejsze i przyjemniejsze kryjówki. Na ulicy było pusto, ciemno, cicho – jak zawsze między północą a trzecią.

O tej porze często jeździł do miasta. Mknął rowerem po Ozimskiej, mijał nieczynny McDonald, śpiące osiedle, park, w którym kwitnące wiosną kasztany zawsze zwiastowały czas matury. Główna arteria Opola oraz wszystkie opustoszałe tętnice i tętniczki należały tylko do Kevina, jeśli nie liczyć sporadycznych, pędzących w milczeniu karetek – wszyscy mieszkańcy próbowali spać, a niektórzy umierali.

Lubił centrum. Lubił ratusz, oświetlony tylko światłem gwiazd i księżyca, lubił katedrę, otwartą nieustannie. Lubił w końcu słynny amfiteatr, do którego bez problemów się włamywał. Stawał wtedy na scenie i patrzył na pustą widownię. Nie śpiewał.

Najchętniej przesiadywał przy małej restauracji nad kanałem i w wyobraźni przesuwał czas o pół doby do przodu lub do tyłu, by Grabówka była czynna, wypełniona ludźmi i zapachem naleśników. Niekiedy zakradał się pod okna mieszkań, wchodził po rynnach, zaglądał przez szyby. Nasłuchiwał. Chrapanie mieszkańców przypominało mu, że nie jest jedynym człowiekiem. Zazdrościł tym ludziom spokojnego snu. Zazdrościł miastu.

Tym razem musiał przypomnieć sobie coś innego. Do domu dotarł pieszo, oglądając się za siebie. Klucz wciąż pasował. W środku wszystko po staremu, jakby Kevin po prostu wracał z imprezy, ostrożnie, na palcach, by nie zbudzić rodziców. Kurtki na wieszakach, buty rozrzucone po przedpokoju w tradycyjnym nieładzie. Na parapecie kasztany – każdej jesieni nadchodził dzień, kiedy matka przynosiła je do domu. Nikt nie wiedział po co.

Dwa lata temu obok tych kasztanów Kevin znalazł dwie rzeczy, które zostawił mu ojciec. Płytę DVD: w przezroczystym pudełku, srebrną, niepodpisaną. I książkę: „Drogę" Cormaca McCarthy'ego, wydanie z Viggem Mortensenem na okładce. Wtedy chłopak zrozumiał coś, czego nikt nie chciał powiedzieć na głos: świat się kończył. Ludzi wprawdzie umierało tyle co zawsze, ale zmieniali się szybciej, niż powinni.

Przyświecając sobie latarką, poszedł do salonu i uruchomił telewizor. Dziwiło go, że mieszkańcy Opola wciąż nie zajęli się pustostanami – widocznie nie znał miasta zbyt dobrze.

Sprawdził, czy telewizja satelitarna odbiera. Czarny ekran – a więc bez zmian.

Kablówki nie włączał. Wiedział, że jedna stacja wciąż działa.

Płyta DVD była już w odtwarzaczu. Kevin zwlekał. Zdawał sobie sprawę, że musi to zrobić, by pamiętać: kim jest, kim są rodzice i dlaczego ich nie ma. Usiadł na podłodze, blisko ekranu. Włączył film.

– Nazywasz się Kevin Patryk Dąbrowski – powiedział ojciec z telewizora. – A ja nie wiem, kim jesteś. Znam cię od piętnastu lat i nie przychodzi mi do głowy, jak mógłbym cię opisać.

Kevin znał jego słowa na pamięć. Myślał, że zawsze będą boleć tak samo, ale po roku powrotów do opustoszałego domu zaczął się przyzwyczajać.

– Jesteś bystry, choć czasem też głupi, jak każdy w twoim wieku – mówił dalej ojciec. – Kiedyś kochałeś mnie i mamę bardziej. Nie wiem, kogo teraz kochasz, co kochasz, czy kochasz. Przez pół życia nie znosiłeś cebuli do pierogów, a potem ci zasmakowała. Za każdym razem, gdy jechaliśmy na wakacje, ty nie chciałeś jechać. Za każdym razem, gdy musieliśmy wracać, ty nie chciałeś wracać. Lubisz ambitne filmy, bo nikt z twoich kolegów ich nie lubi. Grasz na gitarze, bo wszyscy twoi koledzy grają. To samo można by

powiedzieć o setce innych nastolatków. Przepraszam, synu, ale cię nie znam. Ty sam musisz się znać. Poznać.

Cisza. Ojciec nie miał czasu wyciąć długich przerw, w trakcie których zbierał się w sobie.

– Twoja mama nazywa się Matylda Gerber-Dąbrowska. Wiesz, że jest chora. Jeśli cię zostawi, nie miej jej tego za złe. Ona… po prostu nie chciałaby, żebyś ją widział po tym, jak się poddała.

Kolejna męcząca pauza.

Dwa lata temu, gdy Kevin znalazł film i książkę, matka była już gotowa: ubrana elegancko, jak to ona, z lekkim makijażem na twarzy i ulubioną fioletową torebką na ramieniu. Później przekonał się, że to, co zazwyczaj w niej nosiła – portfel, klucze, szminkę i leki, przede wszystkim leki – zostało w domu, wysypane na niezaścielone łóżko rodziców. Matylda Dąbrowska nie wzięła ze sobą zbyt dużo. Nie wybierała się daleko.

Kiedy mijała syna w korytarzu, spojrzała mu w oczy, nie powiedziała ani słowa i wyszła.

Kevin rozumiał: pewne rzeczy się zdarzają. Ale nawet po dwóch latach łatwiej było mu zaakceptować chorobę całej ludzkości niż chorobę matki. Wspomnienie nadal bolało.

– Ja nazywam się Wojciech Dąbrowski i wiem, kim jestem. Ty nie wiesz. Znasz mnie jako ojca. Potrafię zrobić niezłą pizzę, naprawić samochód i rozpoznawać nowotwory złośliwe. Pewnie mogłem poświęcać ci więcej czasu w sprawach, które były ważne dla ciebie, i mniej zawracać głowę tym, co mnie wydawało się istotne. Mogłem też nie udawać lepszego, niż jestem w rzeczywistości.

Cisza, najdłuższa.

A w końcu:

– Muszę iść, Kevin. Niestety sam. Wiesz, co się dzieje na świecie. Ty… ty byś mnie tylko osłabiał. I tak zwlekałem zbyt długo. Czuję teraz w sobie coś obcego. Ale wciąż mam szansę coś zmienić. Nie wiem, co patomorfolog poradzi na tę chorobę… Ale zamierzam

to sprawdzić. Inaczej nic nie ma sensu. Znikniemy. Nie będzie mnie, ciebie, nikogo. Tylko… jedność. A raczej: wszystko jedno.

I po krótkiej pauzie:

– Ty też musisz iść, synu. Samotnie. Ukrywaj się przed ludźmi, ale nie odchodź zbyt daleko. W razie potrzeby zabijaj. Wracaj czasem do domu, do korzeni, oglądaj to nagranie, przypominaj sobie, dlaczego musisz, dlaczego chcesz pozostać sobą. A przede wszystkim: dorastaj, żyj, czekaj. Może ktoś zdoła sprawić, że ludzie przestaną się do siebie upodabniać. Może kiedyś będę cię potrzebował.

Koniec. Koniec filmu, koniec rodziny.

***

Roch czekał na ulicy. Nucił cicho:

– *…już dawno tutaj nie mieszka…*

– Czego chcesz? – przerwał mu Kevin, przechodząc obok.

Roch ruszył za nim. W ciemności było widać zarys szczerbatego uśmiechu.

– Towarzystwa. Choć na dzień czy dwa. Nie zrobi ci to wielkiej różnicy. Może nawet pomoże, jeśli trochę się do mnie upodobnisz. Będziesz lepiej umiał się skradać, tropić, zacierać po sobie ślady…

Chłopak szedł szybko, a mężczyzna dotrzymywał mu kroku.

– Pomyśl, młody.

Kevin myślał. Choć dzień czy dwa. Ile mógł zyskać, ile mógł stracić?

Pamiętał, jakie zmiany zachodziły na początku. Ojciec nieznacznie spoważniał. Matka częściej żartowała. Sąsiad dla odmiany odpowiedział „dzień dobry". Gośka, prymuska, prawie zapaliła papierosa. Rudy, łobuz, nieco zgrzeczniał. Polonistka, suka, odrobinę odpuściła. Historyk, luzak, trochę pokrzyczał.

Potem wszystkie nieistotne słowa – „nieznacznie", „częściej", „dla odmiany", „prawie", „nieco", „odrobinę", „trochę" – okazały się kluczowe.

Na biologii przerabiali mimikrę, jednak Kevin niczego z tej lekcji nie zapamiętał – pierwszy raz w życiu poszedł w ślady kolegi z ławki i usnął. Kilkukrotnie użył cudzych powiedzonek, w gestach znajomych dostrzegał zniekształcone odbicie własnych gestów. Chodził inaczej, czuł się inaczej. Wszystko przypominało nieśmiałą grę w przedrzeźnianie.

Najgorzej było po weekendzie, który spędził tylko z rodzicami – w ostatni poniedziałek przyłapał się na tym, że poprawiając kogoś mówiącego o raku mózgu, użył takich samych słów i intonacji jak ojciec: „Nie ma czegoś takiego, rak dotyczy tylko tkanki nabłonkowej".

Zostawili go tego dnia, kiedy władze – zbyt późno – zaapelowały, by w związku z globalną chorobą każdy pozostał w swoim domu, najlepiej w samotności. Kevin nie posłuchał. Zrobił jak najbliżsi – odszedł. Odciął się od ludzi. Z czasem, gdy ochłonął, zrozumiał, że w jego osobowości nie zaszły poważne zmiany. Ocalał.

Kilkanaście godzin w towarzystwie Rocha też nie powinno zaszkodzić. Chłopak mógłby się dowiedzieć, jak wygląda teraz świat, pospekulować na temat przyczyn, skutków i potencjalnych rozwiązań, zwyczajnie pogawędzić o samotnym życiu.

– Jeden dzień – powiedział. – Pojutrze cię tu nie ma.

– No i to rozumiem, młody. – Roch klepnął go w plecy.

Kevin się skrzywił.

Wyszli z miasta cichą, pustą, ciemną ulicą. W lesie zapalili latarki, a mężczyzna zaczął śpiewać piosenki Krzysztofa Krawczyka. Po chwili chłopakowi udzielił się dobry nastrój i choć zaciskał usta, palce same pstrykały do rytmu.

***

Kevin prawie się popłakał, kiedy rano poczuł zapach kawy. Jeszcze przez chwilę nie otwierał oczu – na wypadek gdyby jednak nie udało

mu się powstrzymać wzruszenia. W końcu uniósł powieki, wygrzebał się ze śpiwora i koców, wstał.

Kawa czekała w kuchni, w garnku, jeszcze ciepła. Nalał sobie duży kubek i poszedł szukać Rocha.

Mężczyzna siedział na schodkach przed frontowymi drzwiami. W jednej ręce trzymał drobną filiżankę, w drugiej spodek. Przyglądał się pustej ulicy.

– Dzięki – powiedział Kevin.

– Widzisz? Mówiłem, że nie gryzę.

– Nie mówiłeś.

Chłopak też przycupnął na schodku.

– No to teraz mówię. – Roch siorbnął kawę. Czterema palcami trzymał uszko filiżanki, piątym, najmniejszym, celował przed siebie. – Fajnie tu. Jak się nazywa wioska?

– Suchy Bór.

– A dom czyj? – Wskazał za siebie.

– Nie wiem. Teraz chyba mój. – Kevin upił łyk. Kawa była strasznie mocna i przydałoby się jej trochę mleka. Nie zmieniało to jednak faktu, że pierwszy raz od dwóch lat chłopak spożywał coś, co przyrządził mu inny człowiek. – Mam jeszcze kilka kryjówek, ale ci nie pokażę, sam rozumiesz.

– Gdybym chciał je znaleźć, tobym znalazł – odparł Roch z uśmiechem. – Sam rozumiesz.

– Yhm. – Chłopak otulił się szczelniej kurtką. Po chwili milczenia zapytał: – Nasza umowa ciągle aktualna? Jutro się zmywasz?

Roch się skrzywił.

– Słuchaj, młody… Jak ty się właściwie nazywasz?

– Kevin.

– Słuchaj, Kevin. O chuj ci chodzi? Co ci zależy? Na co czekasz? Myślisz, że Amerykańce przylecą helikopterami, spuszczą się na linach i podadzą wszystkim jakieś cudowne szczepionki? Takiego wała. Coś ci doradzę, chłopaku. Pierdol to. Pierdol to wszystko. Nie

ma już o co walczyć. Nie ma już komu walczyć. Bo jeśli ktoś miałby coś zrobić, to tylko tacy jak my.

Kevin czuł, że mimo październikowego chłodu robi mu się ciepło. I to nie tylko przez kawę. Po chwili rozpoznał stare, zapomniane uczucie. Nie rozumiał tylko, dlaczego prawda z ust mężczyzny tak go zawstydza.

– W te dwa lata obszedłem całą Polskę – ciągnął Roch. – Widziałem miasta, widziałem ludzi. Nikt się nie rwał, żeby coś zmieniać. Świat się skończył, zaczęły się tysiące małych pierdolonych światków, a w każdym to samo. I wszystkim to pasuje.

– Nam nie pasuje.

– No przecież mówię, że świat się skończył. Ten nasz, rzecz jasna. I wiesz, co nam zostało, Kevin?

Kevin myślał, że to pytanie retoryczne, ale Roch czekał na odpowiedź.

– Strzelić sobie w łeb? – rzucił ironicznie chłopak.

– Prawie, bo tak, strzelić sobie. Ale nie w łeb, tylko kielicha. A potem drugiego. I trzeciego, czwartego, piątego. I się bawić, zwiedzać, zapierdalać. – Mężczyzna wzniósł pustą filiżankę do toastu. – Wędruj samotnie i śpiewaj, jak powiedział ktoś kiedyś. A że jesteśmy w stolicy polskiej piosenki, tym bardziej należy śpiewać. – Zatoczył ręką, pokazując wieś. – Tyle że dzisiaj nie wędruję samotnie, bo odpoczywam z tobą. A ty? Czego właściwie chcesz?

Kevin wyobraził sobie, że Roch każdą odpowiedź kwituje kontrpytaniem: „Po co?".

– Dobra, rozumiem – odezwał się nieoczekiwanie mężczyzna. – Nie wiesz. Bo skąd miałbyś wiedzieć, skoro nikt ci nie powiedział?

– Ojciec powiedział – wymsknęło się Kevinowi.

– Co?

– Że mam pozostać sobą. I czekać.

Roch patrzył chwilę z mieszaniną obrzydzenia i fascynacji w oczach.

– Ech, chłopaku, dobrze, że mamy umowę. Spędzisz parę godzin ze mną, to może nie będziesz taki naiwny. Nie będę ci mówił, co pewnie robi teraz twój ojciec. Dopij kawę, idź się wysrać, zwalić konia czy co tam robisz o tej porze. A potem zapoznaj mnie ze swoimi koleżankami i kolegami.

***

Dwie młode kobiety spacerowały z psem po łące. Roch obserwował je przez lornetkę. Długo, łapczywie. Leżący obok Kevin przypomniał sobie kolegę ze szkoły, Darka, który często prosił o łyka, a gdy już wyprosił, przysysał się do butelki i pił, dopóki ktoś nie oderwał go siłą.

Teraz Darek pewnie nie był już taki samolubny i chciwy. O ile wciąż istniał.

– Średnie są – odezwał się Roch, nie przestając patrzeć. – Znałeś je?

– Nie.

Kevin podglądał jedynie tych, którzy kiedyś byli mu całkowicie obcy.

– A ta ładna? Z wczoraj? – dopytywał mężczyzna.

– Dzisiaj nie spaceruje.

– Znasz rozkład spacerów wszystkich ludzi z miasta?

Tylko najbliższych – pomyślał Kevin.

– Niektórych – powiedział.

– I co, wszyscy spacerują tak samo często?

– Mniej więcej. Czasem samotnie, czasem z rodziną, czasem ze znajomymi.

Roch w końcu oderwał się od lornetki.

– Masakra. I całymi dniami się tak gapisz?

– A ty co, wywiad przeprowadzasz?

Mężczyzna wyszczerzył się i pokiwał głową.

– No i proszę, już zaczynasz nabierać jaj. – Wstał. – Oto wujek Roch i jego dobry wpływ. Szkoda tylko, że jak sam nie będziesz mówił, to ja też zapomnę języka w gębie. No i co się tak na mnie gapisz? Jak masz pytania, to pytaj. Tylko chodźmy już stąd, znudziłem się.

– Dokąd?

– Nie „dokąd", tylko „po co".

– Więc?

– Po alkohol. Narkotyki. Kawior z jesiotra i dziwki z Bangkoku.

Ruszyli z powrotem przez las, na wschód, oddalali się od miasta. Kevin zaproponował wcześniej, by wzięli rowery, ale Roch wolał iść.

Chłopak zastanawiał się, jak poprowadzić rozmowę. Czuł się niezręcznie, mówiąc o sobie. A pytać Rocha o jego życie? Czy chciał poznać tego człowieka? Spod wulgarnego cynizmu przeświytywała odrobina zwyczajnego, ludzkiego ciepła – ale co kryło się głębiej?

Usta mężczyzny często się uśmiechały. Z oczu nieustannie źle patrzyło.

Kevin zapytał więc o świat.

Roch się roześmiał.

– W tych czasach to prawie jak pytanie o pogodę – stwierdził. – Oczywiście wśród takich jak my, wolnych strzelców. – Udał, że się masturbuje, i puścił do chłopaka oko. – Wszyscy chcą wiedzieć, co słychać w szerokim świecie. Zawsze im mówię, że nie ma już czegoś takiego. Są małe światy, wąskie i ciasne jak dupa początkującego ministranta.

Odbyli długi marsz do kolejnej wioski, Chrząstowic. W magazynach małego Tesco ostało się jeszcze sporo alkoholu. Kevin napomknął o tym, jak na samym początku zaszył się na odludziu, a kiedy wracał, wszystkie miejscowości po drodze były już opuszczone. Zdziwiło go wtedy, że nic – oprócz pustki – nie świadczyło o apokalipsie. Domy zamknięte na klucz, wnętrza takie,

jakby mieszkańcy wyszli po mleko, a sklepy nietknięte przez szabrowników.

Roch znał rozwiązanie tej zagadki:

– Wywieźli wsiowych do miast, bo tam niby większa różnorodność. Akurat było miejsce, bo część miastowych pouciekała. Co z tego wyszło, sami widzimy.

– Inne miasta też są takie?

– Odpowiem ci, jak poznam twoje.

Zapełnili plecak butelkami. W drodze powrotnej Roch włamał się do trzech domów, by znaleźć ubrania, które go zadowolą: czarne proste spodnie, czarną koszulę, czarną marynarkę i płaszcz – szary, bo czarnego nie było. Blizna po prawym uchu zniknęła pod wełnianą czapką.

Potem szli torami. Nasyp zarósł trawą, szyny pokryły się rdzą. Mężczyzna i chłopak zaczęli od czarnej żubrówki, która okazała się równie przezroczysta i niesmaczna jak zwykła wódka. Rozmawiali o tym, o czym prędzej czy później muszą porozmawiać ocaleli z zagłady. Chcieli mieć to za sobą: wyzbyć się nadziei, a zatem wyzbyć się smutku. Byli normalnymi ludźmi, a normalni ludzie próbują zrozumieć świat tylko przez chwilę, bo potem skupiają się na życiu, które samo w sobie jest wystarczająco trudne.

Kevin zaczął iść po lewej szynie. Roch po kilku minutach spróbował utrzymać równowagę na prawej. Wieczór przechodził w noc, miasto było coraz bliżej.

– Masz ulubioną? – zapytał mężczyzna.

– Co?

– Dziewczynę.

– Nie.

– Jasne. A ta blondynka, to co?

– Nic.

– No weź, młody, możesz mi powiedzieć. Mnie też się zdarza zakochać.

Roch wziął spory łyk i zaśpiewał tak cicho i fałszywie, że Kevin z trudem rozpoznał „Baśkę" Wilków. Mężczyzna zastępował imiona dziewczyn nazwami miast: „Gdynia miała fajny biust, Łeba całowała cudnie, w Kielcach można było wódkę kraść, Warszawa – zło, Zamość zabiłaby na śmierć, gdyby nie uciekł". Niektóre wersy nie miały nic wspólnego z oryginałem.

– Pięknie – skwitował chłopak.

– No co? Przecież jesteśmy w stolicy polskiej piosenki. Jak dobrze pójdzie, będę mógł dodać kolejną linijkę.

Na dworzec dotarli o północy, z torów wdrapali się na peron. Kevin wszedł w rolę przewodnika: najpierw zaprezentował sztuczkę akustyczną w holu dworca, potem, gdy wyszli na pusty brukowany plac, wskazał palcem miejsce, gdzie dawniej można było dostać najlepszy kebab w mieście.

– Teraz już nie? – zapytał Roch.

– Nie próbowałem. A tu, między tymi budami, koczowali bezdomni.

Chłopak poprowadził Krakowską. Opowiadał ściszonym głosem, w czasie przeszłym, gdzie pił, gdzie palił, gdzie się całował, gdzie był na pierwszym koncercie. Miał wrażenie, że nigdy nie wypowiedział tylu „dawniej", „kiedyś", „zanim", „wcześniej". Teraźniejszość widzieli; można by ją zawrzeć w kilku słowach: ciemne okna, zamknięte bary, smutne ulice.

Minęli pomnik przedstawiający babę na byku, zajrzeli na Mały Rynek – jeśli miasto kiedyś żyło nocą, to właśnie tam – potem przeszli pod Kościół na Górce, pod ratusz – o tu, średni kebab – pod katedrę, by w końcu zasiąść nad kanałem Młynówka, na ławeczce z widokiem na Opolską Wenecję: niegdyś piękną, obecnie ciemną. Za plecami mieli Urząd Wojewódzki, wystającą zza niego Wieżę Piastowską i niewidoczny z ich perspektywy amfiteatr.

Pili w milczeniu. Gdy skończyli, butelka poszybowała do rzeki.

– Może gdzieś w Szczecinie ktoś ją wyłowi i odbierze naszą wiadomość – powiedział mężczyzna.

– Przecież była pusta.

– To właśnie nasza wiadomość. Znajdź w sobie odrobinę poezji, chłopaku.

***

Następny poranek był taki jak większość poprzednich: cichy, zimny, bez zapachu.

Roch odszedł. Bez pożegnania, bez karteczki z podziękowaniami, bez ostatniej wspólnej kawy.

Kevin długo stał przed lustrem i mówił do siebie. Brzmiał jak zawsze – jak pewny siebie gówniarz. Zastanawiał się, jaki miałby głos, gdyby został wśród ludzi. Słyszał obecnych mieszkańców kilka razy. Przemawiali raczej spokojnie.

We wszystkim byli podobni: tak samo chodzili, tak samo się zachowywali, tak samo żyli. Kiedyś Opole miało jakiś charakter – małomiasteczkową pokorę, wielkomiejską ambicję i melancholię niewiadomego pochodzenia – koniec końców stało się jednak nijakie, bo zaludnione przez aktorów grających różne role, lecz wszystkie w ten sam sposób. Teraz było jak dziewczyna, z którą zrywasz, bo jest nudna i do zastąpienia. Której nie potrafisz zapomnieć. Do której chcesz wracać, ale nie chcesz wrócić.

Kevin zastanawiał się też, jaki miałby głos, gdyby nie choroba. Wychodząc przed klasę, jąkałby się, stękał, chrypiał. Przy kolegach mówiłby nisko, wulgarnie, może trochę jak Roch. Przy przyjaciołach – bez skrępowania, więc czasem wchodziłby na piskliwe tony. Do rodziców – zależnie od humoru – burczałby lub nawijał podnieconym tonem. Do dziewczyny, gdyby była, mówiłby tak, jak nigdy dotąd.

Dzień z Rochem nic nie zmienił. Może dlatego, że Kevin się pilnował?

To bez znaczenia – uznał.

Sam zrobił sobie kawę, śniadanie. Potem leżał na kanapie. Nie chciało mu się szwendać po okolicy w poszukiwaniu jedzenia i przydatnych rzeczy, nie miał ochoty odwiedzić innych kryjówek. Do spaceru jednej z najbliższych osób zostało sześć godzin. Zamknął oczy i słuchał krakania wron. Wszystkie brzmiały tak samo.

Kiedy się znudził, wygrzebał z plecaka wymiętą książkę. Na okładce widniały postacie aktorów grających ojca i syna w filmowej adaptacji. W środku żadnego komentarza, brak dedykacji, zero zakreśleń. Kevin przeczytał „Drogę" kilkanaście razy, choć nie wiedział po co. By znaleźć w sobie siłę do przetrwania? By zobaczyć, że nie jest tak źle? By znienawidzić swojego ojca, który nie został – w przeciwieństwie do książkowego odpowiednika?

Chłopak najbardziej lubił fragment o rytuałach, jednak tym razem zasnął w trakcie lektury.

Obudziła go brzydka piosenka.

***

– Spodobało mi się tutaj – oznajmił Roch. – Zostaję.

– Umowa…

– Spokojnie, tylko na jakiś czas.

Kevin chciał protestować, ale dostrzegł wyraz twarzy mężczyzny. Usta bez cienia uśmiechu. Z oczu, jak zawsze, źle patrzyło.

Chłopak kiwnął głową, a Roch wypakował z plecaka parę książek i rzucił je na stół. Przewodniki, rozmówki, słowniki.

– Ciągle mnie to bawi – powiedział. – Ci chorzy ludzie siedzą w tych swoich miastach, jakby zapuścili korzenie. I z jednej strony odcięli się od reszty świata, a z drugiej… w księgarniach wciąż można kupić mapę Czech.

Kevin przez chwilę nie mógł złapać tchu.

– Byłeś w mieście? – wyrzucił w końcu.

– A byłem, byłem. Zawsze zachodzę do centrum w godzinach szczytu. Myślisz, że jak poznawałem dziewczyny z mojej piosenki?

– Myślałem… – Urwał.

W sumie nic na ten temat nie myślał. Poprzedniego wieczora był pijany i szczęśliwy: cieszył się zakazanym owocem pod postacią drugiego człowieka.

– Że sobie w chuja lecę? Ta piosenka to właściwie była moja autobiografia. Choć „Autobiografia" powinna lecieć inaczej, coś w stylu: miałem trzydzieści lat, gdy się poszedł jebać świat i tak dalej.

– Nie boisz się?

– Czego? Przecież mnie nie zjedzą. Chwilę obserwuję, a potem wtapiam się w tłum. To nie takie trudne. Powinieneś spróbować, dobrze ci zrobi.

Kevin gapił się tępo na Rocha. Powrót mężczyzny go nie zdziwił, ale wieść o kontakcie z tyloma ludźmi…

Przypomniał sobie radę ojca: albo uciec, albo zabić.

Roch kręcił się po kuchni i opowiadał o tym, jak gawędził ze starszym panem w kawiarni, jak siedział w parku naprzeciwko zakochanej pary, jak podsłuchiwał rozmowy w autobusie. Kevin starał się to zignorować, jakby same słowa mogły go zmienić, upodobnić do ludzi z miasta. Opracowywał plan ucieczki: weźmie rower, odjedzie do tej samej kryjówki, w której przeczekał początek końca świata, a po jakimś czasie – jak zatęskni za Nikolą i resztą najbliższych – wróci: ostrożnie, powoli, wypatrując Rocha. Będzie go unikał tak długo, aż tamten odpuści i odejdzie. A jeśli nie – pukawkę na kuropatwy zastąpi pukawka na ludzi.

Kilka godzin później Kevin pedałował na wschód, do najbardziej odludnego miejsca, jakie znał.

***

Listopad, jak co roku, zachęcał do kapitulacji: podstępnie chłodził deszczem i wiatrem, a Kevin w pewnej chwili uświadamiał sobie, że cały się trzęsie. Dachy w myśliwskich ambonach przeciekały, leżenie w mokrych liściach i błocie testowało wytrzymałość chłopaka.

Tęsknił za odludnym miejscem, w którym spędził ostatnie tygodnie. Nie było tam niczego, ot zwyczajna polana w głębi lasu. Ale namiot chronił przed wilgocią, a ognisko – przed chłodem. Wystarczało czekać. Spać, polować, z rzadka chodzić po coś do wiosek oddalonych o kilka kilometrów.

Jeszcze bardziej tęsknił za starymi kryjówkami – cudzymi domami, które zajął. Także dla nich wrócił w okolice Opola i godzinami trwał na czatach. Dwukrotnie okrążył miasto, jednak najwięcej czasu poświęcił na obserwację lasu pomiędzy drogą 46 a 94. Tam miesiąc wcześniej spotkał Rocha, tam znajdował się Suchy Bór. Stamtąd Kevin obserwował większość najbliższych, w tym Nikolę.

Na mężczyznę natknął się po trzech dniach.

Stali na drodze przeciwpożarowej, niecałe sto metrów od siebie. Zauważyli się w tej samej chwili, zamarli.

Pierwszy drgnął Roch. Powoli uniósł rękę i pomachał.

Kevin uciekł.

Następnym razem to Roch pierwszy go spostrzegł. Chłopak leżał w liściach i błocie, mężczyzna podkradł się i na całe gardło ryknął:

– „Zawsze z tobą chciałbym być"!

Kevin chciałby być sam – chciałby być sobą – więc znowu uciekł, ścigany tylko śmiechem tamtego.

Potem, gdy czatował w przeciekającej ambonie, usłyszał, jak przez szum deszczu przebija się ostry dźwięk. Roch wracał z miasta i gwizdał wesoło. Chłopak wyjrzał, dostrzegł szarą postać na tle

ciemnego pola. Sięgnął pod kurtkę. Dotyk broni pokrzepiał – to nie była wiatrówka do polowania na ptaki.

Ale na dotknięciu się skończyło.

Kevin poczekał, aż mężczyzna przejdzie. Kiedy przestał go słyszeć, dalej trwał w ambonie, skulony, z dłonią na kolbie. Zaczynał rozumieć, że przegrał walkę w chwili, gdy intruz zaskoczył go brzydką piosenką o Karolince. Roch był jednocześnie rannym zwierzęciem i samotnym człowiekiem. Działał na oślep, miotał się, kąsał, tak jak kazały mu instynkty. A przy tym tęsknił, płakał gdzieś w głębi siebie.

Nie odpuści, nie odejdzie. To nie w jego naturze.

Chłopak spędził noc w ambonie, a nazajutrz opuścił Opole.

Tak samo opuszczał je następnego dnia, i następnego, i następnego. Chodził wzdłuż granic miasta, kaszląc i trzęsąc się z zimna. Obserwował domy, wokół których pojawiało się coraz więcej świątecznych ozdób. Patrzył na najbliższych. Tyle razy mówił im „dzień dobry"; słowa pożegnania nie chciały przejść przez gardło.

Spadł pierwszy grudniowy śnieg. Każdy krok Kevina zostawiał ślad, a w pewnym momencie na białym puchu pojawiły się czerwone plamki. Chłopak zrozumiał, że musi się wycofać – znaleźć ciepłe miejsce i antybiotyki – jeśli nie chce umrzeć. Postanowił ostatni raz popatrzyć na Nikolę, a potem odejść i przeczekać gdzieś zimę. Miasto nie ucieknie, nie zmieni się.

***

Nie było jej.

Kevin patrzył z niedowierzaniem na zegarek, próbując dociec, czy nie pomylił się w rachubie. Za każdym razem wychodziło na to samo: według rozkładu spacerów, który znał, Nikola powinna już przejść pod wiaduktem. Zamiast szarego jesiennego płaszcza miałaby na sobie granatową kurtkę – pamiętał z ubiegłego roku.

Szalik ten sam, pomarańczowy. Blond włosy skryte pod ciemnoczerwoną czapką, Kevin mógłby sobie wyobrażać, że są różowe, jak kiedyś, gdy była tylko dziewczyną, którą rzadko mijał na ulicy.

Nie było jej.

Zmienili w mieście czas? A może zwyczaje? Co mogłoby wytrącić ich rutynę z torów, którymi poruszali się już od dwóch lat? A może datownik w zegarku się zepsuł?

Kevin mógł to sprawdzić. Rozsądek i strach mówiły mu, by odpuścił. Uczucie do dziewczyny nie było niczym poważnym. Tylko iluzją miłości, którą sam stworzył, trochę z nudów, trochę z przyzwyczajenia – dawniej zawsze się w kimś podkochiwał. Ale polubił tę ułudę.

Poszedł do miasta. Przy jednym z pierwszych domów ktoś przerwał odśnieżanie i przyglądał się postaci nadchodzącej od strony lasu. Kevin naciągnął mocniej kaptur. Wzdrygnął się, kiedy ujadanie psa przerwało popołudniową ciszę.

Osiedlowy był w tym samym miejscu, co kiedyś. Kevin wszedł, nie mówiąc „dzień dobry", i stanął przy półce z lokalną – jedyną – prasą. Data w „Nowej Trybunie Opolskiej" zgadzała się z jego obliczeniami. Miał już wyjść, ale coś kazało mu złamać zasadę, którą sam sobie ustalił. Wziął gazetę i zajrzał do środka.

Na trzeciej stronie pisali, że poszukiwania dziewiętnastoletniej Pauliny wciąż trwają.

W pierwszym odruchu rzucił się do drzwi, lecz równie szybko zawrócił. Zamieni z kimś parę słów, parę spojrzeń, jeden uśmiech – nie zaszkodzi, po dwóch latach mu się należało. Podszedł z gazetą do kasy. Popatrzył sprzedawczyni w oczy.

– Wszystko dobrze? – zapytała.

Próbował w niej dostrzec człowieka innego rodzaju: chorego, zmienionego, pozbawionego indywidualności. Zachowywała się normalnie, jak każdy na jej miejscu. Stała, ręce miała oparte o ladę, wyczekiwała odpowiedzi. Co innego miałaby robić? Przyglądał

się jej unikatowemu układowi zmarszczek, pospolitej fryzurze, fartuchowi w kwiatki. Gdy trwała nieruchomo, przypominała kadr z dawnego świata.

Może w innej sytuacji byłoby widać, że się zmieniła. Może kiedyś biła dzieci, a teraz nie – albo rzadziej. Może łatwiej dawała się doprowadzić do płaczu. Może znalazła siłę, nie w sobie, lecz w innych, siłę, której dwa lata temu nie miała, siłę, by sprzeciwić się mężowi?

Kevin nie mógł tego wiedzieć. Nie znał jej ani kiedyś, ani teraz. Widział tylko sprzedawczynię. Jakby się cofnął w czasie.

– Kupujesz?

Drgnął, przytaknął. Kobieta wymieniła cenę. Przez chwilę szukał po kieszeniach, w końcu znalazł. Portfel z nieważną legitymacją, kartą do lodziarni i dwiema dziesiątkami. Nie pamiętał, dlaczego wciąż go nosił. Zapłacił. Sprzedawczyni rozprostowała banknot, wydała resztę, podziękowała. Kevinowi jedno proste słowo nie chciało przejść przez gardło.

***

Wyjął pistolet, kiedy tylko zobaczył Rocha.

– Myślisz, że zdążysz ją znaleźć? – krzyknął mężczyzna, unosząc ręce.

Stali na środku wioski, zbyt daleko od siebie, by Kevin miał pewność, że trafi. Ruszył w kierunku Rocha, nie opuszczając broni. Tamten się zaśmiał i zaczął biec tyłem. Chłopak przystanął, wycelował – wyczytał z książek, jak to robić – strzelił.

Mężczyzna padł.

Śnieg owiewał ciało leżące na drodze. Kevin szedł w jego stronę, coraz wolniej, aż zatrzymał się w odległości kilku kroków. Obserwował: klatka piersiowa nieruchoma, plama moczu na spodniach,

oczy wpatrzone w niebo. Chciał strzelić ponownie, ale nie potrafił się przemóc.

Roch to wyczuł. Przestał udawać: zaczerpnął tchu, uśmiechnął się, przemówił:

– Pomyśl, młody. – Brzmiał inaczej niż zazwyczaj. – Zabijanie nie jest w twoim stylu. Jeśli to zrobisz, upodobnisz się do mnie bardziej, niż gdybyśmy spędzili ze sobą miesiąc miodowy na Lazurowym Wybrzeżu. – Usiadł i spojrzał Kevinowi w oczy.

– Masz dziewczynę.

– Mam, ale jej nie miałem, jeśli wiesz…

– Gdzie?

– Tutaj. Wiem, że lubisz tę wioskę. Pewnie tatuś cię tu zabierał, jak byłeś mały. Na tyle blisko miasta, że mały Kevinek mógł dojechać na swoim rowerku. Dostawałeś lody w nagrodę?

Kevin się zaczerwienił.

– Przestań gadać.

– Wybacz. Tęskniłem. A z Pauliną nie gada się tak dobrze. Wiedziałeś, że tak się nazywa?

– Który dom? Jak spróbujesz wstać, oberwiesz w udo.

– Nagle taki twardziel z ciebie? Nie uciekasz? Nie bawisz się w chowanego z wujkiem Rochem? Wyluzuj, Kevin. Nic jej nie zrobiłem. Takich jak ona to ja miałem na pęczki. Choćby ta z Gdyni, taka laska była… – Naszkicował kobiece kształty w powietrzu. – A ta blondyna to mój prezent dla ciebie.

Chłopak opuścił broń.

– Prezent?

– Może to zabrzmi trochę pedalsko, ale jesteś moim, no, najlepszym przyjacielem.

– Przecież cię nienawidzę.

Roch wzruszył ramionami.

– Jakie czasy, takie przyjaźnie. – I zaczął się śmiać.

Chłopak zagryzł wargi, by mu nie zawtórować, ale i tak poczuł, że kąciki ust ciągną ku górze. Pamiętał o tym, że prawdopodobnie umiera na zapalenie płuc i że jakaś dziewczyna od kilku dni jest gdzieś więziona. Jednak emocje spływały, było mu coraz bardziej wszystko jedno. Pierdolić to, pierdolić to wszystko. Zdechnąć jak zwierzę, utonąć w stutysięcznym tłumie, cokolwiek, byle nie to, co do tej pory. Wystarczy czekania, pamiętania, bycia sobą.

Śmiał się i kaszlał krwią, kiedy Roch – także rechocząc – wstał, podszedł i wyprowadził jeden skuteczny cios.

***

Kevinowi śniły się brzydkie piosenki. Tym razem do fałszującego Rocha dołączył damski chórek.

Potem sen minął i zostało tylko:

– Ej! Ej, obudź się!

Kevin otworzył oczy. Spróbował szybko ocenić sytuację: nieznana piwnica, kanapa, na której leżał, zakratowane okienka, schody – prowadzące zapewne do zamkniętych drzwi – materac, dwa stare fotele i przywiązana do krzesła dziewczyna.

– Szybko! Pomóż mi!

Chłopak usiadł, dotknął lewego oka. Było zapuchnięte i lepkie od skrzepłej krwi.

– Gdzie on jest?

– A skąd mam wiedzieć? – warknęła Paulina.

Nigdy nie wyobrażał sobie jej głosu, ale i tak zaskoczyło go szorstkie brzmienie. Po chwili zrozumiał, że dziewczyna ochrypła od wołania o pomoc.

– Na co czekasz? – popędzała. – Szybko, zanim wróci. We dwójkę damy mu radę.

Kevin powoli łączył fakty: nokaut, przebudzenie tutaj, związana dziewczyna. Dziewczyna – prezent. Tyle że zamiast kokardki – lina

do holowania samochodu. Intencje Rocha były jasne: skorzystaj, młody.

– Jak długo tu jestem?

– Nie wiem. Proszę. Musimy uciekać, póki jest okazja.

– Zrobił ci coś? Oprócz tego, że… porwał?

– Kazał tylko czekać.

– Czekać? – Kiedy tylko wypowiedział to słowo, zrozumiał.

Ona też zrozumiała. Zbladła, do oczu napłynęły łzy.

– To dlatego… dlatego cię nie związał.

– Nie, to nie tak. Nic ci nie zrobię, Nika. Naprawdę.

– Nie jestem Nika.

– To znaczy: Paulina.

– Znasz mnie?

– Nie. To znaczy: tylko z widzenia. Kiedyś… zanim…

Gubił słowa. Fantazje o Nikoli wiele razy kołysały go do snu. Zamiast liczyć barany, wyobrażał sobie naprawiony świat, świat z ludźmi, którzy znów mogą się kłócić z powodu różnic charakterów. A w tym świecie, wśród tych ludzi, on i dziewczyna, blisko siebie przez całe długie godziny.

Tymczasem rzeczywistość z niego zakpiła. Zapalenie płuc, wypaczona przyjaźń, rozczarowanie osobą, którą próbował kochać – to miała być nagroda za pozostanie sobą?

– Czytałem o tobie w gazecie.

– Szukają mnie?

– Tak – odparł, a w myślach dodał:

Ale tylko w mieście.

Paulina się uśmiechnęła, a Kevin zgiął wpół, kaszląc. Plamy krwi na podłodze przypominały rozlany atrament. Wyprostował się, spojrzał na dziewczynę. Była ładna, ale starsza od niego o dwa, trzy lata. I wyższa. Nie miałby szans. Poza tym: jak mógłby kochać kogoś, kto składał się w większości z innych ludzi? Nijak.

Mimo to chciałby z nią porozmawiać, pospacerować, pobyć. W sytuacji sam na sam mógłby nawet zapomnieć o tym, że rozmawiałby z miastem, spacerowałby z miastem, byłby z miastem.

Mógł też zabrać ją ze sobą, z dala od tego przeklętego lasu, od smutnego jak przeciętność Opola. Paulina stałaby się w połowie Kevinem, Kevin stałby się w połowie Pauliną, nic nowego pod słońcem: już Adam i Ewa mieli być jednym, tak samo każde kolejne małżeństwo. Przysłowie od dawna głosiło, że z kim przestajesz, takim się stajesz. A może nie przysłowie. Może przepowiednia.

Kevin zbliżył się do dziewczyny. Uśmiech zniknął z jej twarzy, ciało skurczyło się ze strachu.

– Jesteś tam szczęśliwa? – zapytał głupio.

Zapomniał, jak się rozmawia z innymi ludźmi. Wiedział tylko, że nie tak, nie w ten chory, popieprzony sposób.

– Gdzie?

– W mieście. W domu, wśród… wśród…

– Nie wiem. Chyba jak każdy. Zazwyczaj tak, czasem nie.

– Chcesz wrócić?

Pokiwała gorączkowo głową.

– A nie wolałabyś wrócić do tego, co było wcześniej?

– Nie rozmawiamy o tym… – Do jej bladych policzków w końcu napłynęła krew.

– Nie wolałabyś?

Zaczęła płakać. Nie wiedziała. Nie potrafiła odpowiedzieć.

Kevin wierzył, że choroba, której nazwy nigdy nie poznał, nie wpływała tylko na to, że ludzie nienaturalnie szybko upodabniali się do siebie charakterami. Musiało być coś jeszcze. Coś, co kazało im trwać w miejscu, w dziurawej atrapie nowej rzeczywistości, przez którą przeświytywał dawny świat. Świat różowych włosów, internetu i wycieczek do Czech. Kevina najbardziej przerażało, że nikt nie reagował na powidoki tego, co minęło. Żyło się dalej, tak jak inni żyli.

– Odprowadzę cię – powiedział cicho.

***

Wydawało mu się, że Roch ich widzi. Mimo to przeszli przez las. Kevin z trudem powstrzymywał się, żeby nie opowiedzieć wszystkiego. Pamiętał jednak, jak się rozpłakała. Nie chciał gwałcić jej prawdą.

Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań, dziewczyna rzuciła się do ucieczki, krzycząc o pomoc. Tego nie przewidział. Myślał, że podejdą pod jej dom, ona mu podziękuje, a on powie „do widzenia".

Przez jakiś czas snuł się po znajomych ulicach. Z nieba sypnęło śniegiem. Drogą przejechał najpierw radiowóz policyjny – rzadkie zjawisko w tym spokojnym miejscu – a potem karetka, widywana tak często jak dawniej. Chłopak minął podstawówkę, boisko, plac zabaw, zatrzymał się przy przejściu kolejowym z barierkami, na których dawniej przesiadywał z kolegami. Wciąż mógł ich spotkać.

Przechodnie oglądali się za nim, kiedy kaszlał krwią. Nikt nie zapytał, czy wszystko w porządku, bo dawniej też większość by się nie zainteresowała. Śnieg zakrywał ślady i czerwone plamki.

W końcu Kevin poszedł do domu. Zamek był wyłamany – pewnie Roch szukał tutaj swojego „najlepszego przyjaciela". Chłopak myślał chwilę o spaleniu budynku, jednak poprzestał na połamaniu płyty DVD. Lepiej będzie jednak zapomnieć. Wychodząc, zrzucił kasztany z parapetu.

Sąsiad z naprzeciwka gapił się z rozdziawionymi ustami i papierosem przylepionym do dolnej wargi. Chłopak pokazał mu środkowy palec, po czym opuścił miasto.

***

Szedł w stronę Suchego Boru, gdy usłyszał nawoływania. Dobiegały od wschodu, od wioski. Nie od miasta.

Między drzewami mignęła postać. Kevin po krótkim wahaniu podążył za nią, ale oddalała się zbyt szybko. Śnieg sięgał kolan, w płucach brakowało tchu. Chłopak przystanął, spróbował krzyknąć – skończyło się napadem kaszlu.

Jednak Roch usłyszał. I zawrócił.

– Coś ty, kurwa, narobił?! – syknął.

Kevin nie sądził, że widok mężczyzny tak go ucieszy. Chciał się uśmiechnąć, ale infekcja znów dała o sobie znać: zgiął się wpół, splunął krwią.

– Nie ma czasu. – Roch wcisnął mu do ręki pistolet. Z kieszeni jego płaszcza wystawała kolba innego. – Dajesz, młody.

Zaczął biec, ale szybko zwolnił, gdy zobaczył, że chłopak nie zdoła dotrzymać mu kroku.

– Ale w tamtą stronę… – zaprotestował Kevin.

– …jest miasto, wiem! – pieklił się mężczyzna. – Jedyne miejsce, gdzie nie rozpozna nas nikt oprócz tej małej suki, którą wypuściłeś. A tu co, kurwa, mamy? Las, śnieg po pas, ty charczysz krwią, jeszcze tylko strzałki powinniśmy zostawiać, by łatwiej mogli nas, kurwa, dopaść.

– To policja?

– Policja, straż miejska, ochotnicy w cywilu… – Spojrzał ze wściekłością w oczach na wschód, skąd dobiegały coraz wyraźniejsze odgłosy pogoni. – Jednym słowem: skurwysyny. Coś ty sobie, kurwa twoja mać, myślał, kiedy ją wypuszczałeś?

– Coś „ty" myślał?! – krzyknął Kevin. – Nie chciałem jej, nie w ten sposób!

– A chcesz jeszcze czegokolwiek? – Roch przysunął się tak blisko, że chłopak poczuł ciepły oddech na czole. – Jeśli tak, to musimy dotrzeć do miasta. Jeśli nie, to idź zagadać tę bandę kutasów!

Chłopak musiał podjąć szybką decyzję. W ciągu dwóch miesięcy zmieniło się w jego życiu więcej niż przez ostatnie dwa lata.

On się zmienił. Jeszcze do niedawna egzystował bezwiednie, bezmyślnie. Teraz cały czas wybierał, ale zawsze był to wybór bierności, wycofania się, rezygnacji. Nie walczył o swoje terytorium. Nie zabił intruza. Nie wykorzystał Nikoli.

Poczuł w sobie coś nowego. Coś, co nie pozwoliło mu uciekać przed zbliżającą się pogonią.

– Więc po chuj pistolet? – zapytał Rocha i spróbował uśmiechnąć się tak jak on.

– Co ty pierdolisz?

– Umiesz strzelać?

– Ty poważnie? Chcesz się pobawić w Indian i kowbojów?

Kevin wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

Mężczyzna przez kilka sekund wyglądał, jakby miał się rozsypać. Potem znalazł w sobie – a może nie tylko w sobie – odwagę i szaleństwo, wyjął z kieszeni płaszcza broń, odbezpieczył.

– Wujek Roch nie odmówi ci wspólnej zabawy, synku.

Przylgnęli do drzew od zachodniej, miastowej strony i czekali. Obława zbliżyła się na tyle, że mogli usłyszeć głosy poszczególnych osób.

Kevin jeden z tych głosów rozpoznał. Przez chwilę toczył wewnętrzną walkę, a potem przypomniał sobie: musiał pamiętać, kim jest.

– Zmiana planu – szepnął do Rocha, ukrywającego się za sąsiednim drzewem. – Coś wykombinujemy, tylko nie strzelaj.

Z uniesionymi rękami, z pistoletem zawieszonym na kciuku, wyszedł na spotkanie pościgowi. Początkowo nie dostrzegł znajomej twarzy. Słyszał, jak Roch coś do niego mówi; kątem oka widział gorączkową gestykulację przyjaciela. Patrzył na mundurowych i cywilów, którzy zastygli na jego widok. Przekrzykiwali się: „ani drgnij", „na ziemię", „rzuć broń", „ręce na głowę". Owczarki ujadały. Kevin wypatrywał, aż dostrzegł człowieka o znajomym głosie.

– Ja go znam – odezwał się jeden z ochotników. – To mój syn.

Ludzie powoli milkli, nawet psy cichły.

– Kevin? – Wojciech Dąbrowski odwrócił się do policjantów. – Opuśćcie broń, to mój syn.

Posłuchali. Wszyscy patrzyli tak samo – tylko na chłopaka, jakby mieli klapki na oczach. Tymczasem on widział zbyt wiele naraz: Rocha próbującego wtopić się w pień drzewa, jego ślady w śniegu, na które nikt nie zwracał uwagi, a przede wszystkim ten pusty wyraz twarzy ojca, tak bardzo do niego niepasujący.

– Kevin, co ty tutaj robisz?

Chłopak otworzył usta, ale Roch go uprzedził. Wyskoczył zza drzewa – policjanci natychmiast unieśli broń – ale on już celował Wojciechowi Dąbrowskiemu w twarz.

– Nie. Co ty tutaj robisz, kutasie złamany? – Z każdego słowa biła wściekłość, ale „ty" zabrzmiało szczególnie agresywnie. – Widziałem twoje pierdolone nagranie. Obiecywałeś synowi szczęśliwe zakończenie, kazałeś mu czekać, a tymczasem co? Chujów sto.

Kevin dostrzegł, że na spodniach ojca pojawia się ciemna plama. Potem spojrzał na twarze policjantów. Bali się pociągnąć za spust. Kiedy Roch włożył lewą rękę do kieszeni płaszcza, oni tylko nerwowo drgnęli, nic więcej.

– Co wy wszyscy tutaj robicie? – zapytał już spokojniejszym tonem. – Przecież dziewczynie nic się nie stało, po co to całe zamieszanie?

Zamiast odpowiedzieć, jedynie patrzyli po sobie. Żaden z nich nie miał pojęcia, jak zareagować. Czekali.

– Pomyślcie, po co wam taki pojeb jak ja? – podjął Roch. – Po co wam krew na rękach? Zbiegliście się tutaj chmarą, bo to był wasz odruch obronny, bo jedna z was najadła się strachu. Ale teraz, jak przychodzi co do czego, to sracie po gaciach. Szkoda gaci. Wracajcie do miasta, do swoich domów. My znikniemy stąd tak szybko, jak się da, słowo.

Opanowanie w ochrypłym głosie pozwoliło Kevinowi podejrzewać, że to nie pierwsza taka przemowa Rocha. Mężczyzna wiedział trochę o nowym świecie. Rozumiał, że wraz z wyrównaniem się inteligencji, wraz z ujednoliceniem charakterów, wraz z zanikiem wyjątkowości musiało powstać coś na kształt wspólnej osobowości.

Dawniej większość ludzi nie wiedziałaby, co zrobić w tej sytuacji. Więc teraz nie wiedzieli wszyscy.

A Roch im to mówił.

– Ten tutaj. – Wskazał lufą na Wojciecha Dąbrowskiego. – On zostanie jako zakładnik. Jak znikniecie mi z oczu, to go wypuszczę. Tylko bez numerów. Palec mi drgnie i będzie trup. Niepotrzebny. – Zmienił ton głosu na ostrzejszy: – Kevin. Powiedz ojcu, by powiedział swoim koleżkom, żeby mnie posłuchali.

Kevin także uległ hipnotyzującej charyzmie Rocha. Spuścił wzrok i wymamrotał do ojca parę słów.

– Synku… – zaczął Wojciech.

– Morda w kubeł, psie!

Dąbrowski zacisnął zęby. Ze łzami w oczach poprosił ludzi z miasta, by spełnili polecenia. Policjanci patrzyli po sobie. Kevin widział różne naszywki na ich mundurach, ale wyglądało na to, że w świecie całkowitej równości ranga przywódcy miała tylko symboliczne znaczenie. Zbiorowym pomrukiwaniem podjęli decyzję o wycofaniu się. Zabrali psy i ruszyli w stronę miasta.

Chłopak obserwował ich żałosny odwrót. Jeszcze kiedyś kusiło go stanie się jednym z mieszkańców Opola. Teraz prędzej strzeliłby sobie w łeb.

Wciąż miał w ręce pistolet. Popatrzył na ojca, potem na Rocha.

– Widzisz, młody? Widzisz go?

Kevin stanął przed ojcem. Starszego Dąbrowskiego opuściły resztki odwagi: płakał, dygotał, nie podnosił wzroku. Może dwa lata temu miałby odwagę spojrzeć synowi w oczy.

– Czemu mnie nie szukałeś? – zapytał chłopak. – Czemu…

– Przestań – powstrzymał go Roch. – Wiesz dobrze czemu.

– Ale zostawił mnie, żebym…

– Nie myśl o tym, młody. Nie powinno dojść do tego spotkania. Nie wiem, czemu pchał się tu na ochotnika. Może coś podejrzewał. Każdy ma swoje demony. Teraz będzie miał ich więcej. Ale tylko przez chwilę. Potem się rozmyją w tym całym… – Wskazał za siebie, w stronę miasta. – Dobra, koniec tego. Poszli sobie?

Kevin przytaknął. Roch wyciągnął w końcu rękę z lewej kieszeni. Trzymał w niej książkę: „Drogę" Cormaca McCarthy'ego. Przestał celować w Dąbrowskiego, przyłożył lufę do okładki, do głowy Viggego Mortensena, do głowy ojca. Wystrzelił.

Chwilę później Roch z Kevinem, Kevin z Rochem oddalali się od miasta. Wojciech Dąbrowski długo i samotnie szlochał, wtulony w ślady pozostawione na śniegu. Obok leżała książka z dziurą na wylot.

***

Szli na południe. Roch próbował podśpiewywać, ale Kevin kazał mu przestać. Byli w końcu daleko od Opola.

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Anna Dudało
Korekta: Ilona Żurawska, Anna Dwojnych, Kaja Jaroszewska
Weryfikacja: Michał Gola, Marcelina Kopaczka, Aleksandra Krasińska, Patrycja Gil
Kontrola weryfikacji: Mariusz Flejszar
Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski
Ilustracja: Małgorzata Lewandowska

Fantazmaty działają non-profit od 2017 roku. To nasza dwudziesta druga antologia. Ponad 150 osób wolontariacko poświęca swój czas, byśmy mogli działać skutecznie i profesjonalnie. Chcemy, by nasze książki nadal docierały do każdego czytelnika w formie bezpłatnych ebooków i audiobooków, a kolejne darmowe poradniki pisania pojawiały się na stronie WWW.

Wiesz, że ty też możesz mieć swój wkład w Fantazmaty?
Zostań naszym Patronem.

Wspierając projekt, pomożesz nam utrzymać stronę internetową i opłacić koszt serwera, dasz nam możliwość pojawiania się nie tylko na konwentach, ale też na targach książki. Dzięki tobie więcej osób będzie mogło dowiedzieć się o Fantazmatach, a przez to spełnić swoje marzenie o opublikowaniu tekstów, wydać swoją twórczość przy wsparciu uważnych redaktorów i korektorów, sprawdzić się jako ilustrator, przyłączyć się do zaangażowanego zespołu, zdobywać wydawnicze doświadczenie oraz przeczytać książki takie jak ta.

Zajrzyj na patronite.pl/grupawydawniczafantazmaty lub na https://buycoffee.to/fantazmaty

Informacje o opowiadaniach | ***Content warnings***

„Drzewa życia”: postapokalipsa | *śmierć, przemoc, wulgaryzmy*
„Bezimienne dusze”: fantasy | *śmierć*
„Człowiek z maszyny”: postapokalipsa | *śmierć, przemoc, wojna*
„Kurort Makabra”: fantasy/postapokalipsa | *przekleństwa, przemoc seksualna, śmierć, gore, elementy obrazoburcze*
„Era Wodnika”: postapokalipsa | *wulgaryzmy, przemoc, tortury, śmierć*
„Muzeum XXI wieku”: postapokalipsa | *przemoc*
„Długość dźwięku przeciętności”: fantastyka apokaliptyczna | *wulgaryzmy, przemoc, śmierć*